

**JOE HALDEMAN**

**WIECZNA  
WOLNOŚĆ**

Kontynuacja bestsellera *Wieczna Płama*

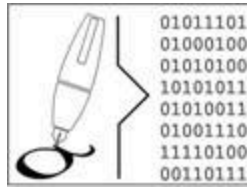


**HALDEMAN JOE**

**Wieczna wolnosc**

# JOE HALDEMAN

Przełożył Zbigniew A. Królicki



**Czasem ludzie zaprzestają wojen, aby bogów stworzyć. Bogów pokoju, którzy zmieniliby Ziemię w niebo. Miejsce, w którym ludzie mogliby myśleć, kochać i być. Bez oparów wojny spowijających mrokiem umysły i serca. Wolni, jakimś cudem, od pęt swej ludzkości.**

**Bogowie zsyłają wojnę, by nie pozwolić ludziom stać się równym bogom. Bez ogłuszającego łoskotu werbli, w jakiż raj moglibyśmy zmienić Ziemię! Zerwawszy kotwicę, jaką jest wojna? Gdybyśmy jakoś umieli jej**

**zapobiec? Ponoć bogowie tworzą ludzi**

**na swe podobieństwo. Tak więc wojny wzniecając,**

**ludzie swoją boskość wyrażają.**

**Pozbawiając życia, gdyż tak bogowie czynią.**

**Za nic mając kobiecą wolę podtrzymania życia.**

**I zwyczajny zdrowy rozsądek.**

**Wojownicy tworzą bogów. Aby powstrzymać tych bóstw szaleństwo, musimy znaleźć serce i rozum, żeby stworzyć nowych bogów, którzy nie będą żądać ludzkich ofar. Zupełnie nowych bogów, z odrazą spoglądających na wojnę.**

**Bogowie czasem każą ludziom wojować dla ich rozrywki. Możemy im popsuć tę zabawę. Możemy stworzyć nowych bogów w ludzkiej postaci. I nie musimy wcale wzywać pomocy niebios. Wystarczy zwykłym ludziom pokazać niebo, jakie mogą stworzyć!**

**Powstrzymać boże wojny! Niech ludzie sami swe przeznaczenie tworzą. Nie trzeba nam wojen aby dowieść, kim naprawdę jesteśmy. Lecz nawet i tego mało. By powstrzymać wojny, potrzeba czegoś więcej. Aby im zapobiec sami powinniśmy stać się bogami.**

**By położyć kres wojnom, uczynicie bogiem człowieka.**

*Dla Gay, ponownie, po dwudziestu pięciu latach*

[Księga pierwsza](#)

# KSIĘGA RODZAJU

## 1

Zima długo nadchodzi na tej zapomnianej przez Boga planecie i za długo trwa. Patrzyłem, jak nagły podmuch niesie wał zimnej piany po szarym jeziorze i myślałem o Ziemi – nie pierwszy raz tego dnia. O tych dwóch ciepłych zimach w San Diego, kiedy byłem chłopcem. Nawet o tych ciężkich zimach w Nebrasce. Tamte przynajmniej były krótkie.

Może za szybko odmówiliśmy, kiedy po wojnie ci wielkoduszni zombie zaproponowali, że podzielą się z nami Ziemią. Przybywając tutaj, wcale się od nich nie uwolniłiśmy.

Od szyby okiennej ciągnął chłód. Marygay znacząco zakaszła za moimi plecami.

–Co jest? – zapytała.

–Idzie zmiana pogody. Powinienem sprawdzić sznury.

–Dzieci wrócą za godzinę.

–Lepiej jeśli zrobię to teraz, dopóki nie pada, tak żebyśmy wszyscy nie musieli moknąć na deszczu – powiedziałem. – Albo na śniegu. Nie wiadomo, co spadnie.

–Pewnie śnieg.

Zawahała się, ale nie zaproponowała, że mi pomoże. Po dwudziestu latach wiedziała,

kiedy nie pragnę towarzystwa. Włożyłem wełniany sweter i czapkę, a płaszcz przeciwdeszczowy zostawiłem na kołku.

Wyszedłem na zimny i wilgotny wiatr. W powietrzu nie czuło się zapachu rychłego opadu śniegu. Zapytałem o to zegarka, który z dziewięćdziesięcioprocentową pewnością zapowiedział deszcz, ale także zimny front, który wieczorem przyniesie marznącą mżawkę ze śniegiem. Niezła pogoda na spotkanie towarzyskie. Od czasu do czasu musieliśmy przejść kilka klików. W przeciwnym razie zombie mogliby sprawdzić rejestr i zauważyć, że my, odmieńcy, wciąż spotykamy się w jednym i tym samym domu.

Mieliśmy osiem sznurów, rozciągniętych na odległość dziesięciu metrów od końca przystani do pali, które wbilem w sięgającej mi do połowy piersi wodzie. Pozostałe dwa zostały wywrócone podczas burzy. Wbiję nowe na wiosnę. Czyli za dwa lata czasu rzeczywistego.



Bardziej przypominało to żniwa niż łowienie ryb. Jesiotry są tak głupie, że biorą na wszystko, a kiedy połkną haczyk i zaczynają się rzucać, zwabiają następne, które zdają się mówić: „Ciekawe co mu jest... Och, patrzcie! Ma taki śliczny błyszczący haczyk!”

Kiedy wyszedłem na przystań, zobaczyłem zbierające się na wschodzie burzowe chmury, więc zacząłem się naprawdę spieszyć. Każdy sznur to linka podtrzymująca tuzin żyłek z haczykami, wiszących w wodzie, przytrzymywanych na głębokości jednego metra przez plastikowe pływaki. Wyglądało na to, że połowa szaławików poszła pod wodę, co oznaczało około pięćdziesiąt ryb. Skalkulowałem wszystko w myślach i zdałem sobie sprawę, że prawdopodobnie skończę dopiero wtedy, kiedy Bill wróci ze szkoły. Jednak niewątpliwie nadchodziła burza.

Wziąłem robocze rękawice i z wieszaka przy zlewie zdjąłem fartuch, po czym założyłem koniec pierwszego sznura na kołowrót, znajdujący się na wysokości moich oczu. Otworzyłem wbudowaną zamrażarkę – gniewne niebo odbiło się w jej polu siłowym jak w jeziorze rtęci – i wciągnąłem pierwszą rybę. Zdjąłem ją z haczyka, odrąbałem tasakiem głowę i ogon. Wrzuciłem rybę do zamrażarki, po czym założyłem łeb na haczyk, na przynętę. Potem wyciągnąłem następnego klienta.

Trzy ryby były nie nadającymi się do niczego mutantami, jakie łowiliśmy od ponad roku. Miały różowe paski i paskudny smak siarkowodoru. Nie nadawały się na przynętę, ani nawet jako nawóz. Równie dobrze mógłbym posypać ziemię solą.

Najwyżej godzina pracy dziennie – pół godziny, jeśli pomagały dzieci – wystarczała by zaopatrzyć w ryby jedną trzecią osady. Sam rzadko je jadłem. Oprócz nich w sezonie mieliśmy na wymianę kukurydzę, fasolę i szparagi.

Bill wysiadł z autobusu, kiedy wciągałem ostatni sznur. Machnąłem ręką, żeby wszedł do domu. Po co obaj mamy uwalniać się rybimi fałkami i krwią. Po drugiej stronie jeziora uderzył piorun, ale mimo to ponownie nastawiłem sznur. Odwiesiłem sztywny fartuch i rękawice, a potem na moment wyłączyłem pole siłowe, żeby ocenić połów.

Zdażyłem tuż przed deszczem. Przez chwilę stałem na ganku i patrzyłem, jak szkwał z sykiem przelatuje po jeziorze.

W środku było ciepło – Marygay rozpałała ogień w kuchennym piecyku. Bill siedział tam ze szklanką wina w ręku. Wciąż miało to dla niego urok nowości.

–Jak poszło?



**Kiedy wracał ze szkoły, w pierwszej chwili zawsze miał nieco dziwny akcent. W klasie nie mówił po angielsku, a podejrzewałem, że z przyjaciółmi także.**

**–Sześćdziesiąt procent brań – odpowiedziałem, myjąc ręce i twarz nad zlewem. – Gdyby poszło lepiej, musielibyśmy sami jeść to świństwo.**

**–Chyba ugotuję jedną na kolację – oświadczyła z kamienną miną Marygay. Gotowana ryba miała smak i konsystencję waty.**

**–Daj spokój, mamó – rzekł Bill. – Zjedzmy ją na surowo. Nie lubił ich jeszcze bardziej niż ja, a odcinanie łbów uważał za przyjemne zajęcie.**

Podszedłem do trzech beczulek na końcu pomieszczenia i utoczyłem szklanę czerwonego wytrawnego wina, a potem usiadłem obok Billa, na ławie przy ogniu. Przegar-nąłem żar pogrzebaczem – odwieczny gest, zapewne starszy niż ta młoda planeta.

–Mieliście dziś zombie od historii sztuki?

–Człowieka od historii sztuki – poprawił. – Ona jest z Centrusa. Nie widziałem jej od roku. Nie rysowaliśmy, ani nic takiego. Tylko oglądaliśmy obrazy i posągi.

–Z Ziemi?

–Głównie.

–Taurańska sztuka jest dziwna. To łagodne określenie. Jest także paskudna i niezrozumiała.

–Powiedziała, że musimy dojść do tego stopniowo. Oglądaliśmy architekturę. Ich architektura... Coś o niej wiedziałem. Przed wiekami zniszczyłem wiele jej akrow.

Czasem wydaje mi się, że to było wczoraj.

–Pamiętam, jak po raz pierwszy zobaczyłem ich koszary – powiedziałem. – Mnóstwo pojedynczych komórek. Jak w ulu.

Mruknął coś niechętnie, co uznałem za ostrzeżenie.

–A gdzie twoja siostra? – Była jeszcze w liceum i chyba powinna wrócić następnym kursem autobusu. – Nie mogę zapamiętać jej planu zajęć.

–Jest w bibliotece – wyjaśniła Marygay. – Zadzwoni, gdyby miała się spóźnić. Zerknąłem na zegarek.

–Nie możemy zbyt długo czekać z kolacją. Zebranie miało zacząć się o wpół do dziewiątej.

–Wiem. – Podeszła do ławy, usiadła między nami i podała mi talerz paluszków.

–Od Snella, dostałam dziś rano.

Były słone, twarde i z interesującym chrupnięciem łamały się w zębach.

**–Podziękuję mu wieczorem.**

**–Bal staruszków? – zapytał Bill.**

**–Dziś szóstek – oświadczyłem. – Pójdziemy pieszo, jeśli chcesz wziąć latacz...**

**–Tylko nie pij za dużo wina – dopowiedział i uniósł szklankę. – Nie będę. W sali gimnastycznej jest mecz siatkówki.**

**–Punkt dla gipperera.**

**–Co?**

**–Tak mówiła moja mama. Nie mam pojęcia, co to oznacza.**

**–Brzmi fachowo – odrzekł. – Serw, blok, gip.**

**Tak jakby naprawdę interesowała go siatkówka jako taka. Grają nago, w mieszanych**

**zespołach, więc jest to w takim samym stopniu rytuał godowy, co sport. Nagły podmuch zabębnił kroplami deszczu o szybę.**

**–Lepiej nie idźcie pieszo – powiedział. – Możecie wysadzić mnie przy sali gimnastycznej.**

–Cóż, może to ty nas wysadzisz – zaproponowała Marygay. Trasa latacza nie była rejestrowana. Tylko jego miejsce parkowania, teoretycznie w celu przekazania wezwa

nia. – Pod domem Charliego i Diany. Nie będą mieli nam za złe, jeśli zjawimy się wcześniejszej.

–Dzięki. Zaoszczędzę trochę pary.

Nie miał na myśli gry w siatkówkę. Kiedy posługiwał się naszym starym slangiem, nigdy nie wiedziałem, czy okazuje w ten sposób swój szacunek, czy też z nas drwi. Pewnie mając dwadzieścia jeden lat, robiłem jedno i drugie jednocześnie, rozmawiając z moimi rodzicami.

Na zewnątrz zatrzymał się autobus. Usłyszałem, jak Sara biegnie w deszczu po podeście. Frontowe drzwi otworzyły się i prawie natychmiast zamknęły. Pobiegnęła na górę, żeby się przebrać.

–Kolacja za dziesięć minut – zawołała za nią Marygay. W odpowiedzi usłyszała zniecierpliwione burknięcie.

–Jutro zacznie krwawić – mruknął Bill.

–Od kiedy to bracia interesują się takimi sprawami – powiedziała Marygay.

–Albo mężowie?

Wbił wzrok w podłogę.

–Mówiła coś dzisiaj rano. Przerwałem milczenie.

–Jeśli będzie tam dziś jakiś Człowiek...

–Nigdy tam nie przychodzą. Nikomu nie powiem, że poszliście spiskować.

–Nie spiskujemy – odparła Marygay. – Planujemy. W końcu im powiemy. Jednak to nasza sprawa.

**Nie omawialiśmy tego z nim i z Sarą, ale nie próbowaliśmy również niczego ukrywać.**

**–Też mógłbym tam kiedyś pójść.**

**–Kiedyś – powiedziałem. Raczej nie. Do tej pory była to sprawa wyłącznie pierwszego pokolenia: sami weterani oraz ich małżonkowie. Zaledwie kilkoro z tych małżonków urodziło się na tej planecie, którą Człowiek nazwał „ogrodem”, kiedy pozwolono nam wybrać miejsce, gdzie chcemy osiedlić się po wojnie.**

**Zazwyczaj nazywaliśmy „naszą” planetę MF. Większości zamieszkałych tu ludzi wielopokoleniowa przepaść kulturowa nie pozwalała zrozumieć znaczenia tego skrótu od „środkowego palca”. A nawet jeśli go rozumieli, to zapewne nie kojarzyli tego akronimu z historią Edypa.**

**Mimo to, przeżywszy tutaj choć jedną zimę, z pewnością nazywali tę planetę takimi odpowiednikami słowa „pieprzona”, jakie istniały w ich kulturze.**

MF przedstawiono nam jako cichą przystań, schronienie i miejsce, gdzie na nowo można ułożyć sobie życie. Będziemy na niej mogli żyć jak zwyczajni ludzie, z daleka od Człowieka, a jeśli ktoś zgubił przyjaciół lub ukochanych w relatywistycznym labiryncie Wiecznej Wojny, mógł na nich poczekać w „Time Warp”, przerobionym krążowniku, który kursował tam i z powrotem między Mizarem a Alcorem z prędkością, która prawie powstrzymywała proces starzenia.

Oczywiście okazało się, że Człowiek chce mieć nas na oku, gdyż byliśmy elementem jego przezornej polityki genetycznej. Mogliby wykorzystać nas jako matrycę, gdyby po iluś tam pokoleniach coś się pokręciło w mechanizmie genetycznym wytwarzającym osobniki będące kalkami samych siebie. (Kiedyś użyłem tego określenia w rozmowie z Billem; chciałem je wyjaśnić, ale on wiedział, co to takiego „kalka”. Tak jakby wiedział, co to rysunek naskalny).

Jednak Człowiek nie był biernym obserwatorem. Był dozorcą zoo. A MF rzeczywiście przypominała zoo – sztuczne i uproszczone środowisko. Tylko że dozorczy wcale go nie stworzyli. Oni po prostu na nie natrafili.

Middle Finger, jak wszystkie odkryte przez nas planety klasy Wegi, była przedziwną anomalią. Nie mieściła się w żadnym normalnym modelu powstawania i ewolucji planet.

Nazbyt młoda i jasna, błękitna gwiazda z jedną planetą wielkości Ziemi, zasobna w tlen i wodę. Planeta krąży po takiej orbicie, która umożliwia istnienie życia – chociaż niezbyt bujnego.

(Fachowcy mówią nam, że nie można uzyskać planety typu Ziemi, jeśli w układzie planetarnym nie ma olbrzyma podobnego do Jowisza. Tak więc takie gwiazdy jak Wega czy Mizar też nie powinny mieć swoich odpowiedników Ziemi).

Na Middle Finger są pory roku, ale nie zapewnia ich nachylenie do słońca, lecz mocno wydłużona orbita. Mamy tu sześć pór roku, rozłożonych na trzy ziemskie lata: wiosnę, lato, jesień, przedzimie, zimę i odwilż. Oczywiście planeta porusza się tym wolniej, im dalej jest od słońca, tak więc zimne pory roku są długie, a ciepłe krótkie.

Większość planety to arktyczna pustynia lub sucha tundra. Nawet na równiku jeziora i strumienie pokrywa w zimie gruba kora. Przy biegunach jeziora są blokami litego lodu i tylko na ich powierzchni w ciepłe letnie dni tworzą się sterylne kałuże. Na dwóch trzecich powierzchni planety nie występują żadne formy życia poza przyniesionymi przez wiatr zarodnikami i mikroorganizmami.

System ekologiczny również jest dziwnie prosty – mniej niż sto miejscowych

gatunków roślin oraz zbliżona liczba owadów oraz stworzeń podobnych do stawonogów. Żadnych miejscowych ssaków, tylko kilkadziesiąt gatunków mniejszych lub większych zwierząt, trochę przypominających nasze gady lub płazy. Załedwie siedem gatunków ryb i cztery rodzaje mięczaków.

Nic tutaj nie ewoluowało z czegoś innego. Nie ma tu skamieniałości, ponieważ nie miały czasu, by powstać – analiza izotopowa atomów węgla nie wykazuje na powierzchni i tuż pod nią niczego, co miałoby więcej niż dziesięć tysięcy lat. A jednocześnie pobrane już na głębokości pięćdziesięciu metrów próbki ujawniają, że ta planeta jest równie stara jak Ziemia.

Tak jakby ktoś przyholował tę planetę i zaparkował ją tutaj, pozostawiwszy na niej kilka prostych form życia. Tylko skąd ją zabrał, kim był i kto zapłacił rachunek za transport? Cała energia zużyta przez ludzi i Taurańczyków podczas Wiecznej Wojny nie wystarczyłaby, żeby wyrwać tę planetę z orbity.

Dla nich, dla Taurańczyków, to także pozostaje zagadką, co trochę mnie pociesza.

Są inne zagadki, które nie są tak krzepiące. Największą z nich jest fakt, że ten zakątek wszechświata był już kiedyś zamieszkały, ponad pięć tysięcy lat temu.

Najbliższa planeta Taurańczyków, Tsogot, została odkryta i skolonizowana podczas Wiecznej Wojny. Znaleźli na niej ruiny wielkiego miasta, większego od Nowego Jorku czy Londynu, zasypane przez ruchome wydmy. Na orbicie krążyły kadłuby kilkudziesięciu obcych statków kosmicznych, w tym jednego międzygwiazdowego.

I żadnego śladu istot, które stworzyły tę potężną cywilizację. Nie pozostawili po sobie żadnych posągów ani obrazów, co jeszcze można wytłumaczyć specyficzną kulturą. Jednak nie pozostały po nich też ciała, ani jednej kosteczki, co już trudniej wyjaśnić.

Taurańczycy nazywają ich Bloor, co oznacza „zaginieni”.

Zwykle gotuję w szóstek, ponieważ wtedy nie uczę, ale Greytonowie przynieśli dwa króliki, a sos potrawkowy to specjalność Marygay. Dzieci lubią to danie bardziej od jakiegokolwiek innego z Ziemi. A najbardziej lubią niewyszukane miejscowe potrawy, gdyż tylko takie dostają w szkole. Marygay twierdzi, że to instynkt samozachowawczy. Nawet na Ziemi dzieci wołały zwyczajne, dobrze znane pożywienie. Ja byłem wyjątkiem od tej reguły, ale moi rodzice byli dziwakami – hipisami. Jadaliśmy ognieście ostre hinduskie potrawy. Po raz pierwszy skosztowałem mięsa, mając dwanaście lat, kiedy zgodnie z kalifornijskim prawem musieli mnie posłać do szkoły.

Kolacja była zabawna. Bill z Sarą plotkowali o randkach i schadzках swoich znajomych. Sara w końcu przeboleła utratę Taylora, który chodził z nią przez rok, a Bill z przyjemnością słuchał opowieści o wywołanej przez tego chłopaka towarzyskiej katastrofie. Sara poczuła się urażona, kiedy Taylor zadeklarował się jako homo, ale



po kilku miesiącach ponownie stał się hetero i poprosił, żeby znów zaczęła z nim chodzić. Powiedziała mu, żeby trzymał się chłopców. Teraz okazało się, że w tajemnicy rzeczywiście spotykał się z jakimś chłopakiem, który wściekł się na niego, przyszedł do college'u i zrobił wielką awanturę. Wyjawiał przy tym kilka seksualnych sekretów, jakich nie zwykliśmy omawiać przy jedzeniu. Jednak czasy się zmieniają i każdy bawi się jak umie.

Cały ten spisec tak naprawdę zaczął się od moich niewinnych przekomarzań z Charliem i Dianą kilka miesięcy wcześniej. Diana była moim ofcerem medycznym podczas kampanii Sade-138, naszej ostatniej, w Wielkim Obłoku Magellana, a Charlie pełnił obowiązki mojego zastępcy. Diana odbierała poród zarówno Billa, jak i Sary. Ona i Charlie byli naszymi najlepszymi przyjaciółmi.

Większość naszej społeczności wykorzystała wolny szóstek, żeby zebrać się u Larso-nów i pomóc im wznieść magazyn. Teresa też była weteranem, miała za sobą dwie kampanie, lecz jej żona Ami należała do trzeciego pokolenia Paxtończyków. Biologicznie była w naszym wieku i miała dwie sklonowane, nastoletnie córki. Jedna właśnie uczestniczyła w zajęciach na uniwersytecie, ale druga, Sooz, powitała nas ciepło, po czym zabrała się do parzenia kawy i herbaty.

Ciepłe napoje były mile widziane, gdyż jak na późną wiosnę było niezwykle zimno. A także błotniście. Zazwyczaj można było polegać – przynajmniej dotychczas – na kontroli pogody Middle Finger, ale przez kilka ostatnich tygodni mieliśmy za dużo opadów i przepędzanie chmur wcale nie pomagało. Bogowie deszczu byli źli. A może szczęśliwi lub nieuważni: z bogami nigdy nic nie wiadomo.

Pierwszą parą, która przybyła, byli – jak zawsze – Cat i Aldo Verdeur-Sims. I jak zwykle Cat uściskała się z Marygay, ale tylko przelotnie, z uwagi na mężów.

Podczas swojej ostatniej misji Marygay, podobnie jak ja, była heteroseksualnym przeżytkiem w stuprocentowo homoseksualnym świecie. W przeciwieństwie do mnie, zdołała przewyciężyć swoje zasady i zakochać się w kobiecie – Cat. Były razem przez kilka miesięcy, ale podczas ostatniej bitwy Cat została ciężko ranna i odesłano ją na szpitalną planetę Heaven.

Marygay założyła, że to koniec: dylatacja czasu i skok kolapsarowy rozdzielił je o lata albo całe wieki. Tak więc przybyła tutaj, żeby czekać na mnie – nie na Cat – na „Time Warp”. Później, kiedy już byliśmy razem, opowiedziała mi wszystko o Cat, a ja specjalnie się tym nie przejąłem, uznając jej postępowanie za rozsądne przystosowanie się do sytuacji. Jakoś zawsze łatwiej było mi pogodzić się z homoseksualizmem kobiet niż mężczyzn.

Niespodziewanie, zaraz po narodzinach Sary, na MF pojawiła się Cat. Spotkała Aldo na Heaven i dowiedziała się o Middle Finger. Oboje przeszli na hetero – co Człowiek może ci z łatwością załatwić i co w tym czasie było konieczne, jeśli chciałeś osiąść na MF. Z danych Stargate wiedziała, że Marygay jest tutaj i geometria czasoprzestrzeni zadziałała jak należy. Przybyła tu o dziesięć lat młodsza od Marygay i ode mnie. I piękna.

Przyjaźniliśmy się – grywałem z Aldo w szachy i chodziliśmy razem na różne imprezy – ale musiałbym być ślepy, żeby nie zauważyć tęsknych spojrzeń, które czasem wymieniały Cat i Marygay. Czasem żartowaliśmy sobie z tego, ale niezupełnie szczerze. Myślę, że Aldo przejmował się tym bardziej niż ja.

Sara przyszła z nami, a Bill miał przyjść z Charliem i Dianą po kościele. My, niewierzący, musieliśmy zapłacić za naszą swobodę intelektualną: włożywszy robocze buty, brnęliśmy w błocie i wbijaliśmy paliki do zamocowania generatora pola prężeniowego.

Pożyliśmy ten generator ze statku-miasta i wraz z nim dostaliśmy jedynego Człowieka, który wziął udział w stawianiu magazynu. I tak by przyleciała, jako inspektor budowlany, żeby obejrzeć postawiony już budynek.

Generator był wart tylu biurokratów, ile ważył. Nie nadawał się do podnoszenia metalowych wsporników – to wymagało potężnego wysiłku wielu ludzi. Kiedy jednak już je ustawiono, utrzymywał je na swoim miejscu, w dodatku idealnie prosto. Jak bożek, którego irytują nierówno ustawione przedmioty.

Wciąż myślałem o bogach. Charlie z Dianą zostali członkami nowego kościoła Duchowego Racjonalizmu i wciągnęli w to Billa. Właściwie nie wierzyli w bogów w tradycyjnym rozumieniu tego słowa i wszystko to wydawało się dość rozsądne. Ludzie próbowali nadać swojemu codziennemu życiu trochę poezji i duchowych wartości. Myślę, że Marygay też przyłączyłaby się do nich, gdyby nie instynktowny sprzeciw, jaki wywołują we mnie wszelkiego rodzaju religie.

Lar Po miał aparaturę badawczą, w tym stary kolimator laserowy, niewiele różniący się od tego, jakim posługiwałem się w szkole. Wprawdzie musieliśmy taplać się w błocie i wbijać paliki, ale przynajmniej wiedzieliśmy, że zostaną wbite tam, gdzie trzeba.

Statek-miasto dostarczył nam również dużą ciężarówkę z żywicą szklaną, w tym klimacie pewniejszą od cementu i łatwiejszą do stosowania. Pozostawała płynna, dopóki nie poddano jej działaniu ultradźwięków, złożonych z dwóch bezgłośnych akordów na dwóch częstotliwościach. Wtedy ulegała samoutwardzeniu. Lepiej było

**się upewnić, że nie masz jej na rękach czy ubraniu, zanim włączyli ultradźwięki.**

**Stery dźwigarów i złączy wchodziły w skład zestawu, który przywieźli wielkim lataczem z Centrusa. Taką pomoc przydzielano Paxton w oparciu o jakąś zagadkową formułę, obejmującą populację, produktywność oraz fazy księżyca. Tej wiosny mogliśmy dostać dwa takie magazyny, ale tylko Larsonowie zgłosili zapotrzebowanie na jeden.**

Zanim wbiliśmy paliki, była nas już trzydziestka. Teresa miała notes z przydziałem zadań i harmonogramem prac. Ludzie z humorem odbierali polecenia od „pani sierżant Larson”. W rzeczywistości miała stopień majora, tak jak ja.

Charlie i ja pracowaliśmy razem, obsługując zamrażarkę. Po gorzkich pigułkach, które przełknęliśmy podczas pierwszych lat pobytu na planecie, nauczyliśmy się, że każda trwała budowla większa od szalasu musi przez cały rok stać na warstwie lodu. Jeśli przekopiesz warstwę wiecznej zmarzliny i wylejesz stałe fundamenty, popękają w ciągu długiej zimy. Dlatego nie walczyliśmy z klimatem, tylko budowaliśmy na lodzie lub zamrożonym błocie.

Praca była łatwa, ale brudna. Inny zespół zbił prostokątne oszalowanie wokół tego, co miało być podstawą budynku, plus parę dodatkowych centymetrów. Max Weston, jeden z kilku dostatecznie potężnych facetów, mogących poradzić sobie z tym narzędziem, za pomocą młota pneumatycznego wbił pręty stopu w zmarzlinę, mniej więcej w metrowych odległościach wokół oszalowania. Miały przytrzymywać stodołę podczas huraganowych wiatrów, które czyniły tu uprawę ziemi takim ryzykownym przedsięwzięciem. (Satelity kontroli pogody nie miały odpowiedniej mocy, żeby zmienić ich kierunek).

Charlie i ja brodziliśmy w błocie, łącząc długie plastikowe rury w zwiniętego węża, leżącego w tym, co miało stać się podwaliną budowli. Wyrównać i skleić, wyrównać i skleić, aż byliśmy na pół pijani od oparów kleju. Tymczasem zespół, który zbił oszalowanie, nalał wody w to błoto, które zmieni się w równą i grubą warstwę, kiedy je zamrozimy.

Skończyliśmy, podłączyliśmy końce do kompresora i uruchomiliśmy go. Wszyscy zrobili przerwę i teraz obserwowali, jak błoto zmienia się najpierw w papkę, a potem zastyga.

W środku było cieplej, ale Charlie i ja byliśmy zbyt ubłoceni, żeby wchodzić do czyjejs kuchni, więc po prostu usiedliśmy na stercie dźwigarów i poprosiliśmy Sooz, żeby przyniosła nam herbatę.

Machnąłem ręką w kierunku prostokąta błota.

–Bardzo złożone zachowanie jak na stado szczurów laboratoryjnych. Charlie był wciąż otępiały od oparów kleju.

–Mamy szczury?

–Całe rozplodowe stado. Dopiero wtedy kiwnął głową i upił łyk herbaty.

**–Jesteś pesymistą. Przeżyjemy ich. Głęboko w to wierzę.**

**–Tak, wiara przenosi góry. A nawet planety. Charlie nie przeczył temu, co było oczywiste: że jesteśmy zwierzętami w zoo albo**

**w laboratorium. Wolno nam było się mnożyć na Middle Finger, na wypadek gdyby coś**

poszło nie tak z tym wspaniałym eksperymentem, jakim był Człowiek: miliardy identycznych, pozbawionych indywidualności jednostek mających wspólną świadomość. Albo miliardy bliźniaków z próbówki, korzystających ze wspólnej bazy danych, jeśli chce się ująć to dokładniej.

Mogliśmy się klonować tak samo jak oni, nikt nam tego nie zabraniał. Gdybyśmy chcieli mieć syna lub córkę będącą zwierciadlaną kopią któregoś z nas albo skorzystać z fuzji genów tak jak Teresa i Ami, jeśli cechy biologiczne uniemożliwiały normalne spłodzenie potomka, nie było problemu. Jednak głównie chodziło o to, aby zachować okazy będące mieszaniną nie selekcionowanych genów. Tak na wszelki wypadek, gdyby perfekcja jednak zawiodła. Byliśmy ich polisą ubezpieczeniową.

Ludzie zaczęli przybywać na Middle Finger zaraz po zakończeniu Wiecznej Wojny. Emigracja weteranów, trwająca całe stulecia z powodu dylatacji czasu, w końcu objęła kilka tysięcy osób, około dziesięciu procent obecnej populacji. W takich małych osadach jak Paxton trzymaliśmy się razem. Byliśmy przyzwyczajeni do wspólnego działania.

Charlie zapalił papierosa i zaproponował mi jednego. Odmówiłem.

–Myślę, że moglibyśmy ich przetrwać – powiedziałem – gdyby pozwolili nam przeżyć.

–Jesteśmy im potrzebni. My, szczury laboratoryjne.

–Nie, oni potrzebują tylko naszych gamet, które mogą w nieskończoność przechowywać w płynnym helu.

–Tak, rozumiem. Pobiorą od nas spermę i komórki jajowe, a potem nas zabiją. Oni nie są okrutni ani głupi, Williamie, obojętnie co o nich sądzisz.

Człowiek wyszła po podręcznik obsługi maszyny i zabrała go do kuchni. Oni wszyscy wyglądali tak samo, choć u starszych osobników zaznaczały się wyraźne różnice. Przystojni, wysocy, śniadzi, czarnowłosi, o wydatnych szczękach i czołach. Ten Człowiek straciła mały palec lewej ręki i z jakiegoś powodu nie zregenerowała go sobie. Pewnie uznała, że nie warto tracić na to czasu i cierpieć. Wielu z nas, weteranów, dobrze pamiętało udrękę związaną z odrastaniem kończyn i narządów.

Kiedy znalazła się poza zasięgiem głosu, dokończyłem:

–Nie zabiją nas, bo nie będą musieli. Kiedy zbiorą potrzebny materiał genetyczny, wystarczy, że nas wysterylizują. Zakończą eksperyment, pozwalając nam wymrzeć

śmiercią naturalną.

–Jesteś dziś w niezłym humorze.

–Tak sobie nawijam. – Charlie po chwili kiwnął głową. Urodził się sześćset lat później, więc nie używaliśmy tego samego zestawu idiomów. – Jednak tak możemy skończyć, jeśli staniemy się politycznym zagrożeniem. Jakoś ułożyli sobie stosunki z Taurań-czykami i teraz my jesteśmy dla nich zagrożeniem. Nie mamy zbiorowej osobowości, z którą mogliby się zadawać.



–Cóż więc chcesz zrobić, walczyć z nimi? Nie jesteśmy już świeżutcy jak letnia trawa.

–Mówi się „świeżutki jak wiosenna trawa”.

–Wiem, Williamie. Tylko że żaden z nas nie jest już nawet tak świeży, jak trawa w lecie.

Stuknąłem kubkiem o jego kubek.

–Masz rację. Mimo to jesteśmy jeszcze dość młodzi, żeby walczyć.

–Czym? Twoimi sznurami rybackimi i moimi palikami do pomidorów?

–Oni też nie są dobrze uzbrojeni.

Jednak gdy to mówiłem, ciarki przebiegły mi po plecach. Kiedy Charlie wyliczał posiadane przez nich rodzaje uzbrojenia, o jakich wiedzieliśmy, zdałem sobie sprawę z tego, że właśnie ważą się losy ludzkości – dopóki żyje dostatecznie duża grupa weteranów Wiecznej Wojny na tyle młodych, by walczyć.

Zbiorowa świadomość Człowieka z pewnością doszła do tego samego wniosku.

Sooz znów przyniosła nam herbatę i wróciła do kuchni, aby powiedzieć innym, że nasz błotny stawek zamarzał na kość. Tak więc nie mieliśmy już czasu na snucie tych paranoicznych rozważań. Jednak ziarno zostało zasiane.

Rozwinęliśmy i rozłożyliśmy dwie bele tkaniny izolacyjnej, a potem zabraliśmy się do tej przedziwnej roboty, jaką jest wznoszenie ścian stodoły.

Z podłogą poszło łatwo: należało zamocować prostokątne kawały pianostali, każdy ważący około osiemdziesiąt kilogramów. Dwie krzepkie lub cztery przeciętnie silne osoby mogły bez trudu podnieść każdy z nich. Bloki były ponumerowane od I do 40. Podnosiliśmy je i układaliśmy na miejsca, równo z palikami wbitymi przez nas, agnostyków.

Było przy tym trochę zamieszania, gdyż wszyscy obecni chcieli pracować jednocześnie. W końcu jednak poukładaliśmy bloki we właściwej kolejności.

Potem usiedliśmy i patrzyliśmy, jak wylewa się żywicę. Deski służące jako oszalowanie dla zamrażanego błota, teraz też spełniły tę rolę. Po i Eloi Casi użyli długich, podobnych do szczotek narzędzi, którymi wyrównywali szarą masę, która wylewała się z ciężarówki. W końcu i tak sama by się wypoziomowała, ale

wiedzieliśmy z doświadczenia, że pomagając jej w tym, można zaoszczędzić mniej więcej godzinę. Kiedy warstwa była gruba na kilka palców i idealnie równa, Człowiek nacisnęła guzik i zmieniła ją w coś przypominającego marmur.

Dopiero wtedy zaczęła się ciężka praca. Byłaby łatwiejsza z dźwigiem i podnośnikiem widłowym, lecz Człowiek był dumny z tego, że zaprojektował zestawy do ręcznego składania, w ramach zbiorowej pomocy sąsiedzkiej. Tak więc nie dostarczał żadnych maszyn budowlanych, chyba że w nadzwyczajnych przypadkach.

**(Prawdę mówiąc, wcale nie było takiej potrzeby: w tym roku Larsonowie nie mieli czego składować w tym magazynie, gdyż nazbyt obfite deszcze prawie całkowicie zniszczyły ich uprawy).**

**Co czwarty blok miał na obu końcach prostokątne otwory, do wstawienia pionowych dźwigarów. Wystarczyło połączyć trzy dźwigary – dwóch ścian i stropu – wlać sporo kleju do tych otworów i wstawić w nie końce słupów. Pod działaniem generatora pola, słupy po podniesieniu same ustawiały się w idealnie równej pozycji.**

**Po wstawieniu pierwszego kolejne ustawiało się trochę łatwiej, ponieważ można było przetrzasnąć trzy lub cztery liny przez stojące już dźwigary i podnieść na nich kolejny zmontowany element.**

**Do następnego etapu prac byli potrzebni zręczni młodzi ludzie nie mający lęku wysokości. Nasi Bill i Sara oraz Matt Anderson i Carey Talos wspięli się po słupach – co nie było trudne, gdyż w elementach były wyprofilowane uchwyty i szczebelki – po czym stanęli na rusztowaniu z desek i wciągali na górę trójkątne wsporniki. Smarowali je klejem i umieszczali w odpowiednich miejscach, a generator pola natychmiast je dopychał i dokładnie ustawiał. Potem łatwo już było kleić i przybijać płyty pokrycia dachu. Tymczasem pozostali na dole przykleili i przybili zewnętrzne oraz wewnętrzne ściany, a potem rozwinęli rolki grubej tkaniny izolacyjnej i wepchnęli ją między nie. Było trochę zabawy z montowaniem modułów okiennych, ale Marygay i Cat jakoś sobie z tym poradziły, pracując razem – jedna na zewnątrz, druga wewnątrz budynku.**

**Błyskawicznie zakończyliśmy prace we wnętrzu, gdyż wystarczyło powstawić gotowe ścianki działowe, osadzając je w wyprofilowanych otworach w ścianach, podłodze i dźwigarach stropu. Stoły, pojemniki, ramy, półki... Trochę zazdrościłem Larsonom. Nasz budynek gospodarczy był zwyczajną, byle jak skleconą szopą.**

**Eloi Casi, który lubi prace stolarskie, przyniósł stojak na ponad sto butelek wina, żeby Larsonowie odkładali kilka z każdego dobrego rocznika. Większość z nas przyniosła coś na przyjęcie: ja wziąłem trzydzieści rozmrożonych i oczyszczonych ryb. Upieczone na węglu i z ostrym sosem nie były takie złe, a Bertramowie przyjechali ze swoim wielkim grillem oraz sporym zapasem porąbanego drewna. Rozpalili ogień kiedy zaczęliśmy prace wykończeniowe w budynku i, zanim je skończyliśmy, na palenisku już żarzyły się czerwone węgle. Oprócz naszych ryb piekły się kurczaki, królik oraz duże miejscowe grzyby.**

**Byłem zbyt brudny i zmęczony, żeby mieć ochotę na przyjęcie, ale mieli tam ciepłą wodę do mycia, a Ami przyniosła kilka litrów własnoręcznie pędzonego bimbrowa, w**

którym przez kilka miesięcy moczyły się różne owoce, żeby zabić zapach. Mimo to trunek był ognisty i postawił mnie na nogi.

Ci sami ludzie co zwykle przynieśli instrumenty i wydobywali z nich dźwięki, które całkiem nieźle brzmiały w tej wielkiej pustej szopie. Ci, którym pozostało jeszcze trochę

sił, tańczyli na nowej, gładkiej jak marmur posadzce. Zjadłem rybę z grzybami i pieczonymi ziemniakami i wypilem tyle bimbrow, że o mało sam nie ruszyłem w tany.

Człowiek uprzejmie odmówiła naszego poczęstunku, wykonała kilka pomiarów naprężeń i oznajmiła, że magazyn spełnia normy bezpieczeństwa. Potem wróciła do domu, aby zajmować się tym czymś, czym oni zwykle się zajmują.

Charlie i Diana podeszli do mnie, kiedy stałem przy grillu. Wzięli po kawałku kurczaka, a ja rybę.

–A więc chcielibyście z nimi walczyć? – powiedziała cicho. Widocznie Charlie powtórzył jej naszą rozmowę. – I po co? Gdybyście nawet zabili ich wszystkich, co by wam to dało?

–Och, wcale nie chcę zabijać żadnego z nich. To ludzie, chociaż uważają się za jakiś nowy gatunek. Właśnie przygotowuję pewien plan. Wyjawię go na zebraniu, kiedy dopracujemy szczegóły.

–My? Ty i Marygay?

–Jasne. – Prawdę mówiąc, jeszcze z nią o tym nie rozmawiałem, gdyż wpadłem na ten pomysł między wylewaniem podłogi a stawianiem dźwigarów. – Jeden za jednego i wszyscy za wszystkich.

–W dawnych czasach mieliście dziwne powiedzonka.

–Byliśmy dziwnymi ludźmi. – Ostrożnie zdjąłem z rusztu upieczoną rybę i zsunąłem ją na ciepły półmisek. – Jednak zdołaliśmy sporo dokonać.

Przegadaliśmy z Marygay całą noc i część poranka. Miała prawie tak samo jak ja dość Człowieka i narzuconej nam roli rozplodowego stada przetrzymywanego na zakazanej, arktycznej planecie. Mogliśmy tu przetrwać, ale nic poza tym. Powinniśmy zrobić coś więcej, dopóki jeszcze jesteśmy dość młodzi.

W pierwszej chwili entuzjastycznie przyjęła mój plan, lecz potem zaczęła mieć zastrzeżenia, ze względu na dzieci. Ja byłem przekonany, że uda nam się namówić je, żeby wzięły w tym udział. Przynajmniej Sarę, pomyślałem w duchu.

Marygay zgodziła się ze mną, że powinniśmy dopracować kilka szczegółów, zanim przedstawimy plan na zebraniu. Nie wyjawiać go dzieciom, dopóki nie przedyskutujemy go z weteranami.

**Nie spałem prawie do rana, ożywiony duchem buntu. Potem przez kilka tygodni usiłowaliśmy zachowywać się zupełnie normalnie, od czasu do czasu urywając się na godzinę, żeby wyjąć schowany notatnik i zapisać w nim jakieś pomysły lub wykonać obliczenia.**

**Z perspektywy czasu uważam, że powinniśmy od początku wprowadzić we wszystko Billa i Sarę. Potrzeba działania w tajemnicy i chęć sprawienia wszystkim niespodzianki mogła wpłynąć na naszą ocenę sytuacji.**

Do zachodu słońca lekka mżawka przeszła w prószący śnieg, więc pozwoliliśmy Billowi jechać prosto na mecz siatkówki, a sami ruszyliśmy pieszo do domu Charliego. Większy z dwóch księżyców, Selena, był w pełni, więc chmury miały miłą i dogodną opalizującą barwę. Nie potrzebowaliśmy latarek.

Ich dom stał w odległości klika od jeziora, w dolince porośniętej wiecznie zielonymi drzewami, które niepokojąco przypominały ziemskie palmy. Drzewa palmowe pokryte grubą warstwą śniegu – oto najlepsze podsumowanie Middle Finger.

Zadzwoniliśmy i uprzedziliśmy, że przyjdziemy wcześniej. Pomogłem Dianie nastawić samowar i zaparzyć kawę, podczas gdy Marygay pomagała Charliemu w kuchni.

(Dianę i mnie łączyła pewna intymna tajemnica, o której nawet ona nic nie wiedziała. Przed przybyciem tutaj mająca zdecydowanie lesbijskie skłonności, podczas kampanii Sade-138 upiła się i zaczęła się do mnie przystawiać, chcąc spróbować, jak to się robi w tradycyjny sposób. Jednak straciła przytomność, zanim któreś z nas zdążyło posunąć się dalej, a rano niczego nie pamiętała).

Podniosłem żelazny dzbanek z wrzątkiem i zalałem listki w dwóch naczyniach. Herbata to jedyna roślina, która doskonale zaadoptowała się do warunków życia na tej planecie. Kawa była nie lepsza od sojowej, z wojskowych racji. Na tej planecie nie było dostatecznie ciepłego miejsca, gdzie mogłaby normalnie rosnać.

Odstawiłem dzbanek.

–Widzę, że ręka już ci nie dokucza? – zauważyła Diana. Kiedy naciągnąłem sobie mięśnie podczas pracy na dachu, dała mi bandaż elastyczny i kilka tabletek.

–Nie podnosiłem niczego cięższego od kawałka kredy. Wcisnęła przycisk minutnika.

–Posługujesz się kredą?

–Kiedy nie potrzebuję hologramu. Dzieciaki są zafascynowane.

–Masz w tym roczniku jakichś geniuszy?

Uczyłem fizyki w ostatnich klasach liceum i prowadziłem zajęcia z matematycznych podstaw fizyki w college'u.

–Jednego w całym college'u. To Matthew Anderson, syn Leony. Oczywiście, nie uczyłem go w liceum.

Szczególnie uzdolnieni uczniowie uczęszczali do klas, w których nauczał Człowiek. Tak jak mój syn.

–Przeważnie staram się tylko, żeby nie zasnęli.

Charlie i Marygay przynieśli tace z serem i owocami, po czym Charlie wyszedł na zewnątrz, po nową porcję drewna na kominek.

Ich dom był lepiej rozplanowany niż nasz, a także większość innych. Na parterze był jeden duży pokój z przylegającą do niego kuchnią. Budynek to metalowa kopuła, będąca połową zbiornika paliwa taurańskiego okrętu wojennego, z wyciętymi otworami na okna i drzwi. Drewniana boazeria i draperie maskowały dawny charakter tego wnętrza. Spiralne schody wiodły do sypialń i biblioteki na piętrze. Diana miała tam niewielkie biuro i gabinet, ale większość pracy wykonywała w mieście, w szpitalu i w klinice uniwersyteckiej.

Kominek był owalnym paleniskiem z cegieł znajdującym się w połowie drogi między ścianą a środkiem pomieszczenia i nakrytym stożkowym okapem. Tak więc trochę przypominał prymitywne obozowe ognisko – niezłe miejsce na zebranie rady starszych.

Taką właśnie naradą było to spotkanie, chociaż wiek uczestników wahał się od tysiąca do zaledwie stu lat, zależnie od tego, kiedy zostali powołani podczas Wiecznej Wojny. Natomiast biologiczny wiek mieścił się w granicach trzydziestu kilku do czterdziestu paru ziemskich lat. Na tej planecie lata były trzykrotnie dłuższe. Może ludzie w końcu oswoją się z myślą, że do szkoły idzie się mając dwa lata, pokwita przed osiągnięciem czterech, a dorosłym staje się w wieku sześciu. Jednak nie moje pokolenie.

Przybyłem tutaj, mając trzydzieści dwa lata, chociaż licząc od daty urodzenia, ale pomijając dylatację czasu i skoki kolapsarowe, miałem tysiąc sto sześćdziesiąt osiem ziemskich lat. Tak więc teraz miałem pięćdziesiąt cztery lata, albo – jak mówili niektórzy weterani, usiłując pogodzić ze sobą te dwa systemy – „trzydzieści dwa plus sześć”.



**Weterani zaczęli przybywać: pojedynczo, parami i czwórkami. Zazwyczaj przychodziło około pięćdziesięciu, mniej więcej jedna trzecia tych, którzy zamieszkiwali w najbliższej okolicy. Jednym z uczestników był obserwator z rejestratorem holograficznym, przybywający ze stolicy, Centrusa. Nasza grupka weteranów nie miała nazwy, ani żadnego zarządu, lecz nagrania z tych nieformalnych spotkań przechowywano w archiwum wielkości kulki do gry.**

**Jedna kopia znajdowała się w bezpiecznym miejscu, a druga w kieszeni kobiety z rejestratorem. Każdy zapis automatycznie zaszyfrowałby się, gdyby dotknął go Człowiek lub Taurańczyk. Powlekająca kulkę warstewka rozpoznawała DNA.**

Wcale nie dlatego, że często toczono tu tajne lub wywrotowe rozmowy. Człowiek wiedział, co myśli większość weteranów i nie przejmował się tym. Bo cóż mogliśmy zrobić?

Z tego samego powodu tak niewielu weteranów przychodziło na te spotkania i wielu z nich tylko po to, żeby zobaczyć przyjaciół. Jaki sens narzekać? I tak nic się nie zmieni. Ponadto nie wszyscy uważali, że należy coś zmienić. Nie mieli nic przeciwko temu, żeby być „eugenicznym wzorcem”. Ja nazywałem to „ludzkim ogrodem zoologicznym”. Kiedy umierał jakiś Człowiek, w przyspieszonym tempie klonowano następnego. Nigdy nie zmieniano ich garnituru genetycznego – po co psuć coś, co jest doskonale? My mieliśmy egzystować i płodzić dzieci w tradycyjny sposób, podlegać przypadkowym mutacjom i prawom ewolucji. Pewnie gdybyśmy stworzyli coś lepszego od Człowieka, zaczęliby wykorzystywać nasz materiał genetyczny. Albo zobaczyliby w nas niebezpiecznych rywali i natychmiast pozabijali.

Na razie jednak byliśmy „wolni”. Człowiek pomógł nam stworzyć na tej planecie cywilizację i utrzymywać kontakty z innymi zamieszkanymi światami, włącznie z Ziemią. Po demobilizacji mogłeś nawet polecieć na Ziemię, jeśli byłeś gotowy zapłacić wyznaczoną cenę: dać się wysterylizować i zostać jednym z nich.

Wielu weteranów tak zrobiło, lecz mnie wcale tam nie ciągnęło. Jedno wielkie miasto, pełne Człowieka i Taurańczyków. Wolałem już te długie zimy w przyjemniejszym towarzystwie.

Większość ludzi była zadowolona z pobytu tutaj. Miałem nadzieję, że tego wieczoru to się zmieni. Opracowaliśmy z Marygay plan, który zamierzałem z nimi przedyskutować.

Po upływie około pół godziny było nas czterdzieści osób zebranych wokół kominka. Podejrzywałem, że pogoda zniechęciła innych do przyścia. Diana postukała w kieliszek, prosząc o głos, po czym przedstawiła kobietę z Centrusa.

Miała na imię Lori. Mówiła po angielsku z typowym akcentem Człowieka, jakim mówi większość mieszkańców Centrusa. (Wszyscy weterani władają językiem angielskim, który był standardowym językiem podczas Wiecznej Wojny, używanym przez ludzi urodzonych w różnych stuleciach, na różnych kontynentach, a nawet planetach. Niektórzy z nas posługiwali się nim tylko podczas takich spotkań i to z wyraźnym trudem).

Była mała i drobna, i miała interesujący tatuaż, który wystawał spod trykotowej koszulki: wąż z jabłkiem w pysku.

**–Mam tylko kilka informacji, których nie podano w wiadomościach – oznajmiła. – Grupka Taurańczyków przyleciała na jeden dzień, najwidoczniej jako oficjalna delegacja. Jednak nie pokazywali się publicznie.**

**–To dobrze – rzekł Max Weston. – Nie będę płakał, jeśli już nigdy nie zobaczę żadnego z tych drani.**

- Zatem nie przyjeżdżaj do Centrusa. Ja codziennie widuję jednego lub dwóch w tych ich bańkach.
- Mają tupet – mruknął. – Prędzej czy później ktoś zacznie do nich strzelać.
- Może właśnie o to chodzi – powiedziałem. – Są przynęta, kozłami ofarnymi. Żeby sprawdzić, kto ma broń i dość gniewu.
- Możliwe – przyznała Lori. – Nic szczególnego nie robią, tylko kręcą się po mieście.
- Turyści – rzekł Mohammed Morabitu. – Nawet Taurańczycy mogą być turystami.
- Trzej są tam na stałe – poinformowała Cat. – Mój znajomy instalował pompę ciepłą w ich apartamencie w Biurze Kontaktów Międzyplanetarnych.
- W każdym razie – oznajmiła Lori – ci Taurańczycy przylecieli na jeden dzień, zostali zabrani lataczem z przyciemnionymi szybami do gmachu nadzoru, gdzie spędzili cztery godziny, po czym wrócili na prom i odlecieli. Widziało ich kilku dostawców, inaczej ludzie nawet nie wiedzieliby o tym, że tu byli.
- Zastanawiam się, po co zadali sobie tyle trudu – odezwałem się. – Przecież ich delegacje już tutaj bywały.
- Nie wiem. Ten krótki czas wizyty jest dziwny, tak samo jak czteroosobowy skład delegacji. Dlaczego zbiorowy umysł miałby wysyłać więcej niż jednego przedstawiciela?
- Na zapas – rzekł Charlie. – Max mógł natknąć się na nich i zabić trzech gołymi rękami.

Jeśli dobrze potrafiśmy to ocenić, taurańska „zbiorowa jaźń” nie była niczym bardziej zagadkowym od tej, którą stworzył Człowiek. Żadnej telepatii ani niczego podobnego. Każdy osobnik regularnie łączył się ze zbiorową pamięcią, przekazując i pobierając doznania. Jeśli umarł, zanim połączył się z Drzewem Pamięci, jego informacje były bezpowrotnie utracone.

Wydawało się to chore, gdyż oni wszyscy byli identyczni. Jednak my też moglibyśmy to robić, gdybyśmy pozwolili wywiercić sobie dziury w czaszkach i zainstalować łącza. Dziękuję, nie. I tak mam dość na głowie.

- Poza tym – ciągnęła Lori – w Centrusie niewiele się dzieje. Faceci od pola siło wego znowu przegrali, więc przez kolejny rok będziemy odgarniać śnieg.

**Niektórzy roześmiali się, słysząc te słowa. Centrus ze swoimi dziesięcioma tysiącami mieszkańców nie był dostatecznie dużym ośrodkiem, żeby przyznano mu przydział energii pozwalający na utrzymanie pola siłowego przez całą zimę. Jednakże był stolicą planety i niektórzy obywatele pragnęli takiej osłony nie tylko dla wygody, ale również jako symbolu jego statusu. Nie wystarczało im to, że mają jedyny kosmoport i goszczą obcych przybyszów.**

Jeśli dobrze się orientowałem, żaden Taurańczyk nigdy nie był w Paxton. Przyjazd tutaj mógłby być dla nich niebezpieczny. W naszej społeczności wielu było takich weteranów jak Max, nie potrafiących przebaczyć. Ja nie żywiłem do nich żadnych wrogich uczuć. Wieczna Wojna była kolosalną pomyłką i być może to my ponosiliśmy większą winę niż oni.

Mimo to byli paskudni, okropnie śmierdzieli i zabili wielu moich przyjaciół. Jednak to nie Taurańczycy skazali nas na dożywocie na tym lodowcu. To był pomysł Człowieka. A ten mógł sobie być jednym osobnikiem powielonym kilka miliardów razy, lecz pomimo to biologicznie był istotą ludzką.

Znaczna część naszych rozmów podczas takich spotkań dotyczyła skarg, które już przekazano oficjalnymi kanałami. Sieć energetyczna była w kiepskim stanie i koniecznie trzeba ją było naprawić przed zimą, inaczej mogą być ofary w ludziach. Tymczasem jedyną odpowiedzią Centrusa był harmonogram inwestycji, w którym wciąż byliśmy przesuwani na dalszy plan z korzyścią dla miast znajdujących się bliżej stolicy. (My byliśmy najdalej – rodzaj Alaski lub Syberii, jeśli posłużyć się takimi porównaniami, których już prawie nikt nie rozumie).

Oczywiście głównym powodem tych tajnych spotkań był fakt, że Centrus nie odzwierciedlał naszych trosk i nie spełniał naszych potrzeb. Rząd był złożony z ludzi – reprezentantów wybranych w oparciu o liczebność poszczególnych grup zawodowych. Jednakże w rzeczywistości Człowiek sprawował nad nimi nadzór równoznaczny z prawem weta.

A Człowiek miał zupełnie inne priorytety niż my. I nie była to jedynie kwestia stosunków między miastem a krajem, chociaż czasem tak to wyglądało. Ja nazywałem to „segregacją rasową”. Prawie połowa populacji Człowieka na naszej planecie zamieszkiwała w Centrusie, a większość tych, których przysyłano do takich miejsc jak Paxton, pozostawała tu zaledwie jeden rok, po czym wracała. Tak więc wszystko to, co było korzystne dla Centrusa, przynosiło korzyści Człowiekowi, a osłabiało nas, na prowincji, choć nie bezpośrednio.

Oczywiście, spotykałem się z Człowiekiem jako nauczycielami i kilkakrotnie z osobnikami pełniącymi funkcje administracyjne. Już dawno oswoiłem się z tym niesamowitym wrażeniem, które wywoływał widok ich wszystkich wyglądających i zachowujących się tak samo. Zawsze spokojnych i rozsądnych, poważnych i delikatnych. Odrobinę litujących się nad nami.

Rozmawialiśmy o problemach energetycznych, szkolnych, o kopalni fosfatów, którą chcieli wybudować zbyt blisko Paxton (a która jednocześnie dałaby nam bardzo

**potrzebną towarową kolej jednoszynową) oraz innych, mniej ważnych sprawach.  
Potem odpaliłem moją bombę.**

–Mam skromną propozycję. – Marygay spojrzała na mnie i uśmiechnęła się.

–Marygay i ja pomyśleliśmy, że wszyscy powinniśmy dopomóc Człowiekowi i naszym taurańskim braciom w ich szlachetnym eksperymencie.

Na chwilę zapadła głucha cisza, przerywana jedynie trzaskiem płonącego drewna. Uświadomiłem sobie, że zwrot „skromna propozycja” nie ma żadnego znaczenia dla większości z nich, urodzonych setki lat po Swifcie.

–W porządku – rzekł Charlie. – Gdzie puenta tego dowcipu? – Chcą odizolować ludzi i trzymać w rezerwacie, jako zapasowy materiał genetyczny. Odizolujmy się od nich całkowicie. Proponuję, żebyśmy przejęli „Time Warp”. Tylko nie będziemy nim krążyć między Mizarem i Alcorem. Polecimy najdalej jak się da, a potem tu wrócimy.

–Dwadzieścia tysięcy lat świetlnych – powiedziała Marygay. – Tam i z powrotem to czterdzieści tysięcy. Dajmy im dwa tysiące pokoleń na ten eksperyment.

–A sobie spokój na dwa tysiące pokoleń – dorzuciłem.

–Ilu z nas możecie zabrać? – zapytała Cat.

–Na „Time Warp” zmieści się dwieście osób – powiedziała Marygay. – Spędziłam na nim kilka lat, czekając na Williama, i nie było tak źle. Podczas długiej podróży może tam przebywać sto pięćdziesiąt osób.

–Jak długiej? – zapytał Charlie.

–Postarzejemy się o dziesięć lat – powiedziałem. – Rzeczywistych.

–To ciekawy pomysł – odezwała się Diana – ale wątpię, żebyście musieli porywać ten przeklęty wrak. To zabytek, nie używany od pokoleń. Po prostu o niego poproście.

–Nawet nie musielibyśmy o niego prosić. Człowiek nie ma do niego żadnych praw własności. Ja sama zapłaciłam jedną trzysta dwunastą jego wartości – powiedziała Ma-rygay.

Ten „prom czasowy” zakupiło trzystu dwunastu weteranów.

–Pieniędźmi sztucznie pomnożonymi przez teorię względności – przypomniała Lori.  
– Za odsetki, które narosły od twojego żołdu, kiedy walczyłeś.



**–To prawda. Mimo wszystko były to pieniądze. – Marygay zwróciła się do innych.**

**–Czy jeszcze ktoś kupił udział w tym promie?**

**Obecni zaczęli kręcić głowami, lecz Teresa Larson podniosła rękę.**

**–Po prostu ukradli go nam – oznajmiła. – Miałam miliardy ziemskich dolarów, dość by kupić sobie wyspę na Nilu. Tymczasem na Middle Finger nie kupiłabym za nie kromki chleba.**

**–Będę adwokatem diabła – rzekłem. – Człowiek oświadczył, że „zaopiekuje się” statkiem, jeśli go porzucimy. A większość z nas przestała się nim interesować, kiedy już spełnił swoją rolę.**

**–Włącznie ze mną – przerwała Marygay. – I nie przeczę, że chętnie wzięłam udział w tym oszustwie. Wykupili nasze udziały pieniędzmi, które mogliśmy wydać jedynie na Ziemi. W tym czasie było to zabawne – bezwartościowe pieniądze w zamian za bezwartościowy antyk.**

–Bo to jest antyk – wtrąciłem. – Marygay zabrała mnie tam kiedyś i pokazała wszystko. Tylko czy kiedykolwiek zastanawialiście się nad tym, dlaczego w ogóle utrzymują go na chodzie?

–Ty nam powiedz – odparła Diana. – Bo widzę, że chcesz.

–Nie przez sentyment, to pewne. Podejrzewam, że trzymają go na orbicie jako rodzaj łodzi ratunkowej dla siebie, w razie gdyby sprawy przybrały zły obrót.

–A więc postarajmy się, żeby przybrały – zaproponował Max. – Upchnijmy ich tam jak sardynki i wystrzelmy z powrotem na Ziemię. Albo do ich taurańskich kumpli.

Zignorowałem go.

–Obojętnie jakie mają plany, nie oddadzą nam statku. Może i ma trzy ziemskie stulecia, ale to wciąż największa i najpotężniejsza maszyna w tej części wszechświata – nawet bez uzbrojenia krążownik trzeciej klasy budzi respekt. Teraz już takich nie robią. Prawdopodobnie jest wart jedną dziesiątą zasobów finansowych całego układu.

–Ciekawy pomysł – rzekła Lori – ale jak zamierzasz dostać się na statek? Oba promy kosmiczne, które znajdują się na tej planecie, są w Centrusie. Musiałbyś porwać co najmniej jeden z nich, żeby potem przejąć krążownik i wykorzystać go jako prom relatywistyczny.

–Należałoby to zaplanować – przyznałem. – Musielibyśmy stworzyć sytuację, w której alternatywą przejścia przez nas „Time Warp” byłoby coś nie do zaakceptowania. Na przykład, gdybyśmy porwali tych czterech Taurańczyków i zagrozili, że ich zabijemy?

Lori zaśmiała się.

–Pewnie powiedzieliby: „Zabijcie ich”, i posłali po czterech następnych.

–Wcale nie jestem tego taki pewien. Podejrzewam, że oni mogą być niewymien-ni w takim samym stopniu, jak Człowiek. Mamy tylko ich słowa na to, że jest inaczej, a przecież – jak sama mówisz – jeśli wszyscy są jednością, to po co marnują pieniądze, przysyłając tu czteroosobową delegację?

–Moglibyście najpierw poprosić ich o ten statek – przerwała Ami Larson. – Chcę powiedzieć, że przecież oni są rozsądni. Gdyby odmówili, to wtedy...

**Ludzie zaczęli szeptać, a kilkoro zaśmiało się. Ami była Paxtonką w trzecim pokoleniu, a nie weteranem. Znalazła się tu, ponieważ wyszła za Teresę.**

**–Ty wychowałaś się wśród nich, Ami. – Diana powiedziała to z neutralnie kamienną twarzą. – Niektórzy z nas, starych, nie są tak ufni.**

**–A więc wrócimy za dziesięć, czy też czterdzieści tysięcy lat – zauważył Lar Po. – Załóżmy, że eksperyment Człowieka się powiedzie. Będziemy niepotrzebnymi kromaniończykami.**

–Gorzej – przytaknąłem wesoło. – Zapewne skierują swoją ewolucję na zupełnie nowe tory. Możemy być dla nich rodzajem domowych zwierzątek. Albo meduz. Jednak mój plan w znacznym stopniu opiera się na tym, że już to robiliśmy – zarówno ja, jak i większość obecnych tu osób. Wracając z każdej kolejnej kampanii, musieliśmy zaczynać od nowa. Nawet jeśli na Ziemi minęło tylko kilkadziesiąt lat, większość naszych przyjaciół i krewnych umarła lub zestarzała się tak, że stali się nam zupełnie obcy. Napotykaliliśmy inne zwyczaje i prawa. Przeważnie nie znajdowaliśmy żadnej pracy, tylko jako żołnierze.

–I chcesz zaznać tego znowu, z własnej woli? – spytał Charlie. – Zostawić życie, które sam tu sobie stworzyłeś?

–Rybaka-nauczyciela. Jakoś pogodzę się z tą stratą.

–William i ja jesteśmy w lepszej sytuacji niż większość z was – powiedziała Marygay. – Nasze dzieci są już dorosłe, a my jesteśmy jeszcze dość młodzi, żeby spróbować inaczej ułożyć sobie życie.

Ami potrząsnęła głową. Biologicznie była w naszym wieku i wraz z Teresą miały dwie nastoletnie córki.

–Nie jesteście ciekawi, co wyrosnie z waszych dzieci? Nie chcecie ujrzeć wnuków?

–Mamy nadzieję, że sobie poradzą – odparłem.

–A jeśli nie?

–To nie – powiedziałem. – Wiele dzieci opuszcza dom i zaczyna żyć własnym życiem.

Ami naciskała dalej.

–Jednak mało którzy rodzice tak robią. Spójrzcie, przed jakim stawiacie je wyborem. Mają odrzucić swój świat, żeby dołączyć do rodziców.

–Jako podróżnicy w czasie. Pionierzy.

Charlie wtrącił się do naszej rozmowy.

–Na moment zapomnijcie o kwestii dzieci. Czy naprawdę sądzicie, że zdołacie namówić sto, a nawet sto pięćdziesiąt osób tak, żeby nikt nie poszedł do Człowieka i nie wydał was?

**–Właśnie dlatego rozmawiamy o tym tylko z weteranami.**

**–Po prostu nie chcę zobaczyć mojego najlepszego przyjaciela w więzieniu.**

**–My jesteśmy w więzieniu, Charlie. – Zatoczyłem szeroki łuk ręką. – Nie widzimy krat dlatego, że one są za horyzontem.**

Zebranie zakończyło się o północy, po tym jak zarządziłem jawne głosowanie. Szesnaście osób poparło nas, osiemnaście było przeciw, a sześciu wstrzymało się od głosu. Większe poparcie niż się spodziewałem.

Wróciliśmy do domu po przyjemnie skrzypiącym pod nogami śniegu, ciesząc się czystym nocnym powietrzem i niewiele mówiąc.

Weszliśmy przez tylne drzwi i w jadalni zastaliśmy Człowieka siedzącego przy stole i popijającego herbatę. Przy kominku, grzejąc plecy, stał Taurańczyk. Odruchowo sięgnąłem ręką do pasa.

–Jest późno – powiedziałem do Człowieka, nie odrywając wzroku od rybich ślepi Taurańczyka. Poruszał siedmioma palcami jednej ręki, o czternastu stawach.

–Muszę natychmiast z wami porozmawiać.

–Gdzie nasze dzieci?

–Poprosiłem, żeby poszły na górę.

–Bill! Saro! – zawołałem. – Cokolwiek macie nam do powiedzenia, one też mogą to usłyszeć.

Zwróciłem się do Taurańczyka.

–Wieczór powodzenia – zdołałem wykrztusić w jego języku. Marygay powtórzyła to lepiej.

–Dziękuję – odparł po angielsku – ale obawiam się, że nie dla was.

Stwór nosił czarny płaszcz, który w połączeniu z jego pomarańczową skórą wyglądał

jak kostium na Halloween. Wyglądał w nim trochę mniej obco, gdyż obszerna szata zakrywała jego osiǳ talię i wielkie biodra.

–Chyba się starzeję – odezwałem się do Człowieka. – Lori wydawała się jedną z nas.

–Bo jest. Nie wiedziała, że podsłuchujemy. Bill i Sara w nocnych koszulach stali na szczycie schodów.

**-Zejdźcie na dół. Nie powiemy niczego, czego nie moglibyście usłyszeć.**

–Ale ja powiem – rzekł Człowiek. – Wracajcie do łóżek. Posłuchali. Rozczarowujące, ale nie zaskakujące. I tak będą podsłuchiwać.

–To jest Antres 906 – powiedział Człowiek – attache kulturalny na Middle Fin-ger.

Kiwnąłem mu głową.

–W porządku.

–Nie jesteście ciekawi, dlaczego się tu znalazł?

–Nieszczególnie. Nie przejmuj się tym. Mów, co masz do powiedzenia.

–Przyszedł tutaj, ponieważ przedstawiciel Taurańczyków musi być obecny przy wszystkich negocjacjach dotyczących ewentualnych podróży na taurańskie planety.

–A co to ma wspólnego z kulturą? – spytała Marygay.

–Słucham?

–Przecież to attache kulturalny – wyjaśniła. – Co to ma wspólnego z naszym planem pożyczania promu czasowego?

–Turystyka jest częścią kultury. I chcieliście ukraść prom, a nie pożyczyć.

–Nie zamierzamy ich odwiedzać – powiedziałem. – Polecimy prosto przed siebie, poza obszar galaktyki, a potem z powrotem. Ściśle mówiąc, po trójkącie równoramiennym.

–Powinniście załatwić to oficjalną drogą.

–Jasne. Zaczynając od ciebie, szeryfe. Zakrył grzbiet dłoni z identyfikującą go blizną.

–Mogliście powiedzieć komukolwiek. Jesteśmy zbiorową świadomością.

–Jednak nie przysłaliście tu kogokolwiek. Przysłaliście jedynego Człowieka w mieście, który ma broń i ćwiczy podnoszenie ciężarów.

–Oboje jesteście żołnierzami. – Rozchylił kamizelkę, ukazując wielki pistolet.

–Moglibyście stawiać opór.

–Przed czym? – zapytała Marygay.



**–Przed pójściem ze mną. Jesteście aresztowani.**

**Paxton nie ma dostatecznie licznego elementu przestępczego, żeby zasłużyć na prawdziwe więzienie i sądzę, że wystarczyłaby pierwsza lepsza szopa, byle zamykana od zewnątrz. Siedziałem w pomalowanym na biało pomieszczeniu, z materacem na podłodze i toaletą. Obok toalety znajdowała się składana umywalka, a naprzeciw niej składane biurko. Nie było krzesła. Biurko miało wbudowaną klawiaturę, która jednak nie działała.**

**W powietrzu unosił się odór rozlanego alkoholu. Najwidoczniej z jakiegoś powodu użyli spirytusu jako środka dezynfekcyjnego.**

**Z ubiegłorocznej wizyty wiedziałem, że to więzienie ma tylko dwie cele, tak więc wraz z Marygay uosabialiśmy wzbierającą falę przestępczości. (Prawdę mówiąc, prawdziwi przestępcy nie spędzali tutaj nawet jednej nocy – zawożono ich od razu do prawdziwego więzienia w Wimberly).**

Przez chwilę oddawałem się rozmyśleniom nad moim grzesznym żywotem, a potem zdołałem przespać kilka godzin, chociaż nie mogłem zgasić światła.

Kiedy szeryf otworzył drzwi, za jego plecami zobaczyłem brzask dnia. Była dziesiąta lub jedenasta. Wręczył mi białe kartonowe pudełko, w którym znajdowało się mydło, szczoteczka do zębów i tym podobne rzeczy.

–Prysznic jest po drugiej stronie korytarza. Proszę, przyjdźcie na herbatę, kiedy będziecie gotowi.

Wyszedł bez żadnych dalszych wyjaśnień. Były dwa prysznice. Marygay była już pod jednym z nich. Zapytałem głośno:

–Mówił ci coś?

–Tylko otworzył drzwi i powiedział, żeby przyjść na herbatę. Dlaczego nigdy nie próbowaliśmy tego z naszymi dziećmi?

–Teraz już na to za późno.

Wziąłem prysznic, ogoliłem się i razem poszliśmy do biura szeryfa.

Pistolet wisiał na wieszaku za jego plecami. Szeryf pospiesznie zgarnął papiery na jeden koniec biurka i postawił na nim dzbanek z herbatą, trochę krakersów oraz dżem i miód. Usiedliśmy. Nalał nam herbatę. Wyglądał na zmęczonego.

–Przez całą noc rozmawiałem z Drzewem. – Ponieważ w Centrusie był wtedy dzień, mógł kontaktować się z setkami lub tysiącem swoich sobowtórów. – Udało nam się dojść do ostrożnego konsensusu.

–I to zajęło wam całą noc? – warknąłem. – Jak na zbiorowy umysł macie kiepskie synapsy.

Często żartowałem w ten sposób z innych wykładowców na uniwersytecie. (Prawdę mówiąc, fizyka była doskonałym przykładem ograniczonych możliwości Człowieka. Każdy z nich mógł podłączyć się do mózgu któregoś z moich uniwersyteckich kolegów lub koleżanek, ale nie zrozumiałby żadnego z bardziej skomplikowanych problemów, jeśli wcześniej nie studiował fizyki).

–Prawdę mówiąc, większą część tego czasu czekaliśmy na przybycie wezwanych osobników. Musieliśmy nie tylko rozwiązać ten... problem z wami, ale podjąć

**jeszcze**

**jedną decyzję, również z tym związaną. Im więcej liści, tym większe Drzewo.**

**Dżem był jagodowy, o aromatycznym i korzennym smaku, który polubiłem od pierwszej chwili. Była to jedna z niewielu rzeczy, które spodobały mi się po przybyciu na Middle Finger. Przyleciałem tu w środku zimy.**

**–A więc postanowiliście powiesić nas na rynku? – powiedziałem. – Czy też po cichu zgilotynować?**

**–Gdyby trzeba was było zabić, już by to zrobiono. – Miał poczucie humoru. – Po co wtedy miałbym coś wyjaśniać?**

**Nalał sobie herbatę.**

–Trzeba będzie poczekać. Całe Drzewo musi zatwierdzić decyzję.

To oznaczało, że wyślą wiadomość na Ziemię i poczekają na odpowiedź – co najmniej dziesięć miesięcy.

–Zgodnie z ostrożnym konsensusem, jaki wypracowaliśmy w tej kwestii, pozwolimy wam odlecieć. Damy wam ten prom relatywistyczny.

–A w zamian – powiedziała Marygay – pozbędziecie się stu pięćdziesięciu niebezpiecznych malkontentów.

–Nie tylko. Już jesteście fascynującym anachronizmem. Pomyślcie, jacy będziecie cenni za czterdzieści tysięcy lat!

–Żywe skamieliny – mruknąłem. – Co za pomysł. Zastanawiał się chwilę, ponieważ nie znał tego słowa. Na jego świecie nie było prawdziwych skamieniałości.

–Tak, zarówno pod względem budowy ciała, jak i sposobu myślenia. W pewien sposób jestem to winien mojemu dziedzictwu. Sam powinienem o tym pomyśleć.

Zwykle nie rozróżniał liczby mnogiej, więc zakładałem, że w takim sensie użył teraz liczby pojedynczej.

–Mówiłeś, że podjęliście dwie decyzje – przypomniała Marygay. – Druga też miała z nami związek.

–I to bardzo ścisły. – Uśmiechnął się. – Wiecie, jak bardzo kocham ludzi. Zawsze smuciło mnie wasze kalectwo.

–Kalectwo... naszej indywidualności? – podpowiedziałem.

–Właśnie! Nie możecie połączyć się z Drzewem i dzielić życia z miliardami innych.

–No cóż, mieliśmy taką możliwość przy demobilizacji. Ja miałem dwadzieścia lat na to, aby pożałować tej decyzji, ale wciąż cieszę się, że tego nie zrobiłem.

–Istotnie, mieliście wybór i niektórzy weterani skorzystali z tej możliwości.

–Ilu? – zapytała Marygay.

–Prawdę mówiąc, mniej niż jeden procent. Jednak wtedy było to dla was czymś nowym i dziwnym. Rzecz w tym, że minęło już sto lat – trzysta ziemskich lat – od

kiedy komuś dano taką możliwość. W tym czasie populacja Middle Finger wzrosła do dwudziestu tysięcy mieszkańców, więcej niż potrzeba do utrzymania pełnej puli genetycznej. Dlatego znów chcę dać ludziom możliwość wyboru.

–Każdy, kto zechce, może stać się tobą?

Poczułem nagły niepokój i zapragnąłem mocno przytulić nasze dzieci.

–Nie, tylko niektóre z nowo narodzonych dzieci, które przejdą przez testy kwalifikacyjne. Oczywiście, one również nie staną się mną, mając znacznie gorszy garnitur

genetyczny. Mimo to będą liśćmi Drzewa. – Uśmiechnął się, z pewnością uważając, że

udało mu się ukryć poczucie wyższości. – Wam wydaje się to okropne, prawda? Nazy

wacie nas „zombie”.

–Mam wrażenie, że jest was już dość na tej planecie. Nie mówiąc o tych ponad dziesięciu miliardach na Ziemi. Dlaczego nie zostawicie nas w spokoju? Przecież taki był początkowy plan.

–To rozwiązanie jest zgodne z początkowym planem, tylko lepsze. Nie rozumiecie tego, ponieważ jesteście zbyt konserwatywni.

–No cóż, przynajmniej mamy dziesięć miesięcy na oswojenie się z tym pomysłem.

I ostrzeżenie Billa oraz Sary.

–Och, nie jesteśmy na gwiazdolicie. Mogę już zacząć działać, a jeśli Całe Drzewo nie wyrazi zgody, plan obejmie tylko nielicznych ludzi. Jednak znam siebie, znam Drzewo. Nie będzie z tym żadnych problemów.

–Przecież ludzie, którzy dołączą do ciebie, wciąż będą sobą – powiedziała Mary-gay.

– Będą się pobierać i mieć dzieci.

Człowiek zrobił zdziwioną minę.

–Oczywiście, że nie.

–Ale będą mieli taką możliwość – naciskałem.

–Och, nie. Będą musieli poddać się sterylizacji. – Pokręcił głową. – Nie rozumiecie. Mówicie, że jest mnie już dosyć. A tymczasem to was jest już za dużo.

## 5

Prosto z więzienia poszedłem na uniwersytet, gdyż o czternastej miałem zajęcia, a lubiłem przychodzić do pracy godzinę wcześniej, żeby przejrzeć notatki i móc porozmawiać ze studentami. A ponadto w bufecie nauczycielskim podawali gorący lunch.

Nazywanie tej placówki „uniwersytetem” było lekką przesadą, chociaż kształcono tu specjalistów w kilkudziesięciu specjalnościach. Składała się z dziesięciu drewnianych budynków, połączonych korytarzami. Budynek fizyki miał dwie pracownie, dwie salki oraz nieco większą salę wykładową, którą dzieliliśmy z wydziałem chemii i astronomii. Na piętrze, będącym w rzeczywistości wysokim poddaszem, znajdował się magazyn oraz dwa ciasne gabinety.

Dzieliłem jeden z nich z Człowiekiem i Jynn Silver. Jynn nie była na zebraniu,

ponieważ pojechała do Centrusa na ślub syna, ale byłem przekonany, że stanie po naszej stronie. Niezbyt lubiła Człowieka jako takiego, a już szczególnie tego, z którym dzieliliśmy gabinet. Był tam, kiedy przyszedłem po szybkim posiłku w bufecie, na który składał się talerz zupy. Dziwne: miał zajęcia rano i zazwyczaj nie kręcił się tu później. Patrzył przez okno.

–Wiesz co – zaczął bez żadnych wstępów. – Jesteś jednym z pierwszych, którzy dowiedzieli się, że mogą się do nas przyłączyć. Zamiast nas opuszczać.

–To prawda. – Usiadłem i włączyłem monitor. – Korciło mnie, przez ułamek sekundy. Potem odzyskałem rozsądek.

–Nie żartuj. Powinieneś poważnie rozważyć korzyści tego rozwiązania.

–Nie żartuję. – Spojrzałem na niego. – Dla mnie byłoby to rodzajem śmierci.

–Śmierci twojej indywidualności. Ostatnie słowo wymówił bardzo wolno, z zaledwie odrobiną pogardy.

–To nie jest coś, co potrafiłbyś zrozumieć. To ludzkie uczucie.

–Jestem człowiekiem. – Teoretycznie miał rację. – Gdybyś chciał mieć więcej dzieci, mógłbyś je adoptować.

Hmm, to akurat była szczególnie kusząca perspektywa.

–Nie, dziękuję, dwoje zupełnie mi wystarczy. Przewinałem menu.

–Miałbyś znacznie więcej czasu na pracę naukową...

–Nie jestem naukowcem. Jestem skromnym rybakiem, który usiłuje uczyć kinematyki ruchu obrotowego. Jeśli tylko pozwolisz mi skorzystać z moich notatek.

–Przepraszam. Ktoś lekko zapukał we framugę drzwi.

–Panie Mandella? Baril Dain z ostatniego roku.

–Wejdz, Barilu. Zerknął na Człowieka.

–Nie chcę panu przeszkadzać. Po prostu... no... słyszałem o tej pana wyprawie. Czy każdy może polecieć?

–Będziemy musieli wybierać spośród ochotników. – Był słabym studentem, ale trochę usprawiedliwiały go warunki rodzinne. Miał matkę alkoholijkę i ojca obiboka.

– Skończyłeś już sześć lat?

–Skończę w archimedesie. Trzynastego archimedesesa.

–To jeszcze kawał czasu. – Za sześć miesięcy. – Będziemy potrzebowali młodych ludzi. Co ci idzie najlepiej?

–Muzyka. Nie pamiętam tego słowa, angielskiej nazwy... *chosed-reng*.

–Harfa – odpowiedział Człowiek, nie podnosząc głowy. – Czterdziestoczterostrunna magnetoharmoniczna neoharfa.

Boże, nienawidziłem skowytu tego urządzenia.

–Zobaczymy. Będą nam potrzebni specjaliści z różnych dziedzin. Chyba jednak normalna muzyka będzie miała priorytet.

–Dziękuję panu. Skłonił się i wyszedł tyłem, jakbym wciąż był jego nauczycielem.

–Dzieci już wiedzą – rzekł Człowiek. – Jestem zaskoczony.

–Dobre wieści szybko się rozchodzą.

Ze zgrzytem otworzyłem szufadę, wyjąłem notatnik i pisak, po czym zacząłem



udawać, że przepisuję coś z ekranu.

W salce było duszno od wyziewów trzech poprzednich roczników. Uchyliłem okno i usiadłem za stołem. Byli obecni wszyscy, dwunastu studentów. Śliczna dziewczyna, siedząca w pierwszej ławce, podniosła rękę.

–Jak to jest, kiedy się siedzi w więzieniu, proszę pana?

–Po tylu latach chodzenia do szkoły, Pratha, wiesz już wszystko, co trzeba wiedzieć o pobycie w więzieniu. – To wywołało cichy śmiech. – To po prostu pokój bez okien.

Podniosłem książkę i otarłem czoło rękawem.

–Bał się pan? – spytał Modea, mój najlepszy uczeń.

–Oczywiście. Człowiek nie musi nam się z niczego tłumaczyć. Mogłem tam siedzieć do końca życia, jedząc te świństwa, które on i wy nazywacie jedzeniem.

Uśmiechnęli się z pobłażaniem na moje staroświeckie gusta.

–Albo mógł mnie zabić.

–Człowiek by tego nie zrobił, proszę pana.

–Pewnie znacie go lepiej niż ja. Jednak szeryf nie omieszkał zaznaczyć, że to leży w jego mocy. – Podniosłem książkę. – Oderwijmy się od tego na chwilę i powtórzmy, co wiemy o tej wielkiej sile, jaką jest moment bezwładności.

To był trudny dział. Kinematyka ruchu obrotowego nie jest intuicyjną dziedziną wiedzy. Pamiętałem, ile sam miałem z nią kłopotów niegdyś, w czasach z tej perspektywy wydających się bliskimi epoki Newtona. Dzieci uważały i robiły notatki, ale większość miała te charakterystyczne miny sygnalizujące „włączonego autopilota”. Biernie słuchały, mając nadzieję rozgryźć to później. Niektórym się to nie uda. (Podejrzywałem, że troje zupełnie nic nie rozumie i z tymi będę musiał wkrótce porozmawiać).

Dobrnęliśmy do końca zajęć. Kiedy wkładali płaszcze i czapki, Gol Pri wypowiedział to, co najwidoczniej dręczyło wszystkich:

–Profesorze Mandella, jeśli Człowiek rzeczywiście pozwoli wam zabrać statek, to kto będzie naszym nauczycielem matematycznych podstaw fizyki?

Zastanawiałem się chwilę, rozważając możliwości.

–Zapewne Człowiek, jeśli będzie to musiał być ktoś z Paxton. – Gol lekko się skrzywił. Miał już zajęcia z tym, z którym dzieliłem gabinet. – Jednak trzeba będzie kogoś poszukać. W Centrusie jest mnóstwo ludzi, którzy mogliby poprowadzić te zaję

cia, gdyby nagle zapragnęli zakosztować życia na pograniczu.

–A będzie pan uczył na statku? – spytała Pratha. – Jeżeli polecimy?

**Na jej twarzy malowało się zaciekawienie i coś jeszcze. Spokojnie, chłopie. Ona jest niewiele starsza od twojej córki.**

**–Jasne. Chyba do niczego innego już się nie nadaję.**

**Mogliby też kazać mi fletować ryby na pokładzie „Time Warp”, gdyż będą tam głównym składnikiem pożywienia, a ja z pewnością umiem posługiwać się tasakiem.**

**Kiedy wróciłem z uczelni do domu, nie poszedłem od razu na przystań. Nie było z tym pośpiechu. Dzień był pogodny i chłodny, a Mizar malował niebo czystym metalicznym błękitem, jak łuk elektryczny. Zaczekam, aż Bill wróci do domu.**

**Czekając na niego, zaparzyłem herbatę i przejrzałem wiadomości. Przesyłano je z Centrusa, więc nasza historia też tam była, lecz ukryta wśród informacji z peryferii oraz drobnych wzmianek dotyczących weteranów i Ziemi. I dobrze. Nie chciałem zbyt wielu pytań, zanim nie znajdę na nie odpowiedzi.**

Poprosiłem o wczesnego Beethovena. Słuchałem muzyki, patrząc na jezioro i las. Był taki czas, kiedy uznałbym za szaleńca kogoś, kto chciałby zamienić to na surowe i monotonne wnętrze gwiazdolotu.

Był także czas, kiedy żywiłem... kiedy żywiliśmy romantyczne złudzenia co do życia na pograniczu. Przybyliśmy tutaj, gdy Marygay była w ciąży. Tymczasem Paxton z czasem upodobniło się do Centrusa, tylko bez jego wygód. A dalej nie było już niczego. Populacja nie jest dostatecznie liczna, aby wymuszać migracje. I nie nakazuje tego żadna tradycja.

Jedną z wielu bezużytecznych wiadomości, które wyniosłem ze szkoły, jest zasada Turnera. Według niej amerykański charakter został ukształtowany przez pogranicze

–nieustannie cofające się, wciąż kuszące.

Na myśl o tym przeszedł mnie dreszcz. Czy właśnie tego pragnęliśmy? Zrealizować

marzenie, które umarło jeszcze przed moimi narodzinami. Chociaż gnało mojego ojca i moją rodzinę – w zardzewiałym i pomalowanym w kwiaty mikrobusie volkswagena

–aż nad Pacyfk, a potem na północ, na Alaskę, gdzie znaleźliśmy zajazdy stylizowane

na sklepiki Dzikiego Zachodu, w których podawano pizzę i cappuccino.

Bardzo możliwe, że spośród dziesięciu miliardów dusz rozproszonych w tym zakątku galaktyki, tylko Marygay i ja dostrzegaliśmy to przedziwne podobieństwo do amerykańskiego pogranicza. Charlie, Diana i Max wprawdzie urodzili się w kraju wciąż nazywanym się Ameryką, lecz Frederick Jackson Turner nigdy nie rozpoznałby tego miejsca, którego „pogranicze” znajdowało się w odległości wielu lat świetlnych i wieków, a mieszkańcy walczyli bez żadnego rozsądnego powodu z wrogiem, którego nie rozumieli.

Przyszedł Bill. Założyliśmy fartuchy oraz rękawice i wyszliśmy na przystań. Pracowaliśmy w milczeniu, porozumiewając się tylko monosylabami, przy wyciąganiu pierwszych dwóch sznurów. Bill tak energicznie odcinał rybom łby, że ostrze tasaka dwukrotnie uwięzło w drewnie.

–Ludzie dają ci popalić za to, że twoi rodzice to więzienne ptaszki?

–Ptaszki? Ach, mówisz o więzieniu. Przeważnie uważają, że to zabawne. Wykradanie

**gwiazdolotu i w ogóle... Jak w filmie.**

**–Wygląda na to, że po prostu nam go dadzą.**

**–Nasz Człowiek od historii powiedziała, że tak zrobią. Mogą zastąpić gwiazdolot nowym, który ściągną z Ziemi przez przejście kolapsarowe. Żadna starta. – Odciał łeb kolejnej rybie. – Dla nich.**

**To było dostatecznie jasne.**

**–Byłaby – dla ciebie. Jeśli z nami nie polecisz.**

**Przez moment trzymał wijącą się, bezgłową rybę, po czym odrąbał jej ogon i cisnął do zamrażarki.**

–Niektórych rzeczy nie potrafię wyrazić po angielsku. Może nie ma na to słów.

–Spróbuj.

–Mówisz „to byłaby” dla ciebie strata. Mógłbyś też powiedzieć „to będzie” dla ciebie strata. Nie ma nic pośredniego.

Znieruchomiałem, trzymając w ręku sznur, usiłując zrozumieć ten gramatyczny niuans.

–Nie rozumiem. Mówi się „byłaby”, ponieważ chodzi o wydarzenie w przyszłości, którego nie jesteśmy pewni.

Wypalił w standardowym:

–*Ta meeya a cha!* Mówimy *meeya*, kiedy wynik jest niepewny, ale decyzja już została podjęta. Nie *ta loo a cha* czy *ta lee a cha*, co ma taki sam sens jak twoje „byłaby” i „będzie”.

–Nigdy nie miałem talentu do języków.

–Chyba nie. Jednak rzecz w tym, że... – Był zły, zaczerwieniony i zaciskał szczęki. Oprawił kolejną rybę i zawiesił jej łeb na haczyku. – Obojętnie co się stanie, już zdecydowałeś. Powiedziałaś światu: „Do diabła z Billem i Sarą”. Ty to zrobisz po swojemu. Czy Człowiek pozwoli na to czy też nie, ty nie zrezygnujesz.

–Jesteś zbyt surowy. – Skończyłem oprawiać swoją rybę. – Możesz polecieć z nami. Chcę, żebyś z nami poleciał.

–Cóż za propozycja! Mam wszystko rzucić! Piękne dzięki. Usiłowałem zachować spokój.

–Można to także uznać za wspaniałą okazję.

–Może dla ciebie. Miałbym dziesięć lat – trzydzieści kilka, licząc krótkimi

–i wszyscy ludzie, których znałem, prócz was, byłiby martwi od czterdziestu tysięcy lat. To żadna okazja. To wyrok! Właściwie wyrok śmierci.

–Dla mnie to jest granica. Jedyna, jaka pozostała.

**–Kowboje i Hindusi – rzekł cicho, znów zabierając się za oprawianie ryb. Nie dodałem „i Pakistańczycy”.**

**Wiedziałem, że on jest normalny, a ja nie, nawet według norm mojej od dawna nie istniejącej już kultury. Marygay i ja, a także inni weterani Wiecznej Wojny, raz po raz byliśmy przenoszeni w przyszłość, często dobrze wiedząc, że po zakończeniu kolejnej takiej podróży jedynymi znajomymi z przeszłości będą ci ludzie, z którymi podróżowaliśmy.**

**Po dwudziestu latach wciąż nie mogłem pozbyć się wrażenia, że terażniejszość jest miłym złudzeniem i chociaż życie wciąż trwa, jest ledwie tchnieniem wobec wichrów losu. Następnego dnia po południu to moje przeświadczenie zostało zaatakowane z zupełnie nieoczekiwanej strony.**

Trzy razy w każdym długim roku musiałem zgłaszać się do Diany po jakieś lekarstwa. Żaden Człowiek i nikt z tych, którzy urodzili się w ciągu kilku ostatnich wieków nie miał raka, ale niektórym z nas, żywych skamielin, brakowało genów, które go powstrzymują. Dlatego Diana co jakiś czas musiała zaglądać mi tam, gdzie – jak to oględnie określaliśmy – słońce nie dochodzi.

Ściany jej gabinetu, znajdującego się na piętrze pod kopułą, kiedyś były metalicznie lśniące i z powodu swojego wklęsłego kształtu wciąż zapewniały wnętrzu niezwykłą akustykę. Mogła stanąć na środku pomieszczenia i szeptać, a słyszałeś ją tak, jakby mówiła ci prosto do ucha. Charlie, Max i ja ściągnęliśmy trochę krawędziaków i desek z szopy za strażnicą pożarową i zbiliśmy z nich całkiem przyzwoite kwadratowe wnętrza. Teraz ściany były obwieszony przyjemną dla oka kolekcją obrazów i hologramów, na których usiłowałem skupić wzrok, kiedy wpychała mi wzniernik w odbył.

– Twój stary przyjaciel powrócił – orzekła. – Zmiany przedrakowe. Pobrałam próbkę do wysłania.

Doznałem dziwnego uczucia, kiedy wyjęła wzniernik, tak szybko, że sapnąłem z wrażenia. Ulga i lekki ból, jak erotyczny dreszczyk.

– Znasz procedurę. Przed zażyciem tabletki nie jesz dwanaście godzin, a potem czekasz jeszcze przez dwie godziny i opychasz się. Chlebem, ziemniakami. – Podeszła do

stalowego zlewu części laboratoryjnej, przezornie trzymając wzniernik z daleka od siebie. – Umyj się i ubierz, a ja tymczasem zapakuję próbkę.

Pośle ją do laboratorium w Centrusie, gdzie przygotowują tabletki z mechanicznymi mikroorganizmami, zaprogramowanymi tak, by pożyły się moimi komórkami nowotworowymi, a potem wyłączyły. Kuracja była tylko trochę uciążliwa, drobiazgowo w porównaniu z leczeniem raka skóry, polegającym na smarowaniu ciała jakimś roztworem, wywołującym długotrwałe pieczenie i swędzenie.

Marygay i ja wciąż musieliśmy walczyć z rakiem, jak wszyscy nasi znajomi, którzy niegdyś przeszli zabieg regeneracji kończyn na szpitalnej planecie Heaven. Teraz za to płaciliśmy.



Usadowiłem się przy jej biurku, kiedy skończyła pakować próbkę. Usiadła i z pamięci zaadresowała paczkę.

–Zamówiłam pięć takich pojemników, co powinno wystarczyć na dziesięć lat. To badanie to tylko formalność. Zdziwiłabym się, gdyby twój rak przeszedł w inne stadium.

–Mimo to będziesz przy mnie, żeby go sprawdzać?

–Tak. Jestem równie stuknięta jak ty.

Roześmiałem się. Ona nie. Oparła łokcie o stół i spoglądała na mnie.

–Nigdy więcej nie będę cię tym zanudzać, Williamie, ale jako lekarz muszę to powiedzieć.

–Myślę, że wiem, co zaraz usłyszę.

–Pewnie tak. Cały ten ambitny plan jest tylko spóźnionym efektem pourazowych zaburzeń psychicznych. Mogłabym dać ci na to tabletki.

–Już mi to proponowałaś. Dziękuję, ale nie skorzystam. Nie wierzę w chemiczne egzorcyzmy.

–Charlie i ja polecimy z tego samego powodu. Mamy nadzieję, że pozbedziemy się dręczących nas duchów. Tylko że my nie zostawiamy tu żadnych dzieci.

–My też nie. Chyba, że będą wolały zostać.

–Będą. Straciecie je.

–Mamy dziesięć miesięcy, żeby je namówić.

Pokiwała głową.

–Pewnie. Jeśli zdołasz namówić Billa, żeby poleciał, to pozwolę ci wepchnąć coś w mój tyłek.

–To najlepsza propozycja, jaką dziś usłyszałem. Uśmiechnęła się i położyła dłoń na moim ramieniu.

–Zejdźmy na dół i napijmy się wina.

Marygay i ja byliśmy członkami dwunastoosobowego zespołu, który wraz z jednym Człowiekiem i jednym Taurańczykiem miał sprawdzić gwiazdolot, żeby zdecydować, co będzie nam potrzebne do podróży. Nie mogliśmy tak po prostu po dziesięciu miesiącach przekręcić kluczyk i wystartować. Zakładaliśmy, że Całe Drzewo postanowi kierować się zasadą „baba z wozu” i większość dziesięciomiesięcznego okresu oczekiwania na decyzję należy przeznaczyć na przygotowanie statku do podróży.

Wycieczka na orbitę też była interesująca. Znaleźliśmy się w kosmosie po raz pierwszy, od kiedy urodziły się nasze dzieci. Poleciliśmy pionowo w górę, łagodnym i jednostajnie przyspieszonym ruchem. Wiedziałem, że było to okropne marnotrawstwo antymaterii. Człowiek-pilot wzruszyła ramionami i powiedziała, że jest jej mnóstwo. Nie wiedziała, skąd się bierze: może z ogromnych ładowni „Time Warp”.

Jak na kosmolot prom był maleńki, prawie jak szkolny autobus. Wszędzie były okna, nawet z tyłu, więc mogliśmy obserwować jak Centrus maleje i wtapia się w śnieżną biel. Przed nami gwiazdolot stał się najjaśniejszą gwiazdą na ciemniejszym niebie. Zanim znaleźliśmy się w ciemnościach kosmosu, było już widać, że to nie gwiazda – z powodu lekko wydłużonego kształtu.

Prom obrócił się i zaczął zwalniać, gdy znajdowaliśmy się jakieś tysiąc kilometrów od statku. Przy około dwóch g hamowania trudno było obrócić głowę, żeby obserwować rosnący w oczach kadłub. Jednak warto było wyciągać szyję.

„Time Warp” był antykiem, ale nie dla mnie! Został zaprojektowany i zbudowany ponad tysiąc lat po tym, jak ukończyłem szkołę. Ostatni krążownik, w którym walczyłem, był topornym zbiorowiskiem modułów poupychanych w gąszczu wsporników i kabli. „Time Warp” miał prosty i elegancki kształt: dwa cylindry o zaokrąglonych krawędziach, przyłączone z przodu i z tyłu, z umieszczoną między nimi tarczą osłony, mającą pochłaniać promieniowanie gamma. Metalowa pokrywa jednego z cylindrów, gdzie mieścił się napęd antygravitacyjny, przypominała koronkę.

Zadekowaliśmy z niemal niewyczuwalnym podskokiem, a kiedy otworzyły się irysowe drzwi śluzy powietrznej, zapiekły mnie oczy i nagle ucieszyłem się z tego, że uprzedzili nas, żebyśmy ubrali swetry.

Systemy podtrzymujące życie na statku ustawiono na minimum. W środku unosiła się woń stęchlizny i było zimno, gdyż temperaturę utrzymywano tylko odrobinę powyżej zera – żeby woda nie zamarzła i nie porozsadzała rur.

Ciśnienie atmosferyczne odpowiadało temu, jakie panuje na wysokości trzech kilometrów, więc powietrze było dostatecznie rozrzedzone, żeby wywołać lekkie oszołomienie. Z czasem mieliśmy do tego przywyknąć.

Przytrzymując się uchwytów, niezdarnie dotarliśmy w stanie nieważkości do windy ozdobionej ładnymi scenami z życia Ziemi i Heaven.

Sterownia już bardziej wyglądała na pomieszczenie będące częścią statku. Znajdowała się w niej długa konsola z czterema obrotowymi fotelami. Kiedy weszliśmy, tablica kontrolna ożyła, błyskając diodami wskaźników w jakiejś inicjującej procedurze i statek przemówił do nas przyjaznym barytonem.

–Oczekiwałem was. Witajcie.

–Nasz ekspert od upraw chce, aby tu jak najszybciej zrobiło się ciepło – powiedziała Człowiek. – Czego może oczekiwać?

–Za mniej więcej dwa dni może ruszyć hydroponika. Minie pięć, zanim będzie można zacząć sadzić coś w ziemi. Oczywiście, w przypadku upraw wodnych wszystko zależy od gatunku. Za osiem dni woda wszędzie będzie miała temperaturę co najmniej dziesięciu stopni.

–Jest tutaj szklarnia, którą mógłbyś ogrzać?

–Na sadzonki? Tak. Już jest prawie gotowa.

Teresa spojrzała na Człowieka.

–Może część z nas mogłaby tu zostać i zabrać się do pracy. Byłoby dobrze jak najszybciej ruszyć z hodowlą roślin.

–Chętnie bym pomógł – powiedział Rubi – ale muszę wrócić przed dwudziestym pierwszym.

–Ja również – rzekł Justin. – Kiedy następny lot?

**–Dostosujemy się – poinformowała Człowiek. – Za tydzień, dziesięć dni. – Wydała dźwięk przypominający cmoknięcie, dając statkowi znać, że zwraca się do niego. – Masz dość jedzenia dla trojga ludzi?**

**–Na kilka lat, jeśli przeżyją na awaryjnych racjach żywnościowych. Mogę też uruchomić kuchnię, żeby skorzystali z zamrożonego mięsa. To jednak jest bardzo stare.**

**Teresa oblizwała wargi.**

**–Zrób to. Zachowajmy awaryjne racje żywnościowe na wszelki wypadek.**

Nie miałbym nic przeciwko temu, żeby do nich dołączyć, chociaż żaden ze mnie farmer. Czuję przyjemny dreszczyk. Jakbym położył gałązki na węgle wygasłego ogniska i delikatnie dmuchał, chcąc wzniecić płomyk, który znów je ożywi.

Miałem jednak uczniów i ryby, którymi musiałem się zająć. Może kiedy za miesiąc skończy się szkoła, będę mógł przylecieć tutaj i pomóc przy rozpoczęciu upraw.

Marygay uszczypnęła mnie w tyłek.

–Nawet o tym nie myśl. Masz uczniów.

–Wiem, wiem.

Od jak dawna oboje umiemy czytać w swoich myślach?

Odbyliśmy holograficzną wycieczkę po maszynowni, która nie przypominała niczego, co można by tak nazwać. Rzeczywiście, to cylindryczne pomieszczenie miało ściankę z ażurowego aluminium, dla wygody konserwatorów. Rzecz jasna, nikt nie przebywał w środku, kiedy silnik pracował. Promieniowanie gamma usmażyłoby nieszczęśnika w kilka sekund. Znaczna część załogi maszynowni będzie musiała opanować obsługę zdalnie sterowanych robotów, na wypadek gdyby trzeba było dokonać niezbędnych napraw, nie wyłączając silnika.

Był tam olbrzymi zbiornik z wodą – mieszczący jej tyle, co spore jezioro – oraz znacznie mniejszy, idealnie kulisty i skrzący się oślepiająco błękitnymi iskrami pojemnik z antymaterią.

Spoglądałem na niego przez jakiś czas, gdy statek recytował techniczne szczegóły, którymi będę mógł zająć się później. Ta błyszcząca kula była naszym biletem do nowego życia, które nagle stało się czymś bardzo rzeczywistym. Wolnością zamkniętą w tym ciasnym pojemniku.

Zrozumiałem, że nie chciałem uwolnić się tylko od irytującej tyranii Człowieka i Taurańczyków. Również od codziennego życia, społeczności i rodziny, których rozwój obserwowałem przez prawie dwadzieścia lat. Byłem niebezpiecznie bliski tego, by stać się członkiem plemiennej starszyny – i chociaż teoretycznie byłem najstarszym mieszkańcem naszej planety, wcale nie miałem na to ochoty. Miałem jeszcze dość czasu i sił, żeby przeżyć kilka przygód. Choćby w charakterze biernego uczestnika, tak jak teraz.

Nazwijcie to strachem przed zostaniem dziadkiem. Przyjęciem roli obserwatora i doradcy. Zgoliłem brodę przed wieloma laty, kiedy zaczęły się w niej pojawiać siwe

**pasma. Już widziałem, jak sięga mi do pasa, a ja siedzę w bujanym fotelu na ganku...**

**Marygay trąciła mnie łokciem.**

**–Hej! Jest tam kto? – Zaśmiała się. – Statek chce zaprowadzić nas na dół.**

**Wężowymi ruchami wróciliśmy do windy. Oczami duszy niemal widziałem już łąny zboża i grządki warzyw, zbiorniki pełne ryb i krewetek.**

Kiedy dotarliśmy na śródokręcie, wysiedliśmy z windy i ruszyliśmy za Człowiekiem, płynąc korytarzem obwieszonym dziełami sztuki, po których znać było upływ lat. Trochę wyszliśmy z wprawy w poruszaniu się w próżni, więc wciąż wpadaliśmy na siebie i potracaliśmy się, zanim przytrzymując się uchwytów zdołaliśmy sformować w miarę porządną szyk.

Cylinder na „rufe” był identyczny jak ten, który przed chwilą opuściliśmy, ale wydawał się większy, ponieważ nie było w nim niczego, co miałyby znajome rozmiary. Prawie całą ładownię zajmowały kadłuby pięciu statków ratunkowych – myśliwców zmo-dyfkowanych tak, aby mieściły po trzydziestu ludzi. Mogły poruszać się z prędkością równą zaledwie jednej dziesiątej prędkości światła (i z taką też potrafiły wyhamować), lecz do ich układów podtrzymywania życia należały pojemniki hibernacyjne, w których ludzie mogli przetrwać wieki. Mizar i Alcor znajdują się w odległości trzech lat świetlnych od siebie, tak więc kiedy statek latał między nimi tam i z powrotem, podczas każdego kolejnego kursu zamkniętym w pojemnikach ludziom przybywało trzydzieści lat. A oni nawet tego nie zauważali.

Poprosiłem statek o uwagę.

–Jaka jest górna granica czasowa takiego lotu, jakiego plan ci podałem? Kiedy przekroczymy limit?

–Tego nie da się zdefiniować – odparł. – Każda kabina hibernacyjna będzie działała tak długo, dopóki nie zawiedzie jakaś jej istotna część. Ich działanie jest oparte na superprzewodnictwie, więc nie wymagają żadnego zasilania, przynajmniej przez kilkadziesiąt tysięcy lat. Wątpię jednak, aby te systemy wytrzymały dłużej niż tysiąc lat, czyli podróż na odległość stu lat świetlnych. A nasza wyprawa ma potrwać zaledwie nieco dłużej niż trzy lata świetlne.

To zabawne, że maszyna użyła takiego romantycznego określenia jak „wyprawa”. Została dobrze zaprojektowana by dotrzymać towarzystwa bandzie uciekinierów w średnim wieku.

Na dziobie, na końcu cylindra, znajdowała się równa sterta modułów mieszkalnych pozostałych po wojnie – rodzaj awaryjnego zestawu ratunkowego do wykorzystania na jakiejś planecie. Wiedzieliśmy, że światy podobne do Ziemi wcale nie są rzadkością. Jeśli statek nie mógł wykonać przejścia kolapsarowego i wrócić do domu, te moduły dawały ludziom szansę stworzenia nowej ojczyzny. Nie wiedzieliśmy, czy kiedykolwiek tak się stało. Pod koniec wojny doliczono się czterdziestu trzech zaginionych krążowników. Niektóre z nich wykonywały misje w tak odległej przyszłości, że już nigdy nie otrzymaliśmy od nich żadnych wieści. Ja

**moje ostatnie zadanie wykonywałem w Wielkim Obłoku Magellana, w odległości stu pięćdziesięciu tysięcy lat świetlnych od Ziemi.**

**Większość pozostałej powierzchni ładowni zajmowały zapasy części, materiałów i narzędzi potrzebnych do odtworzenia niemal wszystkiego w części mieszkalnej stat-**



ku. W pobliżu miejsca, gdzie wisielśmy w powietrzu, znajdowały się same narzędzia, niektóre tak prymitywne jak kilofy, łopaty czy widły, a inne skomplikowane, o niewiadomym przeznaczeniu. Gdyby coś nawaliło w napędzie lub systemach podtrzymywania życia, nikt nie zajmowałby się niczym innym, dopóki awaria nie zostałaby usunięta – albo dopóki nie usmażylibyśmy się lub zamarзли.

(Ci z nas, którzy mieli odpowiednie przygotowanie zawodowe lub naukowe, mieli zacząć przyspieszony trening na ASSB – akceleratorowym symulatorze sytuacji bojowych – co nie jest równie dobre jak szkolenie w czasie rzeczywistym, ale pozwala szybko przyswoić mnóstwo wiadomości. Niezbyt cieszyła mnie myśl, że gdyby naprawdę coś zepsuło się w napędzie – zużywającym więcej energii niż wyzwolono podczas jakiegokolwiek wojny na Ziemi – wtedy odpowiedzialna za jego naprawę osoba będzie właściwie żywym, chodzącym podręcznikiem, doskonale pamiętając procedury wykonywane przez jakiegoś martwego od stuleci aktora).

Kiedy wracaliśmy korytarzem, Człowiek popisywała się swoim doświadczeniem w stanie nieważkości, zwinnie obracając się i koziółkując w powietrzu. Miło popatrzeć, kiedy czasem zachowują się jak ludzie.

Przed powrotem do Centrusa mieliśmy kilka godzin czasu, żeby pokręcić się i wszystko obejrzeć. Marygay i ja próbowaliśmy odnaleźć ślady jej życia na statku, ale bardziej przypominało to zwiedzanie miasta duchów, niż wskrzeszanie wspomnień.

Weszliśmy do ostatniej kabiny, którą zajmowała, czekając na mnie. Powiedziała, że nigdy by jej nie poznała. Następny lokator pomalował ściany w jaskrawe geometryczne wzory. Kiedy mieszkała tu Marygay, ściany były kobaltowe niebieskie, obwieszane jej obrazami i szkicami. Teraz już rzadko malowała, ale przez te lata, które spędziła tu, czekając na mnie, stała się dojrzałą artystką. Czekala z utęsknieniem, kiedy dzieci opuszczą dom i będzie mogła wrócić do malowania. A niebawem Bill i Sara mogą znaleźć się całe lata świetlne od rodzinnego domu.

–To cię zasmuca – powiedziałem.

–Tak i nie. To nie były złe lata. Ten statek był czymś trwałym w moim życiu. Zawierałam przyjaźnie, a potem ci ludzie opuszczali statek i za każdym razem, kiedy odwiedzałam Middle Finger, byli sześć, dwanaście lub osiemnaście lat starsi, a potem martwi. – Wskazała na wyschnięte pola i nieruchome wody. – To było moją ostoją. Dlatego ten widok trochę mnie teraz niepokoi.

–Wkrótce wszystko będzie jak dawniej.

–Jasne. – Oparła dłonie na biodrach i rozejrzała się wokół. – A nawet lepiej.



Oczywiście, nie wystarczyło zakasać rękawy i pociągnąć wszystko farbą. Człowiek przydzielił nam jeden kurs promu na pięć dni, więc musieliśmy starannie zaplanować, co i kogo przewieźć.

Teraz powinniśmy zdecydować „kogo”. Na statku było miejsce dla stu pięćdziesięcio-osobowej załogi, która nie mogła składać się z przypadkowych osób. Marygay, Char-lie, Diana i ja, niezależnie od siebie sporządziliśmy wykazy potrzebnych nam specjalistów, a potem spotkaliśmy się u nas, zestawiliśmy listy i dodaliśmy jeszcze kilka specjalności.

Mieliśmy dziewiętnastu ochotników z Paxton – jedna osoba zmieniła zdanie po zebraniu – więc kiedy przydzieliliśmy im odpowiednie zadania, opublikowaliśmy wykaz, wzywając ochotników z całej planety do zgłaszania swoich kandydatur na pozostałe sto trzydzieści jeden miejsc.

W ciągu tygodnia zgłosiło się tysiąc sześciuset kandydatów, głównie z Centrusa. W żaden sposób nie zdołalibyśmy porozmawiać z nimi we czworo, tak więc musieliśmy najpierw podzielić zgłoszenia. Ja wziąłem dwieście trzydzieści osiem tych, którzy mieli techniczne specjalności, a Diana stu jeden kandydatów z przeszkoleniem medycznym. Pozostałych podzieliśmy równo między siebie.

Z początku chciałem dać pierwszeństwo weteranom, ale Marygay wyperswadowała mi to. Stanowili ponad połowę kandydatów, ale niekoniecznie najlepiej wykwalifikowaną. Część z nich to prawdopodobnie wieczni malkontenci i awanturnicy. Czy naprawdę chcieliśmy być z nimi zamknięci w stalowej puszce przez dziesięć lat?

Tylko jak, na podstawie kilku wypowiedzi, mieliśmy orzec, którzy z kandydatów się nie nadają? Ludzie, którzy w rozmaity sposób mówili: „Zabierzcie mnie, bo Człowiek doprowadza mnie do szalu!” po prostu wyrażali moje własne odczucia, lecz w ten sposób mogło też się objawiać ich nieprzystosowanie do życia w społeczności, co czyniło ich kiepskimi towarzyszami w naszym ruchomym więzieniu.

Zarówno Diana, jak Marygay studiowały psychologię, lecz żadna z nich nie twierdziła, że potrafi demaskować świrów.

Ograniczyliśmy liczbę kandydatów do czterystu i napisaliśmy do nich list podkreślający ujemne strony dziesięcioletniej podróży. Samotność, niebezpieczeństwo, brak rozrywek. Całkowitą pewnością, że po powrocie zastaną zupełnie obcy świat.

Mniej więcej dziewięćdziesiąt procent odpisało, że w porządku, już wzięli to wszystko pod uwagę. Zrezygnowaliśmy z tych, którzy nie odpowiedzieli w terminie i zaaranżowaliśmy holowywiady z pozostałymi.

Chcieliśmy sporządzić listę dwustu osób, w tym pięćdziesięciu rezerwowych, którzy ewentualnie mogliby zająć miejsce tych, którzy umrą lub zrezygnują. Marygay i ja porozmawialiśmy z połową kandydatów, a Charlie i Diana z pozostałymi. Daliśmy niewielkie preferencje małżeństwom i parom pozostającym w długotrwałych związkach, ale staraliśmy się nie faworyzować heteroseksualistów. Można by rzec, że im więcej homoseksualistów tym lepiej, gdyż ci raczej nie powiększą populacji statku. Nie mogliśmy sobie pozwolić na więcej niż tuzin, może dwadzieścioro dzieci.

Charlie i Diana uporali się z tym później niż Marygay i ja, ponieważ Diana codziennie spędzała kilka godzin w klinice. My właśnie mieliśmy dwudziestodniową przerwę międzysemestralną.

To oznaczało, że Bill i Sara byli w domu, pod ręką. Sara spędzała wiele czasu przy warsztacie, usiłując skończyć spory kilim, zanim rozpoczną się zajęcia. Bill postanowił przez te dwadzieścia dni wyperswadować nam ten zwariowany pomysł.

–Przed czym uciekacie? – pytał. – Ty i mama nie możecie zapomnieć o tej przeklętej wojnie i przez nią stracimy was, chociaż zakończyła się wieki temu.

Mówiliśmy mu, że przed niczym nie uciekamy. Wykonamy skok w przyszłość. Wielu spośród naszych ochotników było jego rówieśnikami lub niewiele starszymi od niego. Oni również dorastali obok Człowieka, ale nie traktowali go tak bezkrytycznie.

Po dwóch tygodniach Bill i Sara przeszli do ataku. Właśnie spędziłem przyjemnie godzinę w kuchni, gotując zupę-krem z jajkiem i ostatnimi warzywami w tym sezonie, słuchając Beethovena i ciesząc się z tego, że nie muszę przeprowadzać holokonferencji z obcymi ludźmi. Bill nieproszony zastawił stół, co powinienem rozpoznać jako sygnał ostrzegawczy.

**Zjedli we względnym milczeniu, kiedy Marygay i ja mówiliśmy o rozmowach kwalifikacyjnych, które przeprowadziliśmy tego dnia – głównie o odrzuconych, gdyż ci byli ciekawszym tematem niż rozsądni, trzeźwi ludzie, którzy się nadawali.**

**Bill skończył jeść i odsunął talerz.**

**–Ja przeszedłem dziś test.**

**Wiedziałem co zaraz powie i poczułem się tak, jakby ktoś wyssał całe ciepło nie tylko z mojego ciała, ale i z pokoju.**

**–U szeryfa?**

**–Zgadza się. Zamierzam zostać jednym z nich. Człowiekiem.**

**–Nic nie mówiłeś...**

**–Jesteś zaskoczony? – Spojrzał na mnie jak na obcego w autobusie.**

**–Nie – odparłem po chwili. – Myślałem tylko, że zaczekasz z tym, aż odlecimy.**

**I nie będziesz się tak obnosił ze swoją zdradą, dodałem w myślach, z trudem powstrzymując chęć powiedzenia tego na głos.**

**–Masz jeszcze czas zmienić zdanie – powiedziała Marygay. – Program zaczyna się dopiero w środku zimy.**

**–To prawda – odparł bez przekonania. Tak jakby już zaczął go realizować. Sara odłożyła nóż i widelec. Nie patrzyła na Billa.**

**–Ja też podjęłam decyzję.**

**–Jeszcze jesteś za młoda, żeby przejść test – oznajmiłem, może zbyt stanowczo.**

**–Nie o to chodzi. Postanowiłam, że polecę z wami. Jeśli znajdzie się dla mnie miejsce.**

**–Oczywiście, że się znajdzie! Obojętnie kogo trzeba będzie tu zostawić. Bill miał zdziwioną minę.**

**–Myślałem, że zamierzasz...**

**–Jest na to mnóstwo czasu. – Spojrzała na matkę. – Wy uważacie, że po waszym powrocie okaże się, że Człowieka dawno już nie ma. Ja myślę, że oni wciąż tu będą, w ulepszonej, wyżej rozwiniętej formie. Wtedy do nich dołączę i przekażę im wszystko, czego dowiedziałam się i nauczyłam podczas tej wyprawy. – Popatrzyła na mnie, pokazując w uśmiechu dołeczki na policzkach. – Zabierzcie mnie, jako szpiega drugiej strony?**

**–Jasne, że tak. – Spojrzałem na Billa. – Musimy zabrać Człowieka czy dwóch. Rodzina może pozostać razem.**

**–Nie rozumiesz. Niczego nie rozumiesz. – Wstał. – Ja też wyruszam do nowego**

świata. I to już jutro.

**–Wyjeżdżasz? – zapytała Marygay.**

**–Na zawsze – odparł. – Nie mogę już tego znieść. Jadę do Centrusa. Zapadła długa cisza.**

**–A co z domem? – zapytałem. – Z rybami? Miał przejąć to wszystko po naszym odlocie.**

**–Będziesz musiał znaleźć kogoś innego. – Prawie krzyknął. – Ja nie mogę tu zostać! Muszę się stąd wynieść i zacząć wszystko od nowa.**

**–Nie mógłbyś zaczekać aż... – zacząłem.**

**–Nie!**

Przeszył mnie gniewnym spojrzeniem, nie mogąc znaleźć słów, a potem tylko potrząsnął głową i odszedł od stołu. Patrzyliśmy w milczeniu jak narzucił na siebie ciepły płaszcz i wyszedł na zewnątrz.

–Nie wyglądacie na zdziwionych – zauważyła Sara.

–Rozmawialiśmy już o tym – odparłem. – Miał zatrzymać dom i zająć się połowami.

–Do diabła z rybami – powiedziała cicho Marygay. – Nie rozumiesz, że straciliśmy go? Straciliśmy go na dobre.

Rozpłakała się dopiero wtedy, kiedy znaleźliśmy się na piętrze.

Ja byłem tylko odrętwiały. Uświadomiłem sobie, że pogodziłem się z tym już dawno temu. Łatwiej przestać być ojcem niż matką.

### Księga druga

## KSIĘGA PRZEMIAN

### 9

Bill pozostał w Centrusie tylko dwa dni. Wrócił, zawstydzony swoim wybuchem. Nadal nie chciał słuchać o wsiadaniu z nami na statek, ale nie zamierzał cofać danego mi słowa. Zajmie się połowami ryb, jak długo będzie trzeba.

Nie mogłem mieć mu za złe tego, że chciał pójść swoją drogą. Jaki ojciec, taki syn. Marygay była zadowolona z jego powrotu, ale też smutna i wstrząśnięta. Ile jeszcze razy będzie tracić syna?

My również mieliśmy pojechać do dużego miasta, co wywoływało dziwne skojarzenia ze wspomnieniami z mojego dzieciństwa.

Niewyobrażalnie dawno temu, kiedy miałem siedem czy osiem lat, moi rodzice – hipisi spędzali lato w komunie na Alasce. (Właśnie wtedy został poczęty przez kogoś mój brat, lecz mój ojciec zawsze upierał się, że jest do niego podobny!)

To było wspaniałe lato, najlepsze mojego dzieciństwa. Wlekliśmy się autostradą na północ naszym starym rozklekotanym mikrobusem volkswagena, obozując lub zatrzymując się w przydrożnych kanadyjskich miasteczkach.



**Kiedy dotarliśmy do Anchorage, miasto wydawało się ogromne i jeszcze przez długie lata, ilekroć opowiadał ludziom o tej podróży, ojciec cytował przewodnik: „Jeśli przylecisz do Anchorage z dowolnego amerykańskiego miasta, wydaje się małe i niepozorne. Jeśli przybędziesz tam promem lub przyjedziesz samochodem przez wszystkie te wioseczki, wyda ci się ogromną metropolią”.**

**Zawsze przypominało mi się to, kiedy przyjeżdżałem do Centrusa, który teraz jest mniejszy niż Anchorage półtora tysiąca lat temu. Ja przyzwyczailem się już do wielkości i tempa życia wioski, więc w pierwszej chwili Centrus oszałamia mnie pośpiechem i zadziwią swoim ogromem. Szybko jednak robię głęboki wdech i przypominam sobie Nowy Jork i Londyn, Paryż i Genewę – nie wspominając o Skye i Atlantis, tych bajecznych centrach rozrywek, w których przepuszczaliśmy nasze pieniądze na Heaven. Cen-trus to zapadła dziura, która przypadkiem jest największą z zapadłych dziur w promieniu dwudziestu lat świetlnych.**

Przypominałem sobie o tym, kiedy przybyliśmy tam, by uzgodnić z administracją Centrusa – czyli całej planety – nasz plan odnowienia i obsadzenia „Time Warp”.

Mieliśmy nadzieję, że będzie to zwykła formalność. W czternastoosobowym zespole przez prawie tydzień spieraliśmy się o to, kto, co i kiedy ma zrobić. Oczami duszy już widziałem, jak powtarzam cały ten proces, zmuszony uwzględnić żądania Człowieka.

Wjechaliśmy na samą górę, aż na dziesiąte piętro głównego gmachu administracji, gdzie przedstawiliśmy nasz plan Człowiekowi w czterech osobach, dwóch męskich i dwóch kobiecych, oraz Taurańczykowi, który równie dobrze mógł być przedstawicielem każdej z trzech ich płci. Oczywiście, okazało się, że był nim Antres 906, attache kulturalny, którego gościliśmy w naszym domu tej nocy, kiedy dorobiłem się pierwszego wpisu w policyjnym rejestrze.

Cała piątka w milczeniu przeczytała trzystronicowy dokument, podczas gdy Marygay i ja spoglądaliśmy przez okno na Centrus. Nie było zbyt wiele do oglądania. Poza mniej więcej tuzinem gmachów w centrum, pozostałe domy były niższe niż drzewa. Wiedziałem, że znajduje się tam miasto, lecz domy i sklepy były skryte przez świerki rosnące aż po lądowisko promu kosmicznego na horyzoncie. Same promy też nie były widoczne, ukryte we wnętrzu rurowych wyrzutni, które wznosiły się z mgły na horyzoncie niczym kominy jakiejś starej fabryki.

Na jedynej ścianie pomieszczenia, która nie była panoramicznym oknem, wisiało dziesięć obrazów – po pięć dzieł ludzkich i taurańskich rąk. Te namalowane przez ludzi ukazywały krajobrazy pustych miast w różnych porach roku. Taurańczycy namalowali gmatwaniny linii i kolorowych plam, gryzących się tak, że zdawały się wibrować. Wiedziałem, że do niektórych barwników używają płynów ustrojowych. Te obrazy z pewnością wyglądały znacznie lepiej w ultrafiolecie.

Na jakiś subtelny znak cała piątka jednocześnie odłożyła kopie naszego planu.

–Na razie nie mamy żadnych zastrzeżeń – powiedziała Człowiek siedzący po lewej. Zdradziła brak telepatycznych zdolności, zerkając na pozostałych członków komisji, którzy nieznacznie skinęli głowami, włącznie z Taurańczykiem. – Będziemy mieli trochę kłopotów w te dni, kiedy będą wam potrzebne oba promy, ale jakoś sobie z tym poradzimy.

–Na razie? – powtórzyła Marygay.

–Powinniśmy powiedzieć wam wcześniej – odparła – ale to chyba oczywiste. Chcemy, żebyście zabrali dwóch dodatkowych pasażerów. Człowieka i Taurańczyka.

**Oczywiście. Wiedzieliśmy o Człowieku, więc powinniśmy przewidzieć także Taurańczyka.**

**–Człowiek to żaden problem – powiedziałem. – On lub ona może jeść naszą żywność. Jednak racje żywnościowe na dziesięć lat dla Taurańczyka? – Pospiesznie ob**

**liczyłem w myślach. – To sześć do ośmiu dodatkowych ton ładunku.**

–Nie, to żaden problem – wyseplenił Antres 906. – Mój metabolizm można zmienić tak, żebym przeżył na waszym pożywieniu, przy zaledwie kilku gramach mojego pokarmu dziennie.

–Rozumiesz, jakie to dla nas ważne – rzekł Człowiek.

–Teraz, skoro o tym mowa, rozumiem. Oba wasze gatunki mogą się trochę zmienić w ciągu tych czterdziestu tysięcy lat. Potrzebna wam dwuosobowa pula genowa, czyli dwaj podróżnicy w czasie.

Marygay powoli pokręciła głową, przygryzając dolną wargę.

–Będziemy musieli zmienić skład załogi. Z całym szacunkiem, Antresie, lecz mamy wielu weteranów, którzy nie znieśliby twojej obecności nawet przez dziesięć godzin, nie mówiąc o dziesięciu latach.

–A ponadto, nie możemy zagwarantować ci bezpieczeństwa – dodałem. – Wielu z nas wyszkolono tak, aby bez chwili wahania zabijali przeciwnika.

–Wszystkich wyleczono z tego za pomocą autohipnozy. Pomyślałem o Maksie, pracującym jako urzędnik w administracji państwowej.

–Obawiam się, że kuracja nie zawsze była udana.

–To jest zrozumiałe i wybaczone – rzekł Antres. – Jeśli ta część eksperymentu się nie powiedzie, to trudno.

Odwrócił ostatnią kartkę raportu i postukał w schemat ładowni.

–Tu mogę urządzić sobie małą kwaterę. W ten sposób wasi ludzie nie będą widywali mnie zbyt często czy wbrew swojej woli.

–Niezły pomysł – powiedziałem. – Przyślij nam spis rzeczy, których będziesz potrzebował, a my uwzględnimy je przy załadunku.

Potem nastąpiła część towarzyska, składająca się z fliżaneczki mocnej kawy i kieliszka alkoholu, które wypiliśmy z Człowiekiem. Taurańczyk znikł i po kilku minutach wrócił z listą. Najwidoczniej przygotował ją wcześniej.

Nie rozmawialiśmy o tym, dopóki nie wyszliśmy z budynku.

–Do diabła. Powinniśmy to przewidzieć i pokrzyżować im szyki.

**–Powinniśmy. A teraz będziemy musieli wrócić i wytłumaczyć to takim jak Max.**

**–Owszem, ale to nie ktoś taki jak Max zabije Taurańczyka. Zrobi to ktoś, kto uważa, że skończył z wojną. A potem pewnego dnia straci głowę.**

**–Ktoś taki jak ty?**

**–Nie sądzę. Do diabła, dla mnie wojna wcale się jeszcze nie skończyła. Bill twierdzi, że właśnie dlatego uciekam.**

**–Lepiej nie myślmy o dzieciach. – Objęła mnie ramieniem i trąciła biodrem moje biodro. – Wróćmy do hotelu i zróbmy coś, żeby o nich nie myśleć.**

**Pozostałą część tak przyjemnie rozpoczętego popołudnia spędziliśmy, robiąc zakupy dla przyjaciół, sąsiadów i dla siebie. Nikt w Paxton nie miał zbyt wiele pieniędzy – pra-**

wie wszystkie transakcje opierały się na handlu wymiennym i każdy dorosły co miesiąc otrzymywał z Centrusa czek na niewielką sumę pieniędzy. Rodzaj powszechnego zasiłku, który tak dobrze funkcjonował na Ziemi, kiedy byliśmy tam ostatnio.

Na Middle Finger również nieźle spełniał swoje zadanie, gdyż nikt nie oczekiwał tu luksusów. Na Ziemi ludzie żyli w prawie powszechnym ubóstwie, ale otaczały ich rzeczy nieustannie przypominające dawne bogactwo. Natomiast tutaj wszyscy żyli jednakowo skromnie.

Popychaliśmy wózek po ceglanych chodniku, sprawdzając naszą listę i przystając w kilku sklepach. Zioła, struny do gitary i ustniki do klarnetu, papier ścierny i pokost, kryształki pamięci, zestaw farb i kilogram marihuany (Dorian lubił ją, ale miał uczulenie na domową odmianę, którą wyhodowała Sage). Potem wypiliśmy herbatę w ulicznej kawiarence i patrzyliśmy na przechodniów. Zawsze miło zobaczyć tyle nieznanomych twarzy.

–Zastanawiam się, jak tu będzie, kiedy wrócimy.

–Tego nie można sobie wyobrazić – odparłem – chyba że jako stertę gruzów. Wrócimy po czterdziestu tysiącleciach ludzkiej historii i co zobaczymy? Pewnie nawet nie będzie już żadnych miast.

–Nie wiadomo. Przypomnij mi, żebyśmy tu zajrzeli.

Na ulicy przed nami jeden pojazd uderzył w tył innego. Jadący nimi osobnicy Człowieka wysiedli i w milczeniu obejrzeni uszkodzenie, które było niewielkie, zaledwie wgniecenie na zderzaku. Skinęli sobie głowami i wrócili na miejsca.

–Myślisz, że to przypadek? – spytała Marygay.

–Co? Och... być może nie. Zapewne nie. Wyreżyserowana scena, mająca pokazać, jak doskonale się rozumieją. Jak wspaniale

Człowiek dogaduje się sam ze sobą. Mało prawdopodobne, żeby taki wypadek zdarzył się akurat na naszych oczach, bo po mieście jeździło niewiele pojazdów.

Przez godzinę korzystaliśmy z usług masażystki i masażysty, po czym złapaliśmy powrotny autobus do Paxton.

Kiedy wróciliśmy, przeszukałem bibliotekę, sprawdzając, co też robiliśmy czterdzieści tysięcy lat temu. Wtedy jeszcze nawet nie było „nas”, tylko późni

**neandertalczycy. Mieli już krzemienne i kamienne narzędzia. Nie mieli języka ani sztuki, nie licząc kilku prostych rysunków naskalnych w Australii.**

**A co jeśli Człowiek, jego przyszła wersja, rozwinięte umiejętności równie istotne jak zdolność mowy i tworzenia sztuki, które będzie mógł dzielić z nami tylko w takim samym stopniu, w jakim my „rozmawiamy” z psami lub bawimy się smugami farby, rozmazanej na płótnie palcami szympansa?**

Byłem przekonany, że nie ma innego wyjścia: Człowiek musi wymrzeć albo przejść na wyższy szczebel rozwoju. Tak czy inaczej, po powrocie będziemy zupełnie sami. Będziemy musieli odtworzyć ludzki gatunek lub umrzeć, jako niepotrzebny anachronizm.

Zamierzałem zachować ten wniosek dla siebie. Jakby nikt inny nie mógł do niego dojść. Aldo Verdeur-Sims pierwszy poruszył ten temat publicznie, a przynajmniej w szerszym gronie.

## 10

–Będziemy dla nich równie obcy jak Taurańczycy wydali się nam – rzekł Aldo

–jeśli zdołają przetrwać te czterdzieści tysięcy lat, w co wątpię.

W pierwszym komunikacie nazwaliśmy to „otwartą grupą dyskusyjną”, lecz w rzeczywistości składała się ona głównie z ludzi, którzy zdaniem Marygay i moim mieli najaktywniej uczestniczyć w realizacji planu, jeśli nie kierować społecznością statku. Prędzej czy później będziemy musieli ustanowić jakąś formę demokratycznych rządów.

Oprócz nas byli Cat i Aldo, Charlie i Diana, Ami i Teresa, oraz nieregularnie pojawiające się osoby, takie jak Max Weston (pomimo swej ksenofobii), nasza Sara, Lar Po i Tensowie – Mohammed oraz jedna, czasami dwie z jego żon.

Po był notorycznym sceptykiem: wystarczyło coś powiedzieć, a zaraz zaczynał szukać słabych punktów.

–Zakładasz nieustanne zmiany – powiedział do Aldo – podczas gdy Człowiek

twierdzi, że jest doskonały i nie potrzebuje żadnych zmian. Być może uda mu się zachować

istniejący stan rzeczy, nawet przez czterdzieści tysięcy lat.

–A ludzie? – spytał Aldo.

Po machnięciem ręki zbył pytanie o nasz gatunek.

–Nie sądzę, żebyśmy przetrwali dwa tysiące generacji. Prawdopodobnie rzucimy wyzwanie Człowiekowi lub Taurańczykom i zostaniemy zniszczeni.



**Spotkaliśmy się, jak zwykle, w naszej kuchni, pełniące zarazem rolę jadalni. Ami i Teresa przyniosły dwa duże dzbany wina z jeżyn, słodkiego i wzmocnionego brandy, tak więc dyskusja była bardziej ożywiona niż zwykle.**

**–Obaj nie doceniacie ludzkości – stwierdziła Cat. – Najbardziej prawdopodobne jest to, że Człowiek i Taurańczycy ulegną stagnacji, podczas gdy ludzka rasa będzie się rozwijać dalej. Kiedy wrócimy, być może Człowiek pozostanie jedynym znajomym dla nas stworzeniem, podczas gdy nasi potomkowie mogą zmienić się w istoty, których nie zdołamy zrozumieć.**

**–Co za optymizm – powiedziała Marygay. – Czy możemy wrócić do wykresu?**

W oparciu o notatki Marygay i moje, Sara sporządziła przejrzysty harmonogram niezbędnych czynności, od chwili obecnej do startu, przedstawiając je na jednym dużym arkuszu papieru – przynajmniej na początku był przejrzysty. Przez pierwszą godzinę wszyscy studiowali go i dopisywali swoje uwagi. Potem Larsonowie przyszli z dzbanami i spotkanie stało się mniej oficjalne, a bardziej ożywione. Mimo to powinniśmy dopracować harmonogram, żeby maksymalnie wykorzystać kursy promu.

Można było spojrzeć na rezultat jak na dwa połączone ze sobą harmonogramy i rzeczywiście, pionowa linia oddzielała uzgodnione i nie uzgodnione punkty. Przez dziewięć następnych miesięcy byliśmy ograniczeni do dwóch lotów tygodniowo, przy czym jeden z nich był zarezerwowany na transport paliwa – tony wody i dwóch kilogramów antymaterii (która wraz z aparaturą jej zasobnika zajmowała połowę ładowni promu).

Kiedy Ziemia zaaprobuje plan, będziemy mogli korzystać z obu promów – podczas gdy jeden będzie załadowywany na planecie, drugi będzie rozładowywany na orbicie. Z pewnością moglibyśmy postawić na nogi ekosystem statku jeszcze przed uzyskaniem tej aprobaty, ale nie było sensu przedwcześnie wysłać na orbitę ludzi wraz z ich bagażem. Wystarczała niewielka załoga, która zajmowała się poletkami i rybami, oraz trzech technicy, którzy sprawdzali wszystkie systemy od dziobu po rufę (na przykład toalety i klamki do drzwi), dokonując niezbędnych napraw, dopóki można było jeszcze stosunkowo łatwo zdobyć lub też dorobić części.

Tankowanie statku przed uzyskaniem zgody Ziemi uzasadniano tym, że gdyby Całe Drzewo zabroniło nam lecieć, wielki statek odbyłby kilka lotów na Ziemię, przywożąc różne artykuły, zarówno luksusowe, jak i pierwszej potrzeby. (Również na Marsa, gdzie Człowiek i ludzie byli obecni już od wieków, tak że – jeśli ktoś się postarał – mógł wyjść na zewnątrz bez skafandra i oddychać powietrzem z niewielką zawartością tlenu. Tamtejsi mieszkańcy mieli już własne tradycje artystyczne, a nawet zabytki). Wielu ludzi na Middle Finger, nie mówiąc już o Człowieku, wołałoby wykorzystać „Time Warp” właśnie w tym celu. Przywieźć obrazy, fortepiany, orzeszki pistacjowe...

Może nawet na pocieszenie zabraliby nas ze sobą.

Jednakże zakładając, że nie będzie problemów z uzyskaniem zgody, przystąpiliśmy do planowania drugiej fazy operacji. Będziemy mieli tylko piętnaście dni na przewiezienie wszystkich ludzi i ich rzeczy osobistych – po sto kilogramów na osobę. Ponadto każdy mógł złożyć wniosek o pozwolenie na zabranie dodatkowych stu lub więcej kilogramów bagażu. Masa nie była istotna, w przeciwieństwie do

**objętości. Nie chcieliśmy zagrabić statku.**

**Potrzeba mnóstwa rzeczy, żeby sto pięćdziesiąt osób mogło spokojnie przeżyć dziesięć lat, ale wiele z nich już znajdowało się na statku – na przykład sala gimnastyczna i kinowa. Były nawet dwie salki muzyczne o dźwiękochłonnych ścianach, żeby nie prowokować sąsiadów do aktów wandalizmu. (Skoro mowa o antykach, to próbowaliśmy**

zdożyć prawdziwy fortepian, lecz ponieważ na Middle Finger były tylko trzy, musieliśmy zadowolić się elektronicznym. Osobiście nie potrafię rozróżnić ich dźwięku).

Niektóre wnioski musieliśmy odrzucić ze względu na ograniczone rozmiary naszego ruchomego miasteczka. Eloi Casi chciał zabrać dwutonowy blok marmuru, żeby przez dziesięć lat tworzyć ogromną płaskorzeźbę ukazującą kronikę naszej podróży. Bardzo chciałbym zobaczyć rezultat, ale nie wytrzymałbym nieustannego postukiwania. Ostatecznie zgodził się wziąć tylko drewniany kloc pół metra na dwa i żadnych elektrycznych narzędzi.

Marygay i ja byliśmy pierwszymi sędziami tych wniosków, zawsze pamiętając o tym, że po uzyskaniu zgody Całego Drzewa na podróż, każdy taki przedmiot – od ogromnego bloku marmuru Eloi po mosiężną tubę – może zostać zaakceptowany w drodze powszechnego głosowania.

Wyjaśniłem Człowiekowi, że możemy potrzebować kilku dodatkowych kursów promu, aby przewieźć pozostałe „luksusowe” artykuły, które przejdą w głosowaniu. Okazał pełne zrozumienie. Najwidoczniej zaraził się tym pomysłem, na swój własny powściągliwy sposób. W końcu brał udział w przygotowaniach do eksperymentu mającego potrwać czterdzieści tysięcy lat.

(Posunęli się tak daleko, że nawet sporządzili opis podróży oraz jej celu w takiej fizycznej i lingwistycznej postaci, która mogła przetrwać wszystkie te stulecia: osiem stron tekstu i rysunków wrytych na platynowych płytkach, a do tego jeszcze dwanaście stron nowoczesnej wersji kamienia z Rosetty, zawierającego podstawy fizyki i chemii, z których wywiedli logikę, później gramatykę, a w końcu, w oparciu o odrobinę biologii, dostatecznie obszerny słownik, aby prostymi słowami opisać cały plan. Zamierzali umieścić te płytki na ścianie sztucznej groty, na szczycie najwyższej góry planety, a ich duplikaty na Mount Evereście na Ziemi i Olympus Mons na Marsie).

Było zarówno naturalne jak dziwne, że Marygay i ja zostaliśmy przywódcami naszej grupy. Oczywiście, to my wpadliśmy na ten pomysł, ale po naszych wojskowych doświadczeniach wiedzieliśmy, że nie jesteśmy urodzonymi liderami. Dwadzieścia lat wychowywania dzieci i życia w niewielkiej społeczności zmieniło nas – ten dwudziestoletni okres, podczas którego byliśmy „najstarszymi” ludźmi na planecie. Wokół nie brakowało osób, które miały więcej lat niż my, lecz nie było nikogo, kto pamiętałby jak wyglądało życie przed Wieczną Wojną. Tak więc ludzie przychodzili do nas po poradę, z powodu tej naszej w istocie symbolicznej dojrzałości.

**Najwidoczniej większość ludzi zakładała, że kiedy przyjdzie czas, to ja będę kapitanem statku. Zastanawiałem się, ilu z nich się zdziwi, kiedy zrzeknę się tego zaszczytu na rzecz Marygay. Ona lepiej się czuła w roli ofcera.**

**No cóż, będąc ofcerem, miała Cat. Ja miałem tylko Charliego.**

Spotkanie zakończyło się przed zmierzchem. Na ziemię spadały pierwsze ciężkie płatki nadchodzącej śnieżycy. Do rana będzie więcej niż pół metra śniegu. Ludzie musieli zajmować się swoimi zwierzętami hodowlanymi, ogrzewać domy i martwić się o dzieci – na przykład o Billa, który w taką pogodę był poza domem. Marygay poszła do kuchni, gotować zupę, piec bułeczki i słuchać muzyki, podczas gdy Sara i ja usiedliśmy przy stole w jadalni i połączyliśmy w spójny harmonogram wszystkie bazgroły na jej niegdyś czystym diagramie. Bill zadzwonił z tawerny, gdzie brał udział w turnieju bilardowym. Powiedział, że chciałby zostawić tam latacz – jeśli nikt pilnie nie potrzebuje pojazdu – i wrócić do domu pieszo. Padał tak gęsty śnieg, że refektory nie zdołałyby go przebić. Powiedziałem, że to dobra myśl, nie wspominając o tym, że jego lekko bełkotliwa mowa czyni ten pomysł w dwójnasób dobrym.

Kiedy ponad godzinę później wrócił do domu, wydawał się być trzeźwy. Wszedł przez zimowy przedsionek, ze śmiechem strzepując śnieg z ubrania. Wiedziałem, co czuł – po takim śniegu parszywie się jeździ, ale cudownie chodzi. Odgłos padającego puchu, jego lekki dotyk na skórze – to nie to samo, co morderczo siekące igły zawiei w samym środku zimy. Oczywiście, na pokładzie statku nie będzie takich opadów, lecz brak tych drugich w zupełności zrekompensuje nam tę stratę.

Bill wziął świeżą bułeczkę i grzane wino, po czym usiadł przy nas.

–Odpadłem w pierwszej turze – powiedział. – Wykluczyli mnie za niedozwolone uderzenie.

Ze współczuciem pokiwałem głową, chociaż nie miałem pojęcia, co uważali za dozwolone, a co nie. To, co oni nazywali bilardem, wcale nie przypominało tradycyjnej gry, rozgrywanej za pomocą ośmiu bil.

Zmarszczył brwi, spoglądając na diagram, próbując odczytać go do góry nogami.

–Naprawdę zapaskudzili ci twój śliczny wykres, siostrze.

–Po to go narysowałam – odparła. – Robimy nowy.

–Roześlij go do wszystkich jeszcze dziś w nocy, albo rano – powiedziałem.

–Niech zajmą się czymś, poza odgarnianiem śniegu.

–Już postanowiłaś? – zapytał Sarę. – Zamierzasz wziąć udział w wielkim skoku?

A kiedy wrócisz, ze mnie nie pozostanie już nawet proch.

**–Tak zdecydowałaś – stwierdziła – tak samo jak ja. Przyjaźnie pokiwał głową.**

**–Chcę powiedzieć, że rozumiem, dlaczego mama i tato...**

**–Już o tym rozmawialiśmy.**

**Słyszałem trzeszczenie domu osiadającego pod ciężarem śniegu. Marygay cicho siedziała w kuchni, słuchając.**

**–Powtórzcie tę rozmowę – zaproponowałem. – Wiele się zmieniło, od kiedy sły  
szałem ją ostatni raz.**

–Na przykład co? To, że bierzecie ze sobą Człowieka? I Taurańczyka?

–Wtedy ty już będziesz Człowiekiem. Patrzył na mnie przez dłuższą chwilę.

–Nie.

–To nie powinno robić żadnej różnicy, który osobnik polecą. Zbiorowa świadomość i tak dalej.

–Bill nie ma odpowiednich genów – powiedziała Sara. – Zechcą wysłać prawdziwego Człowieka.

Słyszałem ten żart codziennie.

–I tak bym nie poleciał. To pachnie samobójstwem.

–Niebezpieczeństwo jest znikome – oznajmiłem. – Prawdę mówiąc, bardziej niebezpieczne jest pozostanie tutaj.

–Racja. Prawdopodobieństwo waszej śmierci w ciągu najbliższych dziesięciu lat jest mniejsze, niż mojej w ciągu następnych czterdziestu tysięcy.

Uśmiechnąłem się.

–Powiedziałbym, że mamy takie same szansę.

–Mimo wszystko to zwyczajna ucieczka. Znudziło ci się takie życie i śmiertelnie się boisz starości. Ja nie mam nic przeciwko jednemu i drugiemu.

–Owszem. Ty masz dwadzieścia jeden lat i wiesz wszystko.

–Pewnie, pieprzę głupoty.

–Po prostu nie wiesz, jak wyglądało życie bez Człowieka i Taurańczyków, którzy je komplikują. Albo upraszczają, robiąc ci pranie mózgu.

–Pranie mózgu. Nie wspominałeś o tym od paru tygodni.

–Bo to równie widoczne, jak brodawka na nosie. I tak samo jak brodawki, nie dostrzegasz tego, ponieważ się przyzwyczyłeś.

Bill wybuchnął.



**–Przyzwyczailem się do tego nieustannego gadania! – Wstał. – Sara, ty możesz odpowiedzieć za mnie na te wszystkie pytania. Mów dalej, tato. Ja pójdę się zdrzemnąć.**

**–I kto teraz ucieka?**

**–Jestem po prostu zmęczony. Naprawdę zmęczony. Marygay stanęła w drzwiach kuchni.**

**–Nie chcesz trochę zupy?**

**–Nie jestem głodny, mamu. Zjem później. Wbiegł po schodach, przeskakując po dwa stopnie na raz. – Znam na pamięć**

**wszystkie odpowiedzi – rzekła z uśmiechem Sara – jeśli znowu chcesz je usłyszeć.**

**–To nie ciebie stracę – oświadczyłem. – Chociaż zamierzasz pewnego dnia przejść na stronę wroga.**

Spojrzała na swój wykres i mruknęła coś po taurańsku.

–Co to oznacza?

–To jedno z ich przykazań. Oznacza mniej więcej: „Niczego nie mając, niczego nie stracisz”. – Spojrzała na mnie bardzo jasnymi oczami. – Oznacza także: „Niczego nie kochając, niczego nie stracisz”. Używają tego zwrotu w obu znaczeniach.

Powoli wstała.

–Chcę z nim porozmawiać.

Kiedy półtorej godziny później kładłem się spać, wciąż spierali się szeptem.

Nazajutrz rano to Bill miał przygotować śniadanie. W milczeniu szykował placki kukurydziane i jajka. Chciałem go pochwalić, kiedy mi je podawał, ale przerwał mi w połowie zdania.

–Lecę. Polecę z wami.

–Co?

–Zmieniłem zdanie. – Spojrzał na Sarę. – Albo dałem się przekonać. Siostra mówi, że jest jeszcze miejsce dla jednego faceta w sekcji hodowli.

–Do czego masz wrodzone zamiłowanie – zauważyłem.

–Przynajmniej do odcinania głów. – Usiadł. – Taka okazja trafa się naprawdę raz w życiu, raz na wiele pokoleń. A kiedy wrócimy, nie będę jeszcze taki stary.

–Dziękuję – odpowiedziała Marygay drżącym głosem.

Bill skinął głową. Sara uśmiechnęła się.

Następne miesiące były męczące lecz ciekawe. Dziesięć lub dwanaście godzin tygodniowo spędzaliśmy przy akceleratorowym symulatorze sytuacji bojowych – ucząc się lub przypominając sobie arkana kosmicznych podróży. Marygay już przechodziła takie szkolenie. Każdy, kto podróżował promem relatywistycznym, musiał opanować podstawy kierowania statkiem.

**Zgodnie z oczekiwaniami, w ciągu tych stuleci, które upłynęły od mojego ostatniego szkolenia, wszystkie czynności uległy znacznemu uproszczeniu. W normalnych warunkach całym statkiem mogła kierować jedna osoba.**

**Trenowaliśmy też procedury na wypadek nadzwyczajnych sytuacji. W moim przypadku było to pilotowanie promu i obsługa aparatury do hibernacji, przy której jeszcze bardziej niż zwykle zatęskniłem za latem.**

**Spadły pierwsze śniegi i minęła spora część zimy, zanim nadeszła wiadomość z Ziemi.**

**Niektórzy ludzie lubią zimę z powodu jej surowej prostoty. Rzadko wtedy pada śnieg. Zmniejszone słońce porusza się tym samym, stałym torem. W nocy temperatura spada do minus trzydziestu lub czterdziestu, a zanim nadejdzie odwilż, będą nawet sześćdziesiąt-stopniowe mrozy.**

**Ludzie, którzy lubią zimę, na pewno nie są rybakami. Kiedy pokrywa lodu na jeziorze jest dostatecznie gruba, żeby po niej chodzić, ruszam, by za pomocą ogrzewanych cylindrów zrobić w niej dziewięćdziesiąt sześć otworów. Każdy taki cylinder to metrowej długości aluminiowa rura ze spiralnym elementem grzejnym wewnątrz. Cylinder ma stożkowy kształt i komorę powietrzną, żeby nie zatonął. Rozstawiam tuzin naraz, ustawiając je na lodzie w równych odstępach do zarzucenia sznurów, a potem włączam i czekam. Po kilku godzinach roztapiają lód, a wtedy wyłączam zasilanie. Czekam jeszcze godzinę czy dwie, a potem zaczyna się zabawa.**

**Rzecz jasna, cylinder tkwi w warstwie ponownie zamarzającego lodu, który wypełnia całe jego wnętrze. Noszę ze sobą młot i przecinak. Obtłukuję lód wokół cylindra, aż**

usłyszę głuchy trzask, a wtedy chwytam za statecznik i wyciągam ten trzydziestokilo-gramowy słup lodu. Włączam grzanie na pełny regulator i powtarzam cały rytuał z następnym cylindrem.

Zanim dojdę do ostatniego z tuzina, pierwszy rozgrzeje się tak, że słup lodu bez oporu wyślizgnie się z jego wnętrza. Wtedy za pomocą łomu rozbijam warstwę lodu, który ponownie zamknął przerębel, znów wsuwam aluminiowy rękaw, włączam ogrzewanie ustawione na minimum i przechodzę do następnego.

To postępowanie opiera się na znajomości zasad termodynamiki i psychologii ryb. Woda w przerębli musi mieć dokładnie zero stopni, inaczej ryby nie biorą. Jeśli jednak będzie odrobinę zimniejsza, natychmiast zaczną się zestalać, tworząc walec lodu. Ryby będą brać, ale uwięzną w lodzie i urwą się z haczyków.

Bill z Sarą zrobili jednego dnia połowę otworów, a ja z Marygay nazajutrz resztę. Kiedy późnym popołudniem wróciliśmy do domu, wokół unosił się cudowny zapach. Sara piekła kurczaka na ognisku i przygotowała grzane wino z korzeniami. Nie było jej w kuchni. Nalaliśmy sobie z Marygay po kubku grzanego wina i poszliśmy do jadalni.

Nasze dzieci siedziały w milczeniu z Człowiekiem. Rozpoznałem go po budowie i szramie.

–Dobry wieczór, szeryfe. Wypalił prosto z mostu:

–Całe Drzewo powiedziało „nie”. Ciężko opadłem na kanapę, rozlewając trochę wina. Marygay usiadła na poręczy.

–Tak po prostu? – zapytała. – Tylko „nie” i nic poza tym?

–Są bliższe szczegóły. Wyjął cztero- lub pięciostronicowy, oprawiony dokument i położył go na stoliku do

kawy.

–Krótko mówiąc, dziękuję wam za wasze starania i płacą każdemu ze stu pięćdziesięciu ochotników po jednej stopięćdziesiątej wartości całego statku.

–Z pewnością w ziemskich kredytach – powiedziałem.

–Tak... a ponadto finansują podróż na Ziemię, gdzie będziecie mogli je wydać. To naprawdę spora suma, która może znacznie ułatwić i uprzyjemnić wam życie.

**–Wpuszczą nas wszystkich na pokład?**

**–Nie. – Szeryf uśmiechnął się. – Moglibyście polecieć gdzie indziej, nie na Ziemię.**

**–Ilu i kogo?**

**–Siedemnastu. Sami ich wybierzecie. Ze względów bezpieczeństwa podczas lotu będą w stanie hibernacji.**

**–Podczas gdy Człowiek będzie obsługiwał statek i aparaturę podtrzymującą życie. Ilu was będzie?**

–Nie powiedziano mi. A ilu będzie potrzeba?

–Może dwudziestu, gdyby dziesięciu było farmerami. – Nie zastanawialiśmy się, jaka powinna być minimalna załoga statku. – Czy są wśród was jacyś farmerzy?

–Nic mi o tym nie wiadomo. Jednak szybko się uczymy.

–Pewnie masz rację. Nie takiej odpowiedzi udzieliliby mi farmer.

–Zaproponowaliście szeryfowi grzane wino? – zapytała Marygay.

–Muszę już jechać – rzekł. – Chciałem tylko zawiadomić was, zanim podadzą to do publicznej wiadomości.

–To miło – powiedziałem. – Dziękuję.

Wstał i zaczął wkładać kolejne warstwy odzieży.

–No cóż, byliście tym szczególnie zainteresowani. – Pokręcił głową. – Zdziwiłem się. Uważałem, że ten plan może przynieść same korzyści i żadnych strat, więc  
wynik

głosowania jest oczywisty. – Wskazał leżący na stole dokument. – Tymczasem Całe

Drzewo podjęło inną decyzję i to nie samodzielnie. To niezwykle.

Odprowadziłem go aż do przejścia na podjazd, wykopanego w głębokim po pas śniegu. Słońce stało nisko na niebie i zimne powietrze wysysało ciepło z mojego ciała. Wystarczyło parę oddechów, aby wąsy zamarzyły mi w lodową szczecinę.

Zaledwie dwa lata do wiosny. Dwa lata czasu rzeczywistego.

Marygay już prawie skończyła czytać, kiedy wróciłem do środka. Była bliska łez.

–Co tam napisali? Nie odrywając wzroku od ostatniej kartki, podała mi trzy pierwsze.

–To Taurańczycy. Ci przekłęci Taurańczycy.

Zgodnie z oczekiwaniami, na pierwszych stronach dokumentu zamieszczono analizę ekonomiczną projektu, który – co uczciwie przyznano – nie był aż tak kosztowny,

**żeby odmówić nam promu czasowego.**

**Jednak ich zbiorowa świadomość połączyła się ze zbiorową świadomością Taurańczyków, którzy zdecydowanie zaprotestowali. To zbyt niebezpieczne – nie dla nas, ale dla nich.**

**I nie potrafili wytłumaczyć, dlaczego.**

**–Mieli zwyczaj mówić: „Są rzeczy, o jakich człowiek nie powinien wiedzieć”. – Spojrzałem na dzieci. – To było wtedy, kiedy mianem „człowieka” określali takich jak my.**

**–Niczego więcej tu nie ma – oznajmiła Marygay. – Żadnego konkretnego wyjaśnienia. – Przesunęła palcami po ostatniej kartce. – Tu jest coś po taurańsku.**

**Taurańczycy sporządzali swoje oficjalne dokumenty w piśmie nieco przypominającym alfabet Braille’a.**

**–Potrafcie to odczytać?**

–Tylko najprostsze wyrazy – odparła Sara. Powiodła palcem po wypukłościach. – Nie. Zabiorę to po szkole do biblioteki i sprawdzę na komputerze.

–Dziękuję – powiedziałem. – Jestem pewien, że to wszystko nam wyjaśni.

–Och, tato. Oni czasem wcale nie są tacy obcy. – Wstała. – Sprawdzę kurczaki. Już powinny być gotowe.

Obiad był dobry. Podała pieczone ziemniaki i marchewkę, zawinięte w folię z masłem czosnkowym i przyprawami. Dzieci były bardzo ożywione podczas obiadu; Ma-rygay i ja nie byliśmy w najlepszych humorach. Po posiłku przez jakiś czas oglądaliśmy telewizję – rewię na lodzie, na widok której ponownie podgrzałem wino.

Na górze, szykując się do łóżka, w końcu zaczęła płakać. W milczeniu ocierała łzy z policzków.

–Chyba powinnam to przewidzieć. Nie wzięłam pod uwagę Taurańczyków. Czło wiek zazwyczaj wykazuje zdrowy rozsądek.

Weszliśmy pod kołdrę i koc, chroniąc się przed zimnem.

–Jeszcze dwadzieścia miesięcy tych chłódów – powiedziała.

–Nie dla nas.

–Co chcesz przez to powiedzieć?

–Do diabła z Taurańczykami i ich mistycyzmem. Wracamy do planu A.

–Planu A?

–Porwiemy statek.

W południe Sara przyniosła do domu przetłumaczone pismo Taurańczyków.

–Bibliotekarka powiedziała, że to rytualna formułka, jak na końcu modlitwy: „W obcym – nieznanym, a w nim niepojętym”. Mówiła, że to tylko przybliżony przekład. Ich koncepcji nie da się dokładnie przełożyć na ludzki język.

Znalazłem pióro i kazałem jej powtórzyć to powoli. Zapisałem wszystko dużymi



literami z tyłu kartki. Sara poszła do kuchni przygotować kanapkę.

–O! Co robisz z tym wszystkim?

–Do czwartej nie mam nic do roboty. Pomyślałem, że wyczyszczę wszystko od razu.

Pod wpływem nagłego impulsu, przyniosłem do domu narzędzia i przybory rybackie, które miały ostre końce lub krawędzie. Właśnie czyściłem je i ostrzyłem. Leżały błyszczącym rzędem na stole w jadalni.

–Za długo z tym zwlekałem, a jest za zimno, żeby zrobić to w szopie.

Nie spodziewałem się, że ktoś tak szybko wróci do domu. Jednak Sara przeszła obok

nich obojętnie, kiwnąwszy głową. Wychowała się wśród takich narzędzi i nie widziała w nich broni.

Zjedliśmy razem obiad w przyjaznym milczeniu, otoczeni przez toporki i ościenie, czytając. Dokończyła kanapkę i spojrzała mi prosto w oczy.

–Tato, chcę polecieć z wami. Drgnąłem.

–Co?

–Na Ziemię. Będziecie w tej siedemnastce, prawda?

–Twoja mama i ja... owszem. Tak napisali w tym liście. Jednak nie mam pojęcia, w jaki sposób wybiorą pozostałych piętnastu.

–Może pozwolą wam wybrać.

–Być może. Znajdziesz się na pierwszym miejscu mojej listy.

–Dziękuję, tato.

Pocałowała mnie w policzek, spakowała się i pospieszyła z powrotem do szkoły. Zastanawiałem się, czy naprawdę rozumiała, co właśnie się stało – czy wyczuwała to

w jakiś sposób. Czasem ojcowie i córki nie potrafią się porozumieć nawet wtedy, kiedy nie chodzi o spiski i teksty w obcym języku.

Oczywiście, Marygay i ja zostaliśmy wybrani, ponieważ byliśmy jedynymi żywymi ludźmi, którzy pamiętali dwudziestowieczną Ziemię sprzed Wiecznej Wojny. Człowiek z pewnością interesował się, jakie teraz robi na nas wrażenie. Podejrzywałem, że pozostałych piętnaście osób zostanie wybrane przypadkowo spośród ludzi, którzy będą chcieli odbyć taką wycieczkę – a więc z połowy populacji planety.

Rzecz jasna, nie będzie żadnej wycieczki. Statek poleci prosto w nicość. Z Sarą na pokładzie, tak jak planowaliśmy.

Rozwinąłem rolkę z diagramem zmodyfikowanego harmonogramu, który przygotowała, przycisnąłem naroża solniczka, pieprzniczką oraz dwoma ostrymi nożami.

Przygnębiała mnie świadomość tego, ile setek rzeczy trzeba będzie przewieźć do ko-smoportu i wysłać na orbitę. Oni tego nie zrobią, skoro statek ma polecieć tylko na Ziemię i z powrotem. Tak więc będziemy musieli porwać „Time Warp”, a potem w jakiś sposób kontrolować sytuację przez dostatecznie długi czas, żeby wykonać kilkadziesiąt lotów. Tylko na przewiezienie ludzi potrzeba będzie dziesięciu lotów.

Nie dokonamy tego, atakując ich uzbrojeni w narzędzia gospodarskie. Musimy im czymś naprawdę zagrozić. Jednak na Middle Finger było niewiele broni i niemal cała znajdowała się w rękach przedstawicieli władz, takich jak szeryf.

**Pozbierałem narzędzia, żeby wynieść je do szopy. Broń nie zawsze wygląda jak oręż. Czym dysponowaliśmy? Czy mieliśmy cokolwiek, co powstrzymałoby ich przez dziesięć dni do dwóch tygodni, podczas gdy promy będą kursowały tam i z powrotem?**

**Nagle zrozumiałem, że mamy coś takiego. Chociaż był to trochę zwariowany pomysł.**

Wszystko wymagało starannego planowania i zgrania działań – ale nieoczekiwanie pomogli nam w tym nasi przeciwnicy: cała siedemnastka lecąca na Ziemię mieszkała w Paxton i należała do przywódców spisku. Pozostawało otwartą kwestią, czy zamierzali pozwolić nam powrócić tu z Ziemi. Często zadawaliśmy sobie to pytanie.

Mieliśmy zaledwie dwanaście dni przed planowanym odlotem na Ziemię. Rozesłałem wszystkim kopie dokumentu Całego Drzewa. Wspólnie ubolewaliśmy i dyskutowaliśmy o tym, czy – na przykład – nie uda nam się jednak uzyskać zgody na tę długą podróż, jeśli porozmawiamy na Ziemi z Człowiekiem i Taurańczykami.

Podczas tych telekonferencji nieznacznie dotykałem środkowym palcem kości policzkowej, co oznaczało: „Nie zwracaj na to uwagi – ktoś może nas podsłuchiwać”. Większość z nich odwzajemniła ten gest.

Ani słowem nie wspominaliśmy o spisku podczas tych elektronicznych czy osobistych kontaktów. Sporządziłem zwięzłe i dokładne instrukcje dla każdego z uczestników akcji, które mieli zapamiętać i zniszczyć. Nie rozmawialiśmy o tym również z Ma-rygay, nawet wtedy, kiedy byliśmy sami na łodzi, zajmując się połowem.

Często widywaliśmy się z pozostałymi członkami naszej siedemnastoosobowej grupy, rozmawiając o Ziemi i przekazując sobie notatki związane z ucieczką. Wszyscy zgodnie uważaliśmy, że prawdopodobnie nam się nie uda, ale nie mieliśmy czasu, żeby wymyślić bardziej wyrafinowany plan.

Żałowałem, że nie mogę wtajemniczyć Sary. Była zawiedziona, że nie będzie mogła polecieć na Ziemię i chociaż raz w życiu opuścić Middle Finger.

Starłem się uśmiechać jak najrzadziej. „Rób coś, nawet jeśli to błąd” – zwykła mówić moja matka. W końcu coś robiliśmy.

Na Middle Finger nie było wojska, tylko uzbrojone w lekką broń oddziały policji. Na całej planecie znajdowało się jedynie kilka egzemplarzy broni, bo też nie było tutaj niczego, na co trzeba by się zasadać z czymś więcej niż sznurem i haczykiem.

Było tu jednak coś, co potencjalnie stanowiło znacznie groźniejszy oręż niż całe uzbrojenie, jakim dysponował Człowiek. W Muzeum Historycznym w Centrusie znajdował się bojowy skafander z czasów Wiecznej Wojny.

Nawet pozbawiony ładunków nuklearnych i konwencjonalnych, z nieczynnym laserem we wskazującym palcu, ze względu na swoje układy wzmacniające i gruby pancerz wciąż był budzącą respekt bronią. (Wiedzieliśmy, że układy są sprawne, ponieważ Człowiek sporadycznie wykorzystywał skafander do prac budowlanych i rozbiórkowych). Mężczyzna czy kobieta w takiej zbroi staje się niemal półbogiem czy też – dla mojego pokolenia – superherosem z komiksów mogącym jednym susem przeskakiwać wysokie budynki i zabijać jednym uderzeniem pięści.

Pancerz można było zasilać z dowolnego źródła. Na przykład wyssać energię z ogniwo latacza i urządzić małą rzeź – lub przez kilka następnych godzin szukać lepszego źródła zasilania.

Nie mogliśmy zakładać, że pancerz jest naładowany i tylko czeka, aż ktoś go weźmie – chociaż Charlie spierał się, że zapewne tak jest, z tego samego powodu, z jakiego w Centrusie nie było wojska, które trzymałoby nas w szachu. Gdybyśmy podjęli walkę z Człowiekiem i pokonali go, cóż osiągnęlibyśmy z ich punktu widzenia? Uważali się za naszych mentorów i partnerów, naszą przepustkę do prawdziwej cywilizacji. Człowiek nie musiał podejmować żadnych kroków zapobiegających takim bezsensownym i niepotrzebnym działaniom.

Zamierzaliśmy pokazać mu, że się mylił.

Max Weston był jedyną znaną mi osobą, która dysponowała dostateczną siłą fizyczną, aby bez trudu obezwładnić szeryfa. Musieliśmy odebrać temu przedstawicielowi władz broń, żeby zaatakować muzeum. Oczywiście, powinniśmy to zrobić w ostatniej chwili, tuż przed wyjazdem do Centrusa. Potem zamknąć go w celi, albo wziąć jako zakładnika. (Upierałem się, że nie powinniśmy go zabijać, jeśli tylko nie będziemy do tego zmuszeni. Miałem wrażenie, że Max przystał na to zbyt ochoczo).

Człowiek sam narzucił nam harmonogram. Ekspresowy latacz miał przybyć w samo południe dziesiątego kopernika, godzinę później mieliśmy znaleźć się w Centrusie. Popołudnie mieliśmy spędzić na odprawie przed lotem, a potem poddać się hibernacji i w tym stanie polecieć promem na „Time Warp”, jako część ładunku.

Max wypowiedział myśl, która przyszła do głowy nie tylko jemu i mnie, ale zapewne i innym, że może wcale nie mieli zamiaru nas zahibernować. Może wcale nie dadzą nam zastrzyku przedłużającego życie, ale kończący je. Potem wyślą „Time Warp”, który wróci bez nas, za to z jakąś smutną historią o tym, że z powodu braku

**odporności wszyscy umarliśmy na jakąś ziemską chorobę i w ten sposób Middle Finger uwolni się od siedemnastu awanturników.**

Wydawało się, że ta myśl graniczy z paranoją. Wątpiłem, aby Człowiek widział w nas zagrożenie, którego należy się pozbyć, a nawet gdyby, to mógł tego dokonać w mniej skomplikowany sposób. Jednak Człowiek często robił różne rzeczy w skomplikowany i dziwny sposób. Sądzę, że to skutek zbyt częstego przebywania w towarzystwie Taurań-czyków.

Nasz plan opierał się na starannym planowaniu i sprawności różnych urządzeń. Odebrana szeryfowi broń posłuży do zdobycia bojowego pancerza, dzięki niemu zajmiemy prom, a ten przewiezie nas do naszej najgroźniejszej broni.

Ten plan miał jednak słabe punkty – na przykład, gdyby broń szeryfa była zaprogramowana tak, żeby tylko on mógł jej użyć (która to technologia była stosowana już od wieków), gdyby bojowy pancerz był niesprawny, albo prom czasowy lub „Time Warp” zaopatrzono w dodatkowy obwód kontrolny, sterowany z powierzchni planety. Podczas komputerowego kursu pilotażu, kiedy przygotowywałem się do roli pilota promu, a Marygay gwiazdolotu, nic o tym nie wspomniano. Obie jednostki były w pełni autonomiczne. Jednakże mogli zataić przed nami istnienie takich układów.

Przezornie nie przybyliśmy do miasta wszyscy razem. Ułatwił nam zadanie fakt, że latacz miał nas zabrać prosto sprzed drzwi biura szeryfa, całą grupą. Zgodnie z naszym planem, Marygay i ja mieliśmy pojawić się wcześniej i odciągnąć uwagę szeryfa, a potem – w razie potrzeby – pomóc Maxowi.

Bill i Sara podwieźli nas o jedenastej, razem z naszym skromnym bagażem – przyborami toaletowymi, kilkoma zmianami odzieży i dwoma długimi nożami. Nic im nie powiedzieliśmy. Bill był w dobrym humorze, sprawnie i szybko prowadził pojazd po oblodzonych ulicach. Sara była przygaszona, jakby powstrzymywała łzy. Naprawdę chciała polecieć i zapewne uważała, że nie staraliśmy się dostatecznie energicznie zapewnić jej miejsca na naszej liście.

–Powinniśmy im powiedzieć – mruknęła Marygay, gdy podjechaliśmy pod posterunek policji.

–O czym? – spytała Sara.

–Nie omija cię wycieczka na Ziemię – powiedziałem. – Wcale tam nie lecimy. Postanowiliśmy zrealizować pierwotny plan.

–Za parę tygodni wszyscy będziemy na „Time Warp” – dodała Marygay. – I polecimy w przyszłość, nie ku przeszłości.

**–Nic o tym nie slyszalem – rzekł Bill. – A przeciez chyba powinni cos o tym powiedziec.**

**–Jeszcze nic nie wiedza. Szeryf zaraz sie dowie. Bill wcisnal hamulec i obrócił sie na fotelu.**

**–Zamierzacie opanowac statek sila?**



–Można tak powiedzieć – przyznała Marygay. – Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, nikt nie ucierpi.

–Mogę wam pomóc? Jestem silniejszy od ciebie.

–Nie teraz. – Miło, że to zaproponował. – Dopóki nie dostaniemy się do Centru-sa wszystko musi wyglądać tak, jakby przebiegało zgodnie z ich planem.

–Po prostu zachowujcie się jakby nigdy nic, kochani. I oglądajcie wiadomości.

–Nie... – zająknęła się Sara. – Nie róbcie... Nie będziecie zanadto ryzykować?

–Będziemy uważać – odparła Marygay.

Sara zapewne chciała powiedzieć: „Nie róbcie niczego głupiego”, ale obawiam się, że

już i tak było na to za późno.

Ucałowałem ich oboje i otworzyłem drzwi. Marygay też pocałowała ich i odrobinę dłużej przycisnęła Billa.

–Zobaczymy się wkrótce.

–Powodzenia – rzucił pospiesznie.

Sara skinęła głową, przygryzając dolną wargę. Zamknąłem drzwi za Marygay i odjechali.

–Cóż – rzekłem niepotrzebnie. – Jesteśmy na miejscu.

Kiwnęła głową i razem weszliśmy po oblodzonych stopniach, a potem przez podwójne drzwi.

Szeryfa nie było w biurze – przygotowywał salę. Spojrzał na zegarek.

–Przyjechaliście za wcześnie.

–Podwiózł nas Bill – wyjaśniła Marygay. – Musiał iść do szkoły. Skinął głową.

–Kawa jest w gabinecie. Marygay wybrała herbatę, a ja poszedłem korytarzem do toalety, głównie po to,

żeby sprawdzić cele. Obie były otwarte i można je było zamknąć z zewnątrz na prosty elektroniczny zamek. Będziemy musieli usunąć klawiaturę, zanim zamkniemy szeryfa w jednej z nich. Mnie nie udało się z niej skorzystać, ale może nie znałem właściwej kombinacji.

Dołączyłem do Marygay i też wziąłem herbatę. Wymownie zerknęła na pusty wieszak za biurkiem szeryfa. Zapewne miał pistolet pod kamizelką, tak jak tej nocy, kiedy przyjechał nas aresztować.

Drzwi otworzyły się i usłyszałem, jak wita Maxa. Wszedłem do sali i zobaczyłem, jak podają sobie ręce. Max wiedział o ukrytej kaburze.

Mój plan był bardzo prosty i z perspektywy czasu sędzę, że nie powiodłby się, gdyby szeryf miał się na baczności. Udałem, że potknąłem się o chodnik i upuściłem kubek z kawą.

–O cholera! – krzyknąłem.

Gdy szeryf odwrócił się, Max jedną ręką objął jego szyję, a drugą złapał za prawe ramię. Przeciwnik usiłował go kopnąć, lecz Max przewidział to i zablokował kopnięcie, a tymczasem ja sięgnąłem szeryfowi pod kamizelkę i wyrwałem pistolet z za pasa.

–Nie uduś go, Max!

Max rozluźnił chwyt na tyle, żeby Człowiek mógł oddychać, jednocześnie zmuszając go do klęknienia na podłodze. Szeryf zakaszłał.

–O co chodzi?

–Domyśl się – poradził mu Max. – Wykorzystaj swoją zbiorową świadomość. Marygay wyszła z gabinetu, niosąc wielką rolkę taśmy izolacyjnej.

–Do celi! Williamie... celuj w niego!

Trzymałem broń w opuszczonej ręce, mierząc w podłogę. Mogła wystrzelić. Machnąłem ręką.

–Trzymaj go, Max. Szeryf nie stawiał oporu.

–Narobicie sobie, prawdziwych kłopotów. Co wy wyprawiacie?

–Masz rację – zgodziłem się. – Teraz narobiliśmy sobie prawdziwych kłopotów.

Jednak zanim wrócimy, to będzie już bez znaczenia.

Max zaprowadził go do celi i posadził na krześle.

–Co takiego? Myślicie, że zdołacie... Chcecie porwać statek?

–Ci faceci szybko łapią – rzekł Max. Marygay przywiązała szeryfa taśmą do krzesła.

–Nie chcemy robić ci krzywdy, szeryfe – wyjaśniłem – ani nikomu w Centrusie.

Po prostu zamierzamy zrealizować nasz plan, który sam aprobowałeś.

Trochę otrząsnął się z zaskoczenia.

–Tymczasowo. Zanim otrzymaliśmy odpowiedź Całego Drzewa.

–Ty rób co chcesz – odparła Marygay. – My nie musimy słuchać rozkazów Ziemi.

**–Rozkazów Taurańczyków z Ziemi – poprawił Max.**

**–Przecież to beznadziejne – rzekł z lekkim przygnębieniem szeryf. – We troje nie...**

**–Jest nas siedemnaścioro – powiedziałem.**

**–Nawet siedemnaście osób nie zdoła ukraść gwiazdolotu i pokierować nim.**

**–Mamy plan. Ty tylko siedź spokojnie i patrz. Kilka osób weszło i stanęło przy drzwiach.**

**–Widzę, że nie potrzebujecie pomocy – stwierdziła Jynn.**

**–Rozejrzyjcie się, czy nie znajdziecie innej broni – rzekł Max.**

**–Nie ma – powiedział szeryf, zwracając się do mnie. – Tylko ten pistolet. W razie nagłych wypadków.**

–Takich jak ten.

Max wyciągnął rękę, a ja oddałem mu broń. Wycelował w monitor przy klawiaturze i wypalił. Wystrzał ogłuszająco huknął w zamkniętym pomieszczeniu. Osłoniłem dłońią oczy, więc nie widziałem momentu uderzenia, ale rezultat robił wrażenie. Strzał przedziurawił nie tylko monitor.

–Co to było, do diabła? – krzyknął ktoś.

–Sprawdzałem broń – odparł Max, oddając mi pistolet. – Działa.

–Nie uda wam się porwać gwiazdolotu za pomocą starego pistoletu.

–Musimy tylko porwać prom kosmiczny – poprawiła go Marygay. – Gwiazdolot zrobi to, co mu każę.

–I mamy nie tylko ten pistolet – dorzucił Max.

Cat stanęła w drzwiach. Wymieniły spojrzenia z Marygay.

–Znaleźliśmy trochę środków do rozpraszania tłumu. Granaty z gazem łzawiącym i pętacze.

–Pewnie właśnie tego spróbują użyć przeciwko nam w Centrusie – zauważyłem.

–Równie dobrze możemy odpowiedzieć im tym samym.

–Maska bardziej się wam przyda – powiedział szeryf.

–Co?

–Maska przeciwigazowa. Znajduje się w prawej górnej szufadzie mojego biurka.

–Wzruszył ramionami. – Jestem skłonny do współpracy.

–Nie mogliśmy jej otworzyć – powiedziała Cat. – Zamek dotykowy?

Skinął głową.

–Tam znajdziecie też amunicję do pistoletu. – Pokazał nam kciuk. – Możecie przynieść tu biurko, albo mnie rozwiązać.

–To podstęp – rzekł Max. – Instalacja pewnie wysyła sygnał alarmowy.

**–Róbcie jak chcecie – powiedział Człowiek.**

**–Dlaczego miałbyś nam pomagać? – zapytała Marygay.**

**–Po pierwsze, jestem po waszej stronie. Znam was, od kiedy byłem małym chłopcem i wiem, ile to dla was znaczy. – Spojrzał na Maxa. – Ponadto macie broń. Przynajmniej jeden z was mógłby jej użyć.**

**Max wyjął duży nóż sprężynowy i z trzaskiem zwolnił ostrze.**

**–Mógłbym odciąć ci kciuk. – Dotknął nożem taśmy izolacyjnej, która pękła z trzaskiem. – Teraz powoli.**

**W szufadzie była amunicja i maska przeciwgazowa, a także kajdanki na ręce i nogi. Założyliśmy je szeryfowi.**

**–Latacz już jest! – zawołał od drzwi Po.**

**–Z kierowcą? – odkrzyknęła Marygay.**

**Po odparł, że nie, ma włączone światelko autopilota.**

–Pojedziesz z nami. Jako zakładnik.

–Jeśli zamkniecie mnie w celi, nie będę wam przeszkadzał. Wolałbym tu zostać. Max złapał go za ramię.

–A my wolimy cię zabrać.

–Zaczekaj – powiedziałem. – Myślisz, że chcą nas zabić.

–Jak tylko zobaczą, że jesteście uzbrojeni. Moja obecność nie wpłynie na ich decyzję.

–To jeden z powodów tego, że tak was kochamy – mruknęła Marygay. – Ta wasza troska o innych.

–Nie tylko Człowiek podejmie tę decyzję – oświadczył – i nie w Centrusie. Taurańczycy nie potrafliby tego pojąć, gdybyśmy postąpili inaczej.

–Pozwalają im wpływać na działania policji?

–Nie, ale kiedy chodzi o gwiazdolit, nie jest to zwyczajne przestępstwo. Wszystkie sprawy związane z kosmosem dotyczą również Taurańczyków.

–Tym bardziej powinniśmy mieć zakładnika – zauważył Max.

–Wiesz co mówisz? – zapytał szeryf. – I kto teraz nisko ceni cudze życie?

–Tylko twoje – oznajmił Max i popchnął go w kierunku drzwi.

–Zaczekajcie – powiedziałem. – Dopóki nie dowiedzą się, co robimy, Taurańczycy nie będą w to zamieszani?

–Tylko ludzie i Człowiek – odparł. – Jednak szybko rozumieją, co się stało, i skontaktują się z Taurańczykami.

–Tak. – Wskazałem na drzwi. – Wyprowadź go i zamknij. Musimy się naradzić.

Max wrócił po minucie.

–Może czas zaryzykować – oświadczyłem. – Latacz ma pojechać główną ulicą do kosmoportu. Kiedy wy wszyscy będziecie tam jechać, ja mógłbym spróbować do

**stać się do muzeum. Gdyby ktoś chciał sprawdzić, to razem z szeryfem będzie was sie-**

**demnaścioro. W ten sposób zyskamy trochę czasu. Potem unieruchomicie latacz, żeby**

**tu nie wrócił.**

**–Wtedy nie będziesz mógł skorzystać z jego zapasów energii.**

**Uwzględniliśmy taką możliwość na wypadek, gdyby pancierz miał za mało energii.**

**–Owszem, będzie mógł – wtrącił z przekonaniem Max. – Odjedziemy klik lub więcej od kosmoportu, przełączymy latacz na ręczne sterowanie i skierujemy na dół. Minie pięć, a może siedem minut zanim zleci na dół. Potem jeszcze minutę lub dwie, zanim zacznie mieć kłopoty. Wtedy odwrócimy latacz i podstawimy go Williamowi.**

**–Z policją na ogonie – dodała Marygay.**

**–Może tak, a może nie – powiedziałem. – Zatrzymajcie broń, na wszelki wypadek, ale do licha z tym. Tutaj nie mają takiej policji jak na Ziemi. – Zapewne na tej nowej Ziemi też jej nie ma. – Tylko nie uzbrojeni policjanci z drogówki.**



**–Nie chcesz wziąć broni? – zapytał Max.**

**–Nie. Popatrzcie – ten gaz łzawiący to istny dar losu. Wezmę maskę gazową i łom. W kilka minut będę miał na sobie pancerz. Spotkamy się na drodze do kosmoportu.**

**Marygay skinęła głową.**

**–To może się udać. A jeśli nie, to przynajmniej nie użyjesz śmiercionośnej broni przeciwko strażnikom.**

**Zdołałem upchnąć granaty gazowe i maskę do walizeczki szeryfa. Trudno było schować łom, ale zdołałem wepchnąć go do nogawki spodni aż do kolana, a pasek przytrzymał go na miejscu, tak że górną część skrywał płaszcz.**

**Wszyscy wsiedliśmy do latacza i wystartowaliśmy, wznosząc się na około sto metrów. Padał gęsty śnieg i nie było widać ziemi. Mieliśmy nadzieję, że w Centrusie jest tak samo. To spowolni pościg, ale nie nas, jeśli nie zerwie się silniejszy wiatr. Prom bez problemu wystartuje w śnieżycy, jednak nie przy silnym wietrze.**

**Minęła niespokojna godzina. Szeryf nie był jedynym zakładnikiem: prawdę mówiąc, los nas wszystkich zależał od całego szeregu trudnych do przewidzenia zdarzeń. Lecieliśmy na spotkanie niebezpieczeństwa, które jednak było kaszką z mlekiem w porównaniu z tym, jakie groziło człowiekowi na polu walki.**

**Wolałem nie myśleć, jak dawno to było. Miałem nadzieję, że strażnicy muzeum to niedoświadczeni chłopcy i dziewczęta z miasta – mole książkowe, którym obce są wszelkie akty przemocy. A może spotkam tam tylko paru starszków. Dzięki mnie, będą mieli o czym opowiadać wnukom. „Byłem tam, kiedy ci szaleni weterani porwali gwiazdolit”. A może: „Pewnego dnia wpadł tam ten wariat z gazem łzawiącym. Zastrzeliłem go”.**

**Jednak nikt z nas nie przypominał sobie, żeby strażnicy muzeum byli uzbrojeni, a przecie z pewnością zapamiętalibyśmy ten fakt. Może po prostu mieli broń ukrytą. W każdym razie nie powinienem się tym teraz przejmować.**

**Marygay trzymała kciuk w pobliżu przycisku ręcznego sterowania, ale okazało się to zbyt bezużyteczne. Latacz zatrzymał się na skrzyżowaniu, kwartał przed biblioteką. Pocałowałem Marygay i wysiadłem.**

**Śnieg sypał powoli i równo – dobrze dla promu i być może dla mnie, ponieważ opóźni przybycie pomocy wezwanej przez ochronę z muzeum. Przeszedłem między**

**wolno posuwającymi się pojazdami, budząc przelotne zainteresowanie z powodu mojego utykania. Łom ześlizgnął się poniżej kolana.**

**Zdałem sobie sprawę z tego, że muzeum może być zamknięte, co bardzo by mi odpowiadało. Włamałbym się i chociaż na pewno włączyłby się alarm, miałbym do czynienia z policją, a nie tłumem postronnych osób.**

**Nie dopisało mi szczęście. Gdy zbliżałem się do muzeum, właśnie ktoś je opuszczał, wychodząc tyłem i trzymając szeroką nakrytą tacę, zapewne ze śniadaniem.**

Przeszedłem przez grube drewniane drzwi i rzeczywiście, strażniczka jadła ciastko, które wzięła ze sterty innych, leżących na talerzu. Człowiek rodzaju żeńskiego, zaledwie dwudziestoparoletni. Powiedziała do mnie coś w ich języku, mamrocząc z pełnymi ustami. Pomyślałem, że pewnie mówi mi dzień dobry i zachęca do pozostawienia płaszcza oraz walizeczki.

Miała szeroki podbródek, jak oni wszyscy – dobry cel do uderzenia pięścią. Gdyby zajrzała do walizeczki, uderzyłbym ją podbródkowym, który powinien ogłuszyć ją na minutę i oszołomić na jeszcze jedną.

Nie musiałem tego robić. Zapytała mnie, co mam w walizce, a ja powiedziałem powolną angielszczyzną:

–Nie wiem. Jestem z Paxton i mam dostarczyć to Człowiekowi, który jest kierownikiem wystawy broni.

–Och, to nie Człowiek, ale jeden z was. Jacob Kellman. Przyszedł dwie lub trzy minuty temu. Może pan zanieść to prosto do niego, część A4.

Budynek miał tylko dwie kondygnacje, po cztery sale na każdej.

Drzwi do części A4 były zamknięte. Otworzyłem je. W środku nie było nikogo. Zamknąłem je cicho i szybko zabrałem się do dzieła: wyjąłem łom i przebiegłem obok mniej zabójczych przykładów ludzkiego stosunku do innych gatunków, prosto do gabloty z bojowym pancerzem. Dwa uderzenie łomem i przednia tafa szkła rozprysła się w kawałki, które wpadły do gabloty.

Pobiegłem z powrotem do drzwi i dopadłem ich w tym samym momencie, kiedy się otworzyły. Kellman był siwobrody, przynajmniej równie stary jak ja, i nie uzbrojony. Wykorzystując moją rozległą znajomość różnych sztuk walki wręcz, popchnąłem go z całej siły. Wyleciał na korytarz i rozciągnął się jak długi na podłodze. Ponownie zatrzasnąłem drzwi i prowizorycznie zablokowałem je, wpychając łom między ich panel a futrynę, po czym pospiesznie wróciłem do gabloty.

Był to nowszy model bojowego pancerza od ostatniego, którego używałem, ale miałem nadzieję, że jego podstawowe funkcje niewiele się zmieniły. Sięgnąłem do wgłębienia ukrytego między łopatkami, wymacałem dźwignię awaryjną i pociągnąłem. Nie zadziałała, gdyby w środku tkwiła jakaś żywa istota, ale na szczęście pancerz był pusty. Otworzył się jak muszla, rozbijając kolejną szybę, a krzepiący skowyt hydrauliki świadczył o tym, że zasilanie działa.

Ktoś łomotał w drzwi i wrzeszczał. Zdjąłem jeden but i nogą w grubej skarpecie

**odgarnąłem część odłamków szkła, żeby móc stanąć tam bosy i rozebrać się. Ściągnąłem sweter i spodnie, a potem próbowałem zerwać z siebie koszulę, ale guziki były za mocno przyszyte. Kiedy męczyłem się z nimi, łomotanie przeszło w rytmiczny łoskot – ktoś większy od Kellmana uderzał barkiem w drzwi.**

Wyjąłem z walizeczki oba granaty, wyrwałem zawlecзки i cisnąłem przez całą długość sali. Z cichym pyknięciem wypuściły sporą chmurę mlecznobiałego dymu, a ja tyłem wszedłem do pancerza, wsunąłem ręce w rękawy i zacisnąłem obie dłonie, dając sygnał aktywacji. Nie bawiłem się w podłączanie systemów. Albo wytrzymam, albo będę musiał pogodzić się ze skutkami.

Przez długą chwilę nic się nie wydarzyło. Już poczułem w nozdrzach kwaśny zapach gazu łzawiącego. Potem pancerz niepokojąco ospale zamknął się wokół mnie.

Włączył się monitor i wyświetlacze. Spojrzałem na lewy dolny: zasilanie 0,05, wszystkie systemy uzbrojenia ciemne, zgodnie z oczekiwaniami.

Jedna dwudziesta normalnej mocy i tak czyniła mnie Goliatem, przynajmniej tymczasowo. Chłód i zapach oleju świadczyły o tym, że oddycham własnym powietrzem. Wyciągnąłem rękę, żeby pozbierać ubranie i z łoskotem runąłem na twarz.

Cóż, upłynęło sporo czasu od kiedy siedziałem w jednym z tych skafandrów, a jeszcze więcej od kiedy korzystałem ze standardowego kombinezonu – pasującego na każdego. Zazwyczaj używałem specjalnie dopasowanego do moich rozmiarów.

Zdołałem jakoś stanąć na nogi i wepchnąć ubranie, oprócz butów, do „kieszeni” z przodu, zanim wyłamali drzwi. Rozległo się chóralne pokasywanie i kichanie. Jakaś postać chwiejnie wypadła z chmury gazu – Człowiek rodzaju żeńskiego, zbudowana jak nasz szeryf, w podobnym mundurze i także z pistoletem. Trzymała go w obu rękach, celując w moim kierunku, ale łzy płynęły jej z oczu i zakładałem, że jeszcze mnie nie zauważyła.

Ci ludzie nie stanowili dla mnie żadnego zagrożenia. Za plecami miałem wyjście awaryjne. Odwróciłem się i chwiejnie, jak zombie z filmu z lat pięćdziesiątych, ruszyłem w ich kierunku. Człowiek oddała trzy strzały. Jeden z nich zrobił ładną dziurkę w gablocie z bronią nuklearną, a drugi strzaskał lampę pod sufitem. Trzecia kula chyba odbiła się rykoszetem od moich pleców. Usłyszałem jak pocisk z wizgiem odlatywał w dal, ale – oczywiście – nawet nie poczułem uderzenia.

Strażniczka zapewne wiedziała, że pancerz jest rozbrojony, lecz mimo to bardzo niebezpieczny. Zastanawiałem się, czy nadal byłaby taka odważna, gdybym odwrócił się i ruszył w jej kierunku. Jednak nie miałem czasu na takie zabawy.

Pchnąłem drzwi awaryjne, wrywając je z zawiasów. Przechodząc przez nie, pochylilem głowę. Pancerz miał prawie dwa i pół metra wysokości – nie był strojem przeznaczonym do noszenia we wnętrzach.

**Ludzie uciekali na wszystkie strony, robiąc odpowiednio dużo hałasu. Człowiek lub ktoś inny otworzył do mnie ogień. Jako matowoczarny olbrzym na białym śniegu byłem znakomitym celem. Obróciwszy pierścień na nadgarstku, zmieniłem kolor na cytryno-wozielony, piaskowożółty, aż wreszcie przybrałem szklisto białą barwę.**

Najszybciej jak mogłem ruszyłem w kierunku głównej ulicy, dwukrotnie o mało nie rozciągając się jak długi na lodzie. Daj spokój, pomyślałem, przecież używałeś tych pancerzy na lodowych planetach, w temperaturach kilku stopni poniżej zera absolutnego. Tylko że nie ostatnio.

Główna ulica była posypana piaskiem i solą, więc mogłem pobiec. Niektóre pojazdy poruszały się na ręcznym sterowaniu i jazgocząc klaksonami rozjeżdżały się na boki, gdy biegłem środkiem drogi. Niektóre zaczynały przy tym niebezpiecznie wirować, wymykając się spod kontroli. Znów zmieniłem kolor na zielony, żeby ostrzec kierowców.

Poruszałem się coraz szybciej, oswajając się z możliwościami i ograniczeniami mojego topornego stroju. Mknąłem już z szybkością około trzydziestu pięciu kilometrów na godzinę, kiedy napotkałem autobus Marygay, tuż za granicą miasta.

Otworzyła drzwiczki po stronie kierowcy i wychyliła się.

–Potrzebujesz zasilania? – zawołała.

–Jeszcze nie. – Wskaźnik pokazywał 0,04. – Dopiero w kosmoporcie. Obróciła pojazd w miejscu i włączyła się do ruchu, wymuszając pierwszeństwo na

kierowanej przez autopilota furgonetce dostawczej, która wjechała prosto na ośnieżone pole. Wszystkie ręcznie sterowane pojazdy zjeżdżały na pobocze, najwyraźniej na przekazane drogą radiową polecenie policji. Ciekawe, że te na autopilocie reagowały na rozkaz z lekkim opóźnieniem.

Z pewnością oczyszczali drogę, żeby mnie dostać. Najszybciej jak mogłem pobiegłem za pojazdem Marygay, ale szybko znikł mi z oczu w białej dali.

Co mogli posłać w pościg za bojowym pancerzem? Wkrótce miałem się dowiedzieć.

Kiedy znalazłem się w pobliżu kosmoportu, za kurtyną wirujących płatków śniegu ujrzałem jaskrawoniebieskie światło migacza. Latacz ochrony zablokował autobusowi wjazd na kosmodrom. Dwaj funkcjonariusze, najwyraźniej nie uzbrojeni, stali przy pojeździe od strony kierowcy, wrzeszcząc na Marygay. Spoglądała na nich z miłym uśmiechem i nawet nie mrugnęła, kiedy przemknąłem za ich plecami.

Chwyciłem za zderzak ich latacza i niedbałym ruchem przewróciłem go na dach. Z rumorem wpadł do rowu melioracyjnego. Obaj funkcjonariusze – bardzo rozsądnie – uciekli, ile sił w nogach.

**Brak kontaktu radiowego utrudniał mi zadanie. Nachyliłem się do okienka autobusu.**

**–Zaparkuj przy głównym budynku. Tam się podładuję.**

**Obiecała, że to zrobi, i odjechała. Zasilanie spadło do 0,01 i wyświetlacze zaczęły migotać czerwonymi diodami. To dopiero by było, gdybym utknął kilkaset metrów od celu. No cóż, zawsze mógłbym ręcznie otworzyć pancierz. I pobiec nago przez śnieg.**



Gdy tylko zacząłem iść, pancerz do migotania lampek dodał miarowe popiskiwanie – co zapewne miało być udogodnieniem dla niewidomych. Nogi zaczęły stawiać opór. Miałem wrażenie, że brodzę w wodzie, a potem w gęstniejącym błocie.

Udało mi się dotrzeć do latacza, zanim wszyscy z niego wysiedli. Max stał przy drzwiach. Splótł ręce na piersiach, odsłaniając tkwiący za pasem pistolet.

Otworzyłem klapę przy tylnych drzwiach i podłączyłem przewody awaryjnego ładowania do gniazd zasilania pojazdu, po czym przeczytałem instrukcję na brudnej tabliczce umieszczonej obok. Potem nacisnąłem przycisk „szybkie rozładowanie” i patrzyłem, jak zmieniają się cyfry na moim wyświetlaczu, wskazując coraz wyższą wartość.

Pokazały 0,24, kiedy usłyszałem głuchy warkot hamującego latacza i przekonałem się, co mogli wysłać w pościg za bojowym pancerzem.

Dwa inne pancerze. Jeden ziemski, a drugi taurański.

Gdyby były uzbrojone, stałbym się łatwym celem. Każdy z nich mógł w mgnieniu oka zmienić mnie w obłok pary albo posiekać na plasterki. Jednak nie mogli, lub nie chcieli strzelać.

Latacz zakołysał się, gdy wyskoczył z niego Człowiek, który powtórzył mój numer z muzeum – padając na twarz. Powstrzymałem chęć przypomnienia mu, że nawet najdłuższa podróż zaczyna się od jednego kroku.

Taurański pancerz w lataczu zamachał rękami, usiłując utrzymać równowagę, ale nie zdołał i runął na wznak. Najwidoczniej żaden z nich nie ćwiczył obsługi skafandra, co najmniej równie długo jak ja. Tak więc te setki godzin, które spędziłem w nim podczas manewrów i walk, chociaż teraz ginące w mrokach przeszłości, mogą okazać się więcej warte niż liczebna przewaga, jaką mieli przeciwnicy.

Człowiek podniósł się na kolana. Niezdarnym susem pokonałem dzielącą nas przestrzeń i z półobrotu kopnąłem go w głowę. Zapewne nie wyrządziłem mu żadnej krzywdy, ale przynajmniej potoczył się po ziemi.

Chwyciłem przedni zderzak latacza i układy wspomagające mojego pancerza zaskowyczały piskliwie, gdy obróciłem ciężki pojazd w powietrzu, zamierzając uderzyć nim Taurańczyka. Ten zdołał uskoczyć, a ja zatoczyłem się i upadłem. Latacz odleciał, brzęcząc jak rozzłoszczony owad.

Taurańczyk rzucił się na mnie, ale odepchnąłem go kopniakiem. Usiłowałem

**przypomnieć sobie wszystko, co wiedziałem o taurańskich bojowych pancerzach, jakąś ich wadę, którą mógłbym wykorzystać. Jednak pamięć podsuwała mi tylko zakurzone dane komputerowe o systemach uzbrojenia, zasięgu i szybkości reakcji, które niestety były teraz zupełnie nieprzydatne.**

**Człowiek rzucił się na mnie, z impetem spadając na moje plecy, jak jakiś otyły kolega w piaskownicy. Próbował złapać za mój hełm, ale odtrąciłem jego rękę. Niegłupio to wymyślił – wprawdzie mózg pancerza nie znajdował się w hełmie, lecz mieściły się**

tam systemy postrzegania i słuchu. Niezgrabnie odepchnąłem go od siebie. Wskaźniki systemów mojego uzbrojenia pozostawały ciemne, lecz mimo to spróbowałem wycelować w niego laserowy palec. Kiedy nie trysnął z niego strumień światła i nie przeciął jego pancerza, poczułem dziwną ulgę. Mój słabo rozwinięty instynkt zabójcy wcale nie rozwinął się z wiekiem.

Kiedy rozglądałem się wokół, szukając w śniegu czegoś, co mógłbym wykorzystać jako broń, Taurańczyk znalazł ją: walnął mnie w plecy wyrwanym z ziemi słupem oświetleniowym. Padłem i zaryłem się w śnieżną zaspę. Kiedy chwiejnie podnosiłem się, tłukł mnie po ramionach i rękach.

Wizjer miałem na pół zalepiony śniegiem, ale widziałem dostatecznie dobrze, żeby wymierzyć mu kopniaka między nogi, co było bardziej antropomorficzne niż praktyczne, ale na chwilę pozbawiło go równowagi. To wystarczyło, żebym chwycił słup oświetleniowy i wyrwał mu go z rąk. Kątem oka zauważyłem nadbiegającego Człowieka. Zawinąłem słupem i trafiłem go w nogi na wysokości kolan. Odleciał w bok i z impetem runął na ziemię.

Ponownie odwróciłem się do Taurańczyka, ale nie zobaczyłem go, co wcale nie oznaczało, że nie ma go w pobliżu. Wszyscy trzej przybraliśmy ochronny biały kolor i z odległości pięćdziesięciu metrów byliśmy niewidoczni w sypiącym śniegu. Językiem przełączyłem się na podczerwień, która mogłaby go ukazać, gdyby odwrócił się do mnie plecami, gdzie znajdowały się wymienniki ciepła. Nie wykryłem go ani podczerwienią, ani radarem, który i tak zadziałałby tylko wtedy, gdyby pancerz poruszał się przed jakąś odbijającą fale powierzchnią.

Obróciłem się i zobaczyłem, że Człowiek wciąż leży i nie rusza się. Może udawał, a może naprawdę stracił przytomność, kiedy podciąłem mu nogi. Miękka wyściółka hełmu chroni głowę, ale runął z impetem, być może wystarczającym, by doznać wstrząsu mózgu. Udałem, że chcę kopnąć go w głowę, lecz choć mój but przeleciał o włos od jego nosa, Człowiek nie zareagował.

Do diabła, gdzie podział się Taurańczyk? Nigdzie nie było po nim śladu. Pochyliłem się, chcąc podnieść Człowieka, gdy od strony kosmoportu usłyszałem kobiecy krzyk, stłumiony przez zasłonę śniegu, a potem dwa strzały.

Pobiegłem tam, ale przybyłem za późno. Latacz szybko wznosił się, odlatując stromym torem od rozbitego wejścia. Obok drzwi stał Max, z pistoletem wycelowanym w kierunku pojazdu. Podskoczyłem, wyciskając wszystko z układu wspomagania, i uniosłem się na jakieś dwadzieścia metrów w powietrze. Niewiele brakowało, a złapałbym odlatujący pojazd. Z łoskotem spadłem na ziemię, aż

**zadzwońiło mi w uszach i zaboląły mnie kostki nóg.**

**–Dostał Jynn – rzekł Max. – Wpadł przez szybę i złapał ją oraz Robertę.**

**Roberta siedziała w śniegu, ściskając dłonią łokieć drugiej ręki.**

**–Jesteś ranna?**

**Skrzywili się. Uświadomiłem sobie, że bezwiednie wzmocniłem dźwięk. Ściszyłem go.**

**–Cholera, o mało nie wyrwał mi ręki. Nic mi nie jest.**

**–Gdzie pozostali?**

**–Rozdzieliliśmy się – odparł Max. – Marygay pojechała autobusem do promu. My zostaliśmy tutaj z pistoletem, żeby odwrócić ich uwagę.**

**–Udało się wam. – Zastanowiłem się. – Tutaj nic więcej nie możemy zrobić. Dogońmy autobus.**

**Chwyciłem Robertę, a potem Maxa, po czym wypadłem na płytę lądowiska, niosąc ich jak paczki. Nie widziałem autobusu, ale pozostawił wyraźny ślad w śniegu. Nie minęła minuta, a dogoniliśmy ich i moi pasażerowie z wyraźną ulgą zmienili środek lokomocji.**

**Nigdzie nie było śladu po lataczu z Taurańczykiem i Jynn. Słyszałbym go, gdyby znajdował się w odległości paru klików.**

**W autobusie było tłoczno. Zobaczyłem dwie osoby, których nie poznałem, oraz czterech osobników Człowieka – najwyraźniej nasz komitet powitalny.**

**–Złapali Jynn – powiedziałem Marygay. – Taurańczycy odlecieli z nią lataczem. Pokręciła głową.**

**–Jynn? Były bardzo zaprzyjaźnione.**

**–Nie zrobią jej krzywdy – powiedział Max. – Ruszajmy.**

**–Racja – przytaknęła, ale nie ruszyła pojazdu z miejsca.**

**–Spotkamy się przy promie – poinformowałem. Byłem za duży i za ciężki, żeby jechać autobusem.**

**–Będę czekać – obiecała cicho i nacisnęła guzik zamykający drzwi.**

**Autobus ruszył naprzód, a ja pobiegłem za nim w kierunku wyrzutni promu ko**

smicznego.

**Wcisnąłem guzik przy drzwiach windy, a one otworzyły się, ukazując przytulne wnętrze oświetlone żółtym światłem. Dopiero wtedy otworzyłem pancerz i ostrożnie wyszedłem na śnieg. Kieszeń z przodu opierała się moim wysiłkom, ale złamawszy jeden paznokieć, zdołałem wyjąć ubranie i pospiesznie schroniłem się w kabinie windy.**

**Autobus zatrzymał się przy moim pustym pancerzu, a ja poganiałem ich w duchu, nie wiedząc, ile mamy czasu, zanim ktoś wyłączy dopływ prądu i unieruchomi nas w windzie. Prom miał własne zasilanie, ale musieliśmy się do niego dostać.**

**Marygay straciła cztery cenne sekundy na tłumaczenie czterem osobnikom Człowieka i dwojgu ludziom, że powinni wynieść się stąd i schować w schronie, co zapewne wiedzieli. Wyrzutnia promy wyłapie promieniowanie gamma wyemitowane w pierwszych sekundach startu, ale potem mądrzej byłoby nie pozostawać w pobliżu. Roberta trzymała palec na guziku i wcisnęła go, gdy tylko Marygay wbiegła do kabiny.**

Nikt nie wyłączył zasilania. Winda śmignęła w górę i z cichym szczękiem zatrzymała się przed śluzą powietrzną, której irysowe drzwi natychmiast się otworzyły.

Z trudem usadowiliśmy się w środku, walcząc z siłą ciężenia. Zeszliśmy po rozpiętej siatce i wypełniliśmy całą kabinę. Wcześniej rozkuliśmy ręce i nogi szeryfowi, który bez oporu pozwolił ponownie się skuć, kiedy zapięliśmy mu pasy.

Usiadłem na fotelu pilota i zacząłem manipulować przełącznikami, przygotowując prom do startu. Nie była to skomplikowana czynność, gdyż procedury przewidywały tylko cztery standardowe orbity. Wybrałem „spotkanie z»Time Warp«” i musiałem zaufać układowi pilotującemu statku.

Ekran ożył i pojawiła się na nim Jynn. Kamera pokazała szersze ujęcie i zobaczyliśmy, że Jynn znajduje się w lataczu, obok Taurańczyka.

Ten wskazał okno obok niej. Przez kurtynę śniegu ledwie było widać bliźniacze wieże wyrzutni.

–Bardzo proszę – rzekł. – Dziesięć sekund po waszym starcie promieniowanie zabije tę kobietę i mnie.

–Zróbcie to – powiedziała Jynn. – Startujcie.

–Nie sądzę, żebyście to zrobili – stwierdził Taurańczyk. – To byłoby nieludzkie. Morderstwo z zimną krwią.

Marygay siedziała obok mnie, w fotelu drugiego pilota.

–Jynn... – zaczęła.

–Nie macie innego wyjścia – rzekła spokojnie Jynn. – Jeśli ma się wam udać, musicie pokazać... do czego jesteście zdolni.

Spojrzeliliśmy po sobie, zmrożeni.

–Róbcie co mówi – szepnął Max.

Nagle Jynn uderzyła łokciem w gardło Taurańczyka. Ręce miała skute metalowymi kajdankami. Zarzuciła mu je na szyję i gwałtownie szarpnęła w bok. Rozległ się głośny trzask.

Położyła bezwładne ciało na swoich kolanach i sięgnęła w bok, do sterów latacza.

**Zawył silnik i obraz zaczął skakać.**

**–Dajcie mi trzydzieści sekund! – przekrzyczała wycie maszyny. – Nie, za dwa  
dzieścia będę już za głównym budynkiem. Wynoście się stąd!**

**–Chodź tutaj! – wrzasnęła Marygay. – Zaczekamy!**

**Może nie słyszała. W każdym razie Jynn nie odpowiedziała i znikła z ekranu. Na jej  
miejscu pojawił się spokojny Człowiek w szarej tunice.**

**–Jeśli spróbujecie wystartować, zestrzelimy was. Szkoda waszego życia i promu.**

**–Nawet gdybyście mieli czym – odparłem – i tak pewnie nie moglibyście tego  
zrobić. – Spojrzałem na zegarek. Dam jej całe trzydzieści sekund. – Nie macie tu ra  
kiet balistycznych ani żadnej innej broni przeciwlotniczej.**



–Mamy je na orbicie – rzekł. – Wszyscy zginiecie.

–Gówno prawda – warknąłem i obejrzałem się na pozostałych. – On blefuje. Chce zyskać na czasie. Po był szary jak popiół.

–Nawet jeśli nie, to zaszliśmy za daleko. Zróbmy to.

–Racja – poparła go Teresa. – Co ma być, to będzie. Trzydzieści sekund.

–Trzymajcie się. Wcisnąłem przycisk „start”. Rozległ się potworny ryk i siła ciężenia wzrosła od jednego do trzech g w krótkim

czasie, którego prom potrzebował do puszczenia wyrzutni. Śnieg smugami uciekał w przednim wizjerze i nagle znikł, zastąpiony blaskiem słońca.

Prom zmierzał na pozycję z której miał wejść na orbitę. Gęste burzowe chmury pozostawały w tyle. Niebo pociemniało, zmieniając kolor z kobaltowego na indygo.

Wiedziałem, że mogą mieć rakiety na orbicie. Nawet jeśli była to antyczna broń z czasów Wiecznej Wojny, mogła wykonać zadanie. Jednak nie miałem na to żadnego wpływu. Nie mogłem robić uników, kontratakować, czy choćby negocjować. Ogarnął mnie dziwny, niewytłumaczalny spokój, jakiego kiedyś zaznawałem podczas walki: może pożyję jeszcze tylko kilka sekund, ale co ma być, to będzie. Ostrożnie obróciłem głowę, walcząc z przeciążeniem, i zobaczyłem wymuszony półuśmiech na ustach Mary-gay. Ona czuła to samo.

Potem niebo stało się czarne i wciąż byliśmy żywi. Ryk przycichł, a później zapadła cisza. Zawisiliśmy w przestrzeni.

Spojrzałem na pozostałych.

–Wszyscy cali?

Ostrożnie przytaknęli, chociaż niektórzy z nich wyglądali dość kiepsko. Środki przeciw chorobie lokomocyjnej działają na większość ludzi, lecz podróż w kosmos nie była jedynym stresem, na jaki byli narażeni.

Patrzyliśmy jak „Time Warp” zmienia się z najjaśniejszej gwiazdy, przez jasną iskrę, w wyraźny kształt, który powoli rósł, aż zajął cały ekran. Tę część naszej podróży zakończył prawie ludzki głos, który powiedział mi, że kontrolę nad statkiem przekaże mi za dziesięć sekund... dziewięć... i tak dalej.

Właściwie przekazał mi nie tyle kontrolę, ile odpowiedzialność, gdyż radar promu

wciąż kontrolował szybkość zbliżania się do doku. Prawą dłoń zaciskałem na dźwigni przełącznika. Gdyby coś poszło nie tak, pociągnąłbym za nią i statek wykonałby ostatnią serię manewrów w odwrotnej kolejności.

Śluzy powietrzne spotkały się z krzepiącym szczękiem i poczułem ucisk w uszach, gdy ciśnienie w kabinie spadło do poziomu tej rzadkiej, lecz bogatej w tlen mieszaniny, która wypełniała wnętrze „Time Warp”.

–Faza druga – oznajmiłem. – Zobaczymy, czy się uda.

–Myślę, że się uda – powiedział szeryf. – Najtrudniejsze już za wami. Spojrzałem na niego.

–Nie mogliście nic wiedzieć o naszych planach. To niemożliwe.

–Oczywiście.

–Po prostu znacie nas tak dobrze – i jesteście tak mądrzy – że dokładnie przewidzieliście, co zrobimy.

–Nie ująłbym tego w ten sposób. Jednak owszem, powiedziano mi, że powinienem spodziewać się buntu, być może połączonego z aktami przemocy. Zalecono mi nie stawiać oporu.

–I co dalej? Co teraz zrobimy?

–To dla mnie zagadka. Mogę tylko zgadywać. Poproszono mnie, żebym nie łączył się z Całym Drzewem i nie dowiedział się za wiele.

–Jednak inni wiedzą. Albo tak im się zdaje.

–Już powiedziałem zbyt wiele. Po prostu róbcie swoje. Może wkrótce się dowiecie.

–Może zaraz sam czegoś się dowiesz – warknął Max.

–Do roboty – powiedziała Marygay. – Cokolwiek szykują i cokolwiek wiedzą, nie zmienia to naszego planu.

–Mylisz się – rzekł Max. – Moglibyśmy dowiedzieć się wszystkiego od tego drania. Nic nie stracimy, jeśli go przyciśniemy.

–I niczego nie zyskacie – odparł szeryf. – Powiedziałem wam wszystko, co wiem.

–Sprawdźmy – radziła Roberta. – Max ma rację. Niczego nie tracimy.

–Przeciwnie, możemy wiele stracić – oznajmiłem. – Mówicie jak mój stary sierżant musztry. Chcemy negocjować, nie walczyć.

–Grozili, że nas zabiją – rzekł Po. – Jeśli to nie jest wojna, to niewiele się od niej

różni.

**Marygay przyszła mi z pomocą.**

**–Zrobimy to w ostateczności. Sądzę, że na razie więcej zyskaliśmy, nie grożąc mu i nie robiąc żadnej krzywdy.**

**–Tylko bijąc go i wiążąc – dopowiedziała Roberta.**

**–Jeśli będziemy zmuszeni wycisnąć z niego jakieś informacje – nalegała Mary-gay – zrobimy to. Teraz powinniśmy działać, nie dyskutować. – Potarła dłonią czoło. – Ponadto, oni też pewnie mają zakładniczkę. Jynn nie mogła daleko uciec tym lataczem.**

**–Jynn zabiła jednego z nich – przypomniał Max. – Już po niej.**

**–Zamknij się, Max.**

**–Jeśli żyje, to straciliśmy przewagę.**

**–Zamknij się.**

**–Wy głupie lesby – warknął Max – zawsze...**

**–Moja żona nie jest głupią lesbijką. – Staralem się nie podnosić głosu. – A kiedy przejdziemy przez te drzwi, będzie twoim dowódcą.**

**–To mi nie przeszkadza. Mam za sobą długą służbę i nigdy nie widziałem dowódcy hetero. Jeśli jednak uważasz ją za hetero, to jesteś ślepy jak kret.**

**–Max – spokojnie odezwała się Marygay – w głębi duszy byłam hetero i homo, a także neutralna, tak jak teraz. Tym statkiem dowodzi William, a ty okazujesz brak subordynacji.**

**–Masz rację – odparł beznamiętnie. A do mnie rzekł: – Straciłem głowę i przepraszam. Zbyt wiele się wydarzyło i za szybko. Byłem żołnierzem jeszcze zanim urodziły się moje dzieci.**

**–Nie ma sprawy – powiedziałem i nie rozwijałem tego tematu. – Ruszajmy.**

**Spodziewaliśmy się, że po drugiej stronie śluzy będzie ciemno i chłodno, ponieważ pozostawiliśmy statek w trybie maksymalnej oszczędności energii. Tymczasem sztuczne słońce świeciło jasno, a powietrze było ciepłe i nasycone zapachem roślin.**

**A na podeście czekał na nas Taurańczyk, nie uzbrojony. Wykonał powitalny gest, obejmując się rękami.**

**–Znacie mnie – zaczął. – Jestem Antres 906. Czy ty nimi dowodzisz, Williamie Mandella?**

**Spojrzałem na zielone pola uprawne za jego plecami.**

**–Co to ma znaczyć, do licha?**

**–Teraz rozmawiam tylko z dowódcą. Jesteś nim?**

**–Nie. – Położyłem dłoń na ramieniu Marygay. Ona też wytrzeszczała oczy, zdumiona. – Moja żona.**

**–Marygay Potter. Chodź ze mną do sterowni.**

**–Są gotowi do lotu – powiedział Max za moimi plecami. – Prosto na Ziemię.**

**Mówili nam, że przez kilka tygodni będziemy zajmowali się poletkami uprawnymi, zanim zostaniemy poddani hibernacji. Wyglądało na to, że mamy udać się prosto do pojemników.**

**–Ilu was tu jest, Antresie? – spytała Marygay.**

**–Nikogo poza mną.**

**–Do tej pracy potrzeba było wielu ludzi.**

**–Chodźcie ze mną. Poszła za Antresem do windy, a ja za nimi. Oboje walczyliśmy z siatkami drabinek.**

**Antres dobrze sobie z nimi radził, ale poruszał się bardzo wolno.**

**Dotarliśmy na pokład dowodzenia, a potem do sterowni. Centralny ekran był włączony i ukazywał starego Człowieka, być może tego, z którym rozmawialiśmy w Cen-trusie.**

Marygay usadowiła się na fotelu kapitana i zapięła pasy.

–Czy są jeszcze jakieś ofary? – zapytał bez żadnych wstępów.

–Zamierzałam zapytać o to samo. Jynn Silver?

–To ta, która zabiła jednego z nas.

–Taurańczyk nie jest „jednym z nas”, jeśli jesteś człowiekiem. Czy ona żyje?

–Żyje i jest aresztowana. Myślę, że domyślamy się, na czym polega wasz plan. Może zechcielibyście go nam teraz wyjawić?

Marygay spojrzała na mnie. Wzruszyłem ramionami. Odpowiedziała powoli i spokojnie:

–Zgodnie z naszym planem ten statek nie poleci na Ziemię. Żądamy zezwolenia na wykorzystanie „Time Warp” do realizacji pierwotnie zaplanowanego zadania.

–Nie zdołacie tego dokonać bez naszej współpracy. Potrzeba czterdziestu kursów promu. Co zrobicie, jeżeli odmówię?

Przełknęła ślinę.

–Odeślemy wszystkich z powrotem promem kosmicznym. Potem razem z mężem polecimy „Time Warp”, kierując statek w planetę. Rozbijemy się w pobliżu bieguna południowego.

–A więc uważacie, że prędzej damy wam statek niż pozwolimy popełnić samobójstwo?

–Cóż, dla was to również nie będzie przyjemne. Kiedy zbiorniki z antymaterią eksplodują, powstanie obłok pary, który spowije całą Middle Finger warstwą chmur. Nie będzie wiosny i lata, ani tego roku, ani następnego.

–A po trzech latach – dodałem zza jej pleców – zaczną się śnieżyce i powodzie.

–Nie możemy do tego dopuścić – powiedział. – A więc dobrze. Przystajemy na wasze żądania.

Popatrzyliśmy po sobie.

–Tak po prostu?

**–Nie daliście nam wyboru. – Zapaliły się dwa ekrany informacyjne. – Procedury przedstartowe, które tutaj widzicie, zostały opracowane na podstawie waszego harmonogramu.**

**–A więc wszystko przebiega zgodnie z planem – powiedziała Marygay. – Waszym planem.**

**–Przygotowaliśmy się – odparł – na wypadek, gdybyście nie pozostawili nam innego wyjścia.**

**Roześmiała się. – Nie mogliście tak po prostu pozwolić nam odlecieć.**

**–Oczywiście, że nie. Całe Drzewo zabroniło nam tego.**

**–Zaczekaj – przerwałem. – Postępujecie wbrew woli Całego Drzewa?**



–Bynajmniej. To wy łamiecie jego zakaz. My tylko podejmujemy rozsądne decyzje w odpowiedzi na wasze żądania. Usiłujemy zapobiec masowemu morderstwu, jakim nam grozicie.

–I Całe Drzewo przewidziało, że tak się stanie?

–Och nie. – Po raz pierwszy pozwolił sobie na nikły uśmieszek. – Człowiek na Ziemi nie zna was tak dobrze jak my, którzy wyrosliśmy obok was.

Szeryf usiłował wyjaśnić nam wszystko co wiedział, lub wydedukował o tym, w jaki sposób uzasadniali swoje postępowanie. Dla mnie brzmiało to jak teologiczne wywody jakiejś obcej mi religii.

–Całe Drzewo nie jest nieomyślne – oznajmił. – Reprezentuje punkt widzenia ogromnego i dobrze poinformowanego społeczeństwa. Jednakże tym razem było... tak

jakby głosowało tysiąc osób, z których tylko dwie lub trzy były naprawdę dobrze poinformowane.

Siedzieliśmy przy wielkim stole w jadalni, pijąc kiepską herbatę z koncentratu.

–Właśnie tego nie rozumiem – powiedział Charlie. – Mam wrażenie, że to zdarza, się dość często.

Podpierając brodę dłonią, siedział naprzeciw szeryfa, uważnie mu się przyglądając.

–Nie, to był szczególny przypadek. – Szeryf wiercił się niespokojnie. – Człowiek na Ziemi myśli, że zna ludzi. W końcu wielu z nich tam mieszka i pracuje. Jednak tamci nie są tacy jak wy. Oni lub ich przodkowie dobrowolnie przybyli na Ziemię, chociaż w ten sposób zostali członkami mniejszości, żyjącej na uboczu głównego nurtu cywilizacji.

–Sprzedali niezależność za wygodę – stwierdziłem. – Złudzenie niezależności.

–To nie jest takie proste. Żyją wygodniej niż wy, czy my, ale ważniejsze jest to, że bardzo pragnęli wrócić do domu. Ludzie mieszkający na Middle Finger zrezygnowali z powrotu do ojczyzny. Tak więc kiedy Człowiek na Ziemi myśli o ludziach, widzi zupełnie odmienny obraz. Gdybyście wzięli stu pięćdziesięciu ludzi z Ziemi i

wystrzelili ich w odległą o czterdzieści tysięcy lat przyszłość... byłoby to okrutne. Jak porwanie dziecka rodzicom i pozostawienie go w jakiejś obcej krainie.

–A to dobre – rzekł Charlie. – Całe Drzewo podjęło decyzję, kierując się troską o nasze szczęście.

–Troską o wasze zdrowe zmysły – poprawił szeryf.

–Ogromny koszt tego przedsięwzięcia nie był istotną przeszkodą.

–Najmniej istotną. – Szeryf zatoczył ręką szeroki łuk, wskazując wszystko dokoła. – Dla naszej niewielkiej społeczności ten statek stanowi ogromne bogactwo. Jednak na Ziemi nie ma wielkiej wartości. Tysiące takich jednostek krąży na orbicie wokół słońca. Koszt tego projektu nie wzbudziłby żadnych emocji, gdyby wystąpili z nim ludzie z Ziemi.

–Jednak oni nigdy tego nie zrobią – dodałem. – Są domatorami. Wzruszył ramionami.

–Ilu mieszkańców Middle Finger uważa was za szaleńców?

–Sądzę, że ponad połowa. – Zgłosiło się tylko tysiąc sześciuset ochotników z trzydziestu tysięcy ludzi. – A przynajmniej tak uważa młodsza część mojej rodziny.

Powoli pokiwał głową.

–A jednak mieli lecieć z wami?

–Szczególnie Bill, chociaż uważa, że jesteśmy szaleni.

–Rozumiem go – rzekł. – Ja także.

–Co takiego?

–Prosiliśmy, żebyście zabrali Człowieka i Taurańczyka. Ten ostatni odezwał się po raz pierwszy:

–To my nimi jesteśmy – warknął.

[Księga trzecia](#)

## KSIĘGA WYJŚCIA

### 13

Harmonogram wymagał piętnastu dni na transport ludzi i zapasów, ale zakładał, że wszyscy czekają na walizkach. Tymczasem ludzie mieli już dwa tygodnie na zmianę planów, sądząc, że ekspedycja nigdy nie odleci.

Straciliśmy dwanaście osób z początkowych stu pięćdziesięciu. Zastąpienie ich nie było takie proste, gdyż zostali wybrani pod kątem stworzenia odpowiedniej mieszanki demograficznej oraz rozmaitych umiejętności.

Za czterdzieści tysięcy lat być może wrócimy na bezludną planetę. Chcieliśmy, żeby nasi potomkowie mieli szansę stworzenia tu cywilizacji.

Nie mieliśmy zbyt dużej swobody manewru, gdyż nie mogliśmy wydłużyć okresu

**przygotowań, żeby znaleźć zmienników. Wiadomość o naszym buncie z pewnością została wysłana na Ziemię i za dziesięć miesięcy mogliśmy oczekiwać jakiejś reakcji. Jeśli mieli do dyspozycji tysiące okrętów, kilka z nich mogło rozwijać większą prędkość niż „Time Warp” – być może znacznie większą.**

**Sto pięćdziesiąt osób to odpowiednia liczba, aby stworzyć demokratyczne rządy typu małego miasteczka. Już kilka miesięcy wcześniej opracowaliśmy struktury władzy. Będziemy wybierać pięcioosobową Radę, której członkowie kolejno przez rok będą sprawować funkcję burmistrza, po czym ustępować miejsca następnym wybranym kandydatom.**

**Pracowaliśmy najszybciej jak mogliśmy, nie robiąc niepotrzebnych oszczędności. Na szczęście żaden z pięciu wybranych kandydatów nie należał do tych, którzy postanowili zostać, więc nasza niewielka administracja pozostała nietknięta. Chyba podczas tych kilku tygodni musieliśmy podjąć więcej decyzji, niż podczas następnych dwóch lat na pokładzie statku.**

**Ponieważ był to przede wszystkim statek, a nie miasteczko, kapitan statku miał większą władzę od burmistrza i Rady. Na stanowisko kapitana zgłoszono Marygay i mnie, a także Anitę Szydhowską, która brała ze mną udział w kampanii na Sade-138. Anita zrzekła się tego zaszczytu na naszą rzecz, a ja zrezygnowałem na rzecz Marygay. Nikt się**

nie sprzeciwił. Anita i ja zostaliśmy wybrani do Rady. Oprócz nas weszli do niej Chan-ce Delany, Stephen Funk i Sage Ten. Diana Alsever-Moore również została nominowana, ale odmówiła, twierdząc, że jako jedyny lekarz na statku nie będzie miała czasu na takie zabawy.

Wystarczyło dwadzieścia dni, żeby wszyscy znaleźli się na pokładzie. Zastanawiałem się, czy ktoś oprócz mnie, patrząc na odlatujące po raz ostatni promy, widzi obraz – staroświecki już w czasach mojej młodości – wielkiego statku podnoszącego kotwicę i wypływającego z bezpiecznego portu.

Na pokładzie ostatniego promu miały przylecieć nasze dzieci. Jednego brakowało. Sara przypląnęła do nas w powietrzu i bez słowa wręczyła mi kartkę papieru.

*Kocham Was, ale nigdy nie zamierzałem z Wami lecieć. Sara namówiła mnie, abym udawał, że się zgadzam, gdyż w ten sposób nie traciliśmy czasu na spory. To było nieuczciwe, ale sądzą, że tak było najlepiej.*

*Jestem gdzieś w Centrusie. Nie próbujcie mnie szukać.*

*Gdybym był niełojalny, mogłem przekreślić wszystkie Wasze plany tego dnia, kiedy podwoziłem Was do szeryfa. Myślę jednak, że wszyscy mamy prawo do własnych szaleństw.*

*Bawcie się dobrze przez 40 000 lat.*

*Kochający Bill*

Krew odpłynęła z twarzy Marygay. Podałem jej kartkę, ale oczywiście już wiedziała, co na niej jest.

Czułem żal, a jednocześnie dziwną ulgę. I nie byłem specjalnie zdziwiony. Chyba podświadomie przeczuwałem, że coś takiego się zdarzy. Może Marygay też się domyślała. Przez chwilę spoglądała na kartkę, a potem wsunęła ją pod inne w swoim notatniku, odkaszlnęła i tylko odrobinę drżącym głosem przemówiła do nowo przybyłych:

–Oto przydzielone wam kwatery. Możecie się zamieniać. Na razie jednak wstawcie tam bagaże i wróćcie do auli. Czy ktoś cierpi na chorobę lokomocyjną?

Jeden potężny mężczyzna zdradzał wyraźne objawy: był zielony na twarzy. Podniósł rękę.

**–Zaprowadzę cię do lekarza – powiedziałem. – Ma na to coś lepszego niż tabletki.**

**Prawie dotarł do izby chorych, zanim zwymiotował.**

**Mieliśmy dziesięć kanałów łączności i Marygay przydzieliła każdemu po dziesięć minut na pożegnania. Mało kto wykorzystał ten limit do końca. Już po upływie godziny wszyscy byli w auli, patrząc na wielki płaski ekran, ukazujący Marygay w fotelu kapitana. Każdy ze stu czterdziestu ośmiu obecnych postarał się zająć „leżącą” pozycję na „podłodze” przed ekranem.**

Marygay spoglądała z niego na nas, trzymając palec na czerwonym przycisku konsoli.

–Wszyscy gotowi?

Rozległo się chóralne „tak” i w takim zupełnie nie wojskowym stylu rozpoczęła się nasza podróż. (Zastanawiałem się, ilu z nas wiedziało lub podejrzewało, że ten czerwony guzik był tylko atrapą. Taki żart inżyniera. Statek sam ruszył w drogę i zrobił to z dokładnością do jednej milionowej sekundy).

Powoli zaczęliśmy odczuwać skutki przyspieszenia. Unosiłem się pół metra nad pokładem i najpierw łagodnie opadłem, a potem w ciągu dziesięciu czy dwunastu sekund moje ciało odzyskało ciężar. Słysząc było cichy szum, który miał nam towarzyszyć przez następnych dziesięć lat: niewielki ślad niewyobrażalnej siły, która wypychała nas z galaktyki.

Wstałem i zaraz upadłem, tak jak wiele innych osób, po wielu dniach lub tygodniach w stanie nieważkości. Sara wzięła mnie pod rękę i wzajemnie pomogliśmy sobie wstać, ze śmiechem tworząc chwiejny trójkąt, którego podstawą była podłoga, by po chwili stanąć w prawie wyprostowanej pozycji. Ostrożnie usiadłem na podłodze i znowu wstałem, mimo protestu mięśni i stawów.

Prawie setka ludzi ostrożnie kręciła się po sali, spoglądając pod nogi. Pozostali siedzieli lub leżeli. Niektórzy zdradzali objawy niepokoju, a nawet lęku.

Uprzedzono ich, czego mogą oczekiwać, że z początku nawet oddychanie może sprawiać im trudności. Ci z nas, którzy w ciągu minionych miesięcy kilkakrotnie przebywali trasę między statkiem a planetą, byli do tego przyzwyczajeni. Jednak słuchać o takich odczuciach a doświadczać ich osobiście, to dwie zupełnie różne sprawy.

Marygay włączyła obraz planety. Ta z początku tylko obracała się pod nami, z kilkoma białymi chmurkami nad usianą czarnymi cętkami powierzchnią. Ludzie wymieniali uwagi lub pojękiwali. Po kilku minutach wszyscy umilkli, gdy wyraźnie można było dostrzec, jak szybko się oddalamy. Ludzie siedzieli i w cichej zadumie spoglądali na ekran, jak zahipnotyzowani.

Pojawiła się jedna krzywa krawędź, a potem – na drugim końcu ekranu – druga. Centymetr po centymetrze przesuwali się ku sobie, aż po piętnastu czy dwudziestu minutach planeta zmieniła się w wielką, powoli malejącą kulę.

**Marygay zeszła po schodach i usiadła obok mnie.**

**–Żegnaj, żegnaj – szepnęła, a ja powtórzyłem jej słowa. Myślę jednak, że przede wszystkim żegnała się z naszym synem. Ja żegnałem się z planetą i z czasem.**

**Kiedy Middle Finger znikła w oddali, poczułem dziwne uniesienie, zrodzone z wiedzy i matematyki. Wiedziałem, że minie miesiąc – 34,7 dnia – zanim osiągniemy prędkość równą jednej dziesiątej prędkości światła i wkroczymy do relatywistycznego królestwa. I dopiero po miesiącu można będzie dostrzec skutki tego faktu, patrząc**



na gwiazdy. Jednak tak naprawdę już tam byliśmy. Ogromna siła sprawiająca, że pokład statku wydawał się podłogą, już zakrzywiła przestrzeń i czas. Nasze umysły i ciała nie były dostatecznie subtelne, aby to wyczuć. Mimo to przyspieszenie powoli odciągało nas od pospolitego złudzenia, które nazywaliśmy rzeczywistością.

Większość materii i energii we wszechświecie zamieszkuje królestwo relatywizmu, z powodu ogromnej masy lub prędkości. Wkrótce i my mieliśmy się tam znaleźć.

## 14

Przez kilka dni oglądaliśmy na środku ekranu obraz Middle Finger, która zmniejszyła się do punkciku, potem jasnej gwiazdy, aż wreszcie zginęła w gorącym blasku Miza-ra. Wkrótce nie musieliśmy nawet filtrować blasku Mizara, który stał się po prostu najjaśniejszą gwiazdą na niebie.

Ludzie zajęli się swoimi sprawami. Zdawali sobie sprawę z tego, że większość tych czynności była zbyteczna, gdyż statek w razie potrzeby mógł wszystkim zająć się sam. Ściśle monitorował nawet uprawy, tak ważne dla systemu podtrzymywania życia.

Czasem niepokoiła mnie świadomość faktu, że statek ma inteligencję i świadomość. Mógł bardzo uprościć sobie egzystencję, wyłączając system podtrzymywania życia.

Z kolei my mogliśmy narzucić mu naszą wolę. Wówczas stanowisko kapitana, teraz w znacznej części tytularne, stałoby się dla Marygay prawdziwym i ciężkim brzemieniem. „Time Warp” można było sterować ręcznie, ale byłoby to niezwykle zuchwałe przedsięwzięcie.

Piętnaścioro obecnych na pokładzie dzieci rzeczywiście potrzebowało rodziców i nauczycieli, co niektórym z nas dało prawdziwe zajęcie. Ja uczyłem fizyki i w moich danych osobowych wciąż miałem wpisane „ojciec”, chociaż przeważnie starałem się schodzić Sarze z drogi.

Wszyscy ci, którzy nie mieli dzieci, starali się czymś zająć. Większość, rzecz jasna, była zajęta tworzeniem i modyfikowaniem scenariuszy tego, co będziemy robić za czterdzieści tysięcy lat. Ja nie mogłem wykrzesać z siebie ani odrobiny entuzjazmu do takich rozważań. Wydawało mi się, że jedyną ewentualnością, którą warto wziąć pod uwagę jest wariant *tabula rasa* – kiedy wracamy i nie znajdujemy żadnego śladu ludzkości. W każdym innym przypadku nasze rozważania byłyby jak dyskusja neandertalczyków o lotach kosmicznych.

**(Szeryf był zwolennikiem scenariusza, według którego przez czterdzieści tysięcy lat niewiele się zmieni, oprócz rosnącej władzy Człowieka nad światem materialnym. Dlaczego Człowiek miałby się zmieniać? Natomiast ja bardziej skłaniałem się ku teorii,**

zgodnie z którą Człowiek, nie dopuszczając żadnych zmian, w wyniku działania praw entropii stacza się do poziomu zidiociałego dzikusa).

Kilka osób spisywało kronikę naszej podróży i łatwo mogłem sobie wyobrazić, że ci niecierpliwie czekali, aż wydarzy się jakieś nieszczęście. Brak wiadomości to zła wiadomość dla historyków. Inni studiowali stosunki społeczne w naszej małej grupce, co wydawało się sensowne. Socjologia unikatowej mikrospołeczności. Niektórzy komponowali lub pisali powieści, albo zajmowali się innymi dziedzinami sztuki. Casi już rzeźbił swoją kłodę, a drugiego dnia podróży Alysa Bertram oznajmiła, że szuka współtwórców sztuki, nad którą właśnie pracuje – aktorów, którzy wezmą udział w pracy nad scenariuszem. Sara zgłosiła się do niej jako jedna z pierwszych i została przyjęta. Namawiała mnie, żebym spróbował, ale wkuwanie na pamięć całych stron dialogów zawsze wydawało mi się otępiającą torturą.

Oczywiście, jako członkowi Rady nie brakowało mi zajęć. Teraz jednak, kiedy rozpoczęła się podróż, miałem znacznie mniej pracy.

„Grawitacja” sprawiła, że statek stał się zupełnie innym miejscem. Na orbicie pokłady były tylko irytującymi przeszkodami, które trzeba było omijać. O statku myślało się jak o płaszczyźnie rozciągającej się od dziobu po rufę, czymś w rodzaju dawnej nawodnej jednostki. Teraz jednak przód był skierowany w górę, a tył w dół. Po niecałej godzinie lotu Diana musiała zająć się pierwszym złamaniem, bo Ami – która przez kilka miesięcy przebywała w stanie nieważkości – zamiast zejść po schodach, spróbowała pokonać je w taki sposób, do jakiego się przyzwyczaiła.

Po tym zdarzeniu uświadomiłem sobie, że nie mamy nikogo, kto pełniłby funkcję inspektora BHP. Tak więc przydzieliłem sobie to zajęcie, jednak potrzebowałem asystenta z wykształceniem technicznym. Jedną z trzech posiadających odpowiednie kwalifikacje osób była Cat. Sądzę, że wybrałem ją dlatego, żeby nie wyglądało na to, iż jej unikam.

Nie chodzi o to, że jej nie lubiłem, ale w jej obecności zawsze czułem się nieswojo. Oczywiście, urodziła się – jeśli można tak powiedzieć – dziewięćset lat po mnie, w świecie, w którym heteroseksualizm był taką rzadkością, że większość ludzi nigdy nie miała z nim do czynienia. Jednak tak samo było z Charliem i Dianą, naszymi najlepszymi przyjaciółmi.

Chociaż niektórzy byli bardziej hetero od innych. Charlie miał przynajmniej jeden romans z facetem. Zastanawiałem się, jak było z Cat, która zostawiła na Middle Finger męża. (Prawdę mówiąc, przyjąłem to z ulgą, bo umiał tylko bawić towarzystwo i grać w szachy).

**Cat z entuzjazmem zaakceptowała propozycję. Większość swoich obowiązków miała podjąć dopiero za dziesięć lat, kiedy – jeśli w ogóle – będziemy musieli zakasać rękawy i zabrać się za budowę nowego świata.**

Postanowiliśmy przeprowadzić kontrolę od dziobu do rufy. Na najwyższym poziomie niewiele było do sprawdzania – tylko ładownia i sterownia. Nikt nie zachodził tam regularnie oprócz Marygay i jej asystentów: Jerroda Westona i Puul Ten. Pięciu statków ratunkowych nigdy nie zamykano. Podejrzywałem, że ludzie mogą szukać samotności w ich wnętrzu, więc postanowiliśmy je sprawdzić.

W środku nie było nikogo, tylko fotele amortyzacyjne i komory hibernacyjne. Miętko wyściełane fotele wyglądały na bezpieczne, a nie sądziłem by ktoś wchodził do komór, chyba że chciałby uprawiać seks w ciemnej trumnie pełnej rozmaitej maszynerii. Cat powiedziała, że jestem pozbawiony wyobraźni.

Na czwartym poziomie znajdowała się większość upraw, więc teoretycznie mógł tam ktoś utonąć. Wprawdzie zbiorniki były na tyle płytkie, że stojącemu dorosłemu człowiekowi woda sięgała najwyżej po szyję, lecz większość dzieci była jeszcze w takim wieku, że mogło im tu grozić niebezpieczeństwo. Wszystkie rodziny z dziećmi mieszkały na pierwszym poziomie, ale dzieciarnia wciśnie się wszędzie. Tabliczka z napisem „Nie karmić ryb” podsunęła mi pewien pomysł. Znalazłem Waldo Everesta, który potwierdził, że ryby otrzymują codziennie odmierzoną porcję karmy i zgodził się na mój plan: niech na dzieciach spoczywa obowiązek karmienia ryb. W ten sposób akwaria staną się dla nich miejscem pracy, a nie zakazaną „kłopotliwą atrakcją”.

Nigdy nie słyszałem tego określenia, dopóki nie użyła go Cat. Doskonale charakteryzuje niektórych ludzi.

Trzy płytkie ryżowe poletka były również domem tysięcy krabów, jeszcze za małych, żeby nadawały się do spożycia. Prawie połowę metrażu zajmowały uprawy tych szybko rosnących roślin, będących jednocześnie źródłem pokarmu dla ryb. Te poletka pachniały dla mnie najlepiej, niosąc zapach morza i świeżej roślinności.

Nie znaleźliśmy żadnych zagrożeń oprócz akwariów i niektórych narzędzi. Wprawdzie były tu schody, z których spadła Ami, łamiąc sobie rękę, ale trudno je było uznać za niebezpieczne.

Winda znajdowała się dokładnie naprzeciw schodów, sto dwadzieścia metrów dalej, ale nie można było tak prosto do niej dojść. Wąskie przejście między różnymi zbiornikami hydroponicznymi wiło się zygzakiem. Tak więc przeszliśmy po kładce przed kwaterami mieszkalnymi, które na tym poziomie zajmowały połowę obwodu, wszystkie o identycznym metrażu, ale rozmaicie urządzone.

Ta, w której mieszkaliśmy z Marygay, mieściła się przy samej windzie, co było zarówno przywilejem związanym ze stanowiskiem, jak i koniecznością – stąd najbliższej

było do sterowni znajdującej się wprost nad nami. Zaprosiłem Cat na herbatę. Ewentualnych zagrożeń równie dobrze mogliśmy poszukać w naszej kabinie, jak w każdej innej.

W porównaniu z wojskowymi kwaterami, nasze kajuty były bardzo duże. Statek zaprojektowano tak, aby pomieścić dwieście pięć osób, a dla każdej z nich przewidziano

kabinę mającą cztery metry kwadratowe. Tak więc dla stu pięćdziesięciu osób było tu sporo miejsca. Dwadzieścia osiem par planowało mieć jedno lub dwoje dzieci podczas naszej podróży, lecz nawet z nimi na statku nie będzie zbyt tłoczno.

Po naszym wielkim domu w Paxton, którego okna wychodziły z jednej strony na las, a z drugiej na rozległe jezioro, trochę dokuczała mi tu klaustrofobia. Na ścianie naszej sypialni umieściłem hologramy okien z widokiem jeziora, ale uważałem, że powinniśmy je zmienić. Wyglądały jak prawdziwe, ale wiedzieliśmy, że to złudzenie.

–Zagrożenie pożarowe – powiedziałem, nastawiając wodę w czajniku. – A przy najmniej ryzyko poparzeń.

Oba palniki były indukcyjne, więc trzeba by naprawdę się postarać, żeby zrobić sobie krzywdę.

–Macie tu noże i inne podobne im rzeczy – przypomniała Cat.

Ona nie chciała mieć kuchni w swojej kwaterze. Marygay i ja zabraliśmy ze sobą nakrycia i sztućce dla sześciu osób, oraz pojemniki z przyprawami. Kiedy mieliśmy na to ochotę, mogliśmy pójść do kuchni i przyrządzić sobie porządny posiłek z półproduktów, zamiast iść do mesy i jeść to samo, co wszyscy.

–Mówi się, że najniebezpieczniejszym pomieszczeniem w całym mieszkaniu jest łazienka – powiedziała. – O to nie musicie się martwić.

Mieliśmy tylko toaletę i małą umywalkę. Na każdym poziomie była umywalnia z prysznicami, które znajdowały się również przy ogólnodostępnym basenie.

Czajnik zaśpiewał i napełnił nam fliżanki. Usiadłem obok niej na kanapie. Krytycznym spojrzeniem obrzuciłem kabinę.

–Kwaterami możemy się nie przejmować. Jeśli mowa o wypadkach, które zdarza ją się w domu – upadkach, skaleczeniach, oparzeniach, kontakcie z niebezpiecznymi

substancjami – to większość powodują przedmioty, których my nie mamy.

Skinęła głową.

–Równoważą to niebezpieczeństwa, które nie grożą nam w domu. Takie jak

meteoryty, awarie systemu podtrzymywania życia, czy obecność wielu ton antymaterii.

–Zanotuję to w pamięci. – Przez chwilę w niezręcznym milczeniu sącyliśmy herbatę. – Czy poleciałaś tylko... tylko z powodu Marygay?

Patrzyła na mnie przez chwilę.

–Częściowo. A też dlatego, że wiedziałam, iż Aldo nie poleci. To był najmniej kłopotliwy sposób zakończenia naszego małżeństwa. – Odstawiła filiżankę. – Ponadto podobała mi się myśl porzucenia wszystkiego i znalezienia nowego świata. Wiesz, za moich czasów nie było powołań do wojska. Zgłosiłam się, żeby zobaczyć inne światy. Na Middle Finger zrobiło się dla mnie za ciasno. – I dodała z krzywym uśmiechem: – Natomiast Aldo naprawdę podobało się takie życie. Uwielbiał swoją farmę.

–Tutaj też zajmujesz się trochę uprawami.



–Żeby nie wyjść z wprawy. Umiem hodować warzywa.

–Cieszę się, że poleciałaś.

–Tak? – Pytająco uniosła brwi. – Aldo myślał, że wybrałam się z powodu Mary-gay. Czy mówił ci o tym?

–Nie w tych słowach.

Jednak robił niezbyt subtelne aluzje.

–My... Ja naprawdę ją kocham – oznajmiła, starając się powstrzymać drżenie głosu.  
– Jednak jestem... Nie jesteśmy ze sobą już od szesnastu lat. Byłyśmy sąsiadkami, dobrymi sąsiadkami. To mi wystarcza.

–Rozumiem.

–Nie sędzę... Nie sędzę, aby mężczyzna potrafił to zrozumieć. – Ujęła filiżankę w obie dłonie, jakby chciała je ogrzać. – Może jestem niesprawiedliwa. Nigdy nie spotkałam mężczyzny hetero, dopóki nie znalazłam się na Heaven, mając dwadzieścia kilka lat. Wszyscy normalni mężczyźni i chłopcy, wśród których dorastałam, musieli robić to ze sobą. Jeśli nie, to nie było takie ważne. Z dziewczętami i kobietami było inaczej. Kochało się kogoś, albo nie. To czy się ze sobą spało, nie miało żadnego znaczenia.

–Tak, ale sędzę, że z nami było inaczej. Nie chodzi o konflikt między homo a hetero. W moich czasach kobiety też były bardziej agresywne seksualnie. Jednak ty urodziłaś się... Ile? Dziewięćset lat później niż ja? Kiwnęła głową.

–Według waszego kalendarza to był chyba rok dwa tysiące osiemset osiemdziesiąty.

–Nie chcę odgrywać roli zazdrosnego męża – powiedziałem. – Wiem, że ty i Marygay wciąż się kochacie. To oczywiste dla każdego, kto potrafi patrzeć.

–A więc nie przejmujemy się tym. Brak Aldo w moim życiu na pewno nie popchnie mnie w jej ramiona. Może w czyjeś inne. Jednak teraz jestem tak samo hetero jak ty, pamiętasz?

–Jasne. – Chociaż zastanawiałem się, jak skuteczne i trwałe są sposoby zastosowane przez Człowieka. Wierzyłem Cat, a mimo to zastanawiałem się. – Jeszcze herbaty?

–Nie, powinniśmy już iść. – Uśmiechnęła się. – Bo ludzie zaczną o nas plotkować.

**Na trzecim, powszechnie dostępnym poziomie, występowały zagrożenia, jakich nie dostrzegało się w stanie nieważkości. Wykładzina w kawiarence była stara i zawijała się, przez co ludzie niosący tace mogli potknąć się i upaść. Oczywiście, nie mieliśmy czym jej zastąpić. Odchyliliśmy jeden róg i zdecydowaliśmy, że lepszy będzie goły metal: wyschnięty klej łatwo da się zerwać. Za kilka dni zbiorę do pracy ekipę roboczą.**

**Sprawdziliśmy większość przyrządów w siłowni: atlasy, ławeczki wioślarskie, nartorolki i rowery. Popatrzyliśmy na sznury, kółka oraz drążki i doszliśmy do wniosku, że jeśli ktoś ma zrobić sobie na nich krzywdę, to niekoniecznie musimy to być my.**

Na basenie było już sporo osób, w tym dziewięcioro dzieci. Na tym poziomie mieszkali tylko Lucio i Elena Monet, oboje wprawni pływacy. Ich mieszkanie mieściło się tuż przy basenie. Jedno z nich zawsze było w pobliżu i w razie potrzeby w ciągu kilku sekund mogło przyjść tonącemu z pomocą.

Pierwszy i drugi poziom były mniejszymi kopiami czwartego: dziewięćdziesiąt pięć procent powierzchni zajmowały uprawy otoczone kręgiem kabin. Jedynym większym zbiornikiem była niecka z hodowlą ostryg, tak płytka, że można by w niej utonąć wyłącznie leżąc na brzuchu. (Nie chciałem uruchamiać tej hodowli, która dopiero po sześciu miesiącach dawała wyniki, ale przegłosowali mnie ludzie potrafcący bez obrzydzenia patrzeć na ostrygę). W przeciwieństwie do czwartego poziomu, wszystkie kwatery były tu jednokondygnacyjne, więc nikomu nie groził choćby upadek ze schodów.

Pomieszczenia poniżej pierwszego poziomu były najniebezpieczniejszą częścią statku, lecz nie znajdowały się pod pieczęcią inspektora BHP i jego wiernej zastępczyni. Siedem ton antymaterii przelewało się tam w błyszczącej kuli, utrzymywanej w miejscu przez pole siłowe. Gdyby coś uszkodziło generatory pola, wszyscy mielibyśmy najwyżej nanosekundę, żeby przygotować się do nowego życia w postaci strumienia cząstek promieniowania gamma.

Cat zaproponowała, że zajmie się sprawą zerwania wykładziny, a ja pozwoliłem jej na to, chociaż sam zamierzałem zebrać potrzebną do tego ekipę. Przez dziesięć miesięcy znajdowałem się w centrum wydarzeń – spierając się, koordynując, decydując – a teraz stałem się zwyczajnym pasażerem. Mającym tytuł i jakieś zajęcie, ale nie będącym już przywódcą. Musiałem przyzwyczać się do roli biernego obserwatora.

## 15

Teoretycznie Marygay przez cały czas była na służbie, lecz w rzeczywistości pełniła w sterowni tylko jedną ośmiogodzinną wachtę dziennie. Pozostałe dwie wzięli Jer-rod i Puul.

Ich fizyczna obecność w sterowni wynikała bardziej z psychologicznej lub socjalnej, niż rzeczywistej potrzeby. Statek zawsze wiedział, gdzie w danej chwili przebywali, a w razie konieczności mógł podjąć natychmiastową decyzję, nie konsultując się z ludźmi. I tak myśleli zbyt wolno, by przydali się do czegoś w nagłych wypadkach. Większość pasażerów zdawała sobie z tego sprawę, jednak obecność ludzi w sterówce i tak podnosiła ich na duchu.

**Marygay lubiła przyglądać się konsoli, tej gęstwinie wskaźników, przycisków, tarcz i tym podobnych rzeczy, rozmieszczonych na czterometrowej długości pulpicie z dwoma bocznymi, dwumetrowymi. Z ćwiczeń na symulatorze Marygay wiedziała do czego one wszystkie służą i jak działają, tak samo jak ja umiałem pilotować prom kosmiczny, ale dobrze było wzbogacić tę teoretyczną wiedzę doświadczeniem i obserwacjami.**

**(Pewnego wieczoru zapytałem ją, ile według niej przełączników i wskaźników znajduje się na tych ośmiu metrach pulpitu. Zamknęła oczy na prawie pięć minut, po czym powiedziała: „Tysiąc dwieście trzydzieści osiem”).**

**Wybrała wachtę trwającą od czwartej rano do dwunastej w południe, a potem jedliśmy razem obiad. Przeważnie przygotowywaliśmy sobie coś w naszej kabynie, zamiast schodzić do „zoo” – czyli do bufetu. Czasem mieliśmy towarzystwo. Na Middle Finger we wtorki zawsze jedliśmy obiad z Charliem i Dianą, i nie widzieliśmy powodu, żeby zmieniać ten zwyczaj.**

**Pod koniec drugiego tygodnia ugotowałem ziemniaki i zupę z porów – po raz pierwszy, lecz nie ostatni. Jeszcze przez kilka miesięcy będziemy musieli zadowalać się warzywami, które Teresa i jej zespół zdołali wyhodować w stanie nieważkości. Tak więc na razie nie było mowy o sałacie czy pomidorach.**

Charlie przyszedł pierwszy i usiedliśmy do naszej nie kończącej się partii szachów. Zdążyliśmy wykonać po jednym ruchu, zanim przyszła Marygay razem z Dianą. Marygay spojrzała na szachownicę.

–Powinniście czasem zetrzeć z niej kurz. Pocałowałem Dianę w policzek.

–Jak tam praktyka?

–Boże, lepiej nie pytaj. Przez większą część poranka oglądałam odbyty jednego z twoich ulubieńców.

–Eloya?

Wiedziałem, że ma jakiś problem. Pogroziła mi palcem.

–Tylko do twojej wiadomości. Zauważyłam, że jego nazwisko składa się ze zbyt wielu samogłosek.

Eloy Macabee był dziwnie napastliwym człowiekiem, który niemal każdego popołudnia zgłaszał mi jakieś skargi lub wnioski. Jednakże był hodowcą kur, więc trzeba mu to było wybaczyć. (Ryby i kury to jedyne zwierzęta, jakie trzymaliśmy na pokładzie w stanie nieważkości. Ryby nie dostrzegają różnicy, a kury są zbyt głupie, żeby się tym przejmować).

–Właściwie powinieneś o tym wiedzieć. Oboje powinniście – powiedziała do Marygay, kiedy usiadły przy stole. – Mamy tu małą epidemię.

Włączyłem palnik pod zupą i zamieszałem w garnku.

–Wirus?

–Chciałabym. Z wirusem łatwo sobie poradzić. – Marygay naląła kawę. – Dzięki. Chodzi o depresję. Przez ostatnie trzy dni miałam dwadzieścia kilka przypadków.

–To rzeczywiście epidemia – rzekł Charlie.

–Cóż, ludzie „zarażają” się tym od innych. I jest to choroba, która może zakończyć się śmiercią – samobójczą.

–Przecież spodziewaliśmy się tego. Przewidzieliśmy to – przypomniała Marygay.

**–Tylko nie tak szybko i nie tylu przypadków. – Diana wzruszyła ramionami. – Na razie mnie to nie martwi. Jedynie dziwi.**

**Nalałem zupę do talerzy.**

**–Czy odkryłaś jakieś prawidłowości?**

**–Zgodnie z oczekiwaniami, w depresję wpadają głównie ludzie, którzy nie mają konkretnego zajęcia, nie uczestniczą w codziennej krzątaninie. – Wyjęła z kieszeni notes i sprawdziła kilka liczb. – I właśnie przyszło mi do głowy... że żadna z tych osób nie była weteranem.**

**–W tym też nie ma niczego niezwykłego – oświadczył Charlie. – My przynajmniej wiemy jak to jest, kiedy przez lata widzisz wokół siebie te same osoby.**

**–Owszem – przytaknąłem – ale nie przez dziesięć lat. Niedługo i my będziemy twoimi pacjentami.**

–Dobra zupa – wtrąciła Marygay. – No, nie wiem... Ja czuję się teraz coraz lepiej i pewniej, kiedy oswoiłam się już z...

–Brakiem Billa – dopowiedziałem.

–Tak. Loty statkiem nie były najgorszą częścią wojny. „Wróciliśmy do domu” – jak zwykli mówić weterani. Tylko bez Taurańczyków, których musielibyśmy się obawiać.

–Jeden tu jest – przypomniała Diana. – Na razie jednak nie stanowi żadnego problemu.

–Trzyma się na uboczu.

Nie widziałem go nawet pięć razy.

–Musi czuć się samotnie – powiedziała Marygay. – Oddzielony od swojej zbiorowej świadomości.

–Kto wie, co się dzieje w ich głowach.

–Szyjach – poprawiła Marygay. Wiedziałem o tym.

–To tylko takie wyrażenie. – Cmoknąłem na statek. – Graj dalej Mozarta. Łagodne dźwięki lutni, niesione wiatrem przez las.

–Był Niemcem? – zapytała Diana. Skinąłem głową.

–Chyba Prusakiem.

–Za naszych czasów wciąż grano jego utwory. Ja jednak uważam, że te dźwięki brzmią dziwnie.

Ponownie wezwałem statek.

–Jaką część twoich zbiorów stanowi muzyka sprzed dwudziestego wieku?

–Pod względem czasu odtwarzania, około siedem procent. Licząc tytuły, mniej więcej pięć procent.

–Wielkie nieba. Mogę słyszeć jedynie jednego kawałka na dwadzieścia.

–Powinieneś spróbować innych – poradził Charlie. – Muzyka klasyczna i

**romantyczna jest wiecznie młoda.**

**Pokiwałem głową, ale zachowałem swoje zdanie dla siebie. Wiedziałem, co skomponowano w ciągu kilku ostatnich wieków.**

**–Może powinniśmy pozwolić, żeby zamieniali się zajęciami. Dać przygnębionym ludziom jakieś konkretne zajęcie.**

**–To mogłoby pomóc. Bylebyśmy tylko nie zrobili tego zbyt ostentacyjnie.**

**–Jasne – odezwała się Marygay. – Obsadźmy wszystkie ważne stanowiska niepełnosprawnymi.**

**–Albo zahibernujmy ich – podsunął Charlie. – Pozbądźmy się problemu na czterdzieści tysięcy lat.**

**–Nie myśl, że nie brałam tego pod uwagę.**



–A nie moglibyśmy po prostu powiedzieć wszystkim, że jest taki problem? – zapytałem. – Przecież to dorośli, inteligentni ludzie.

–Prawdę mówiąc, wśród pacjentów jest dwoje dzieci. Jednak nie – moim zdaniem to wywołałoby jeszcze większy niepokój i przygnębienie. Rzecz w tym, że ta depresja, a także niepokój, mają podłoże psychologiczne, a nie biochemiczne. Lepiej jednak nie rozwiązywać takich niegroźnych przypadków, wpływając na chemizm mózgu. Skończylibyśmy ze statkiem pełnym narkomanów. Włącznie z naszą czwórką.

–Szaleńcy wiedliby szalonych – powiedział Charlie.

–„Statek pijany” – dodała Marygay. Cmoknąłem na komputer i zapytałem go:

–Gdyby wszyscy zwariowali, czy zdołałbyś wykonać misję?

–Niektórzy z was już są szaleni, choć zapewne stosuję zbyt ostre kryteria. Tak, gdyby kapitan tak rozkazał, mógłbym zablokować stery i wykonać zadanie bez udziału człowieka.

–A gdyby oszalał kapitan? – spytała Marygay. – I jego dwoje zastępców?

–Zna pani odpowiedź na to pytanie.

–Tak – odparła cicho i upiła łyk wina. – I wiesz co? To mnie przygnębia.

## 16

Następnego dnia zdarzyło się coś, co dało nam poważniejszy powód do zmartwienia niż epidemia depresji.

Byłem w moim biurze na powszechnie dostępnym poziomie, zajęty syzyfową pracą, jaką była próba zaspokojenia upodobań wszystkich zamawiających filmy, które miały być wyświetlone tego popołudnia i wieczorem. Większości tytułów nawet nie znałem. Dwie osoby prosiły o *Pamiętną noc* i *Titanica*, które z pewnością znakomicie podbudowałyby morale. Kosmiczne góry lodowe. Nie martwiłem się nimi już od wielu dni.

W drzwiach kabiny stanął Taurańczyk. Wychrypiałem pozdrowienie w jego języku i zerknąłem na zegarek. Jeszcze pięć minut i udałoby mi się uciec na obiad.

–Nie wiedziałem czy zgłosić ten problem panu, kapitanowi czy szeryfowi. Szeryfowi?

**–Pan był najbliżej.**

**–Jaki problem? Z podniecenia zatańczył w miejscu.**

**–Jeden z was próbował mnie zabić.**

**–Wielki Boże! – zerwałem się. – Kto?**

**–Ten, którego nazywacie Charltonem. Cał, oczywiście.**

**–W porządku. Zawołam szeryfa i razem spróbujemy go znaleźć.**

**–Leży w mojej kwaterze, martwy.**

**–Zabiłeś go?**

**–Oczywiście. A pan by tego nie zrobił?**

**Połączyłem się z Marygay oraz szeryfem i powiedziałem im, żeby natychmiast zeszli na dół.**

**–Byli jacyś świadkowie tego zajścia?**

**–Nie. Był sam. Powiedział, że chce ze mną porozmawiać.**

**–Cóż, na pewno widział to statek.**

Taurańczyk pokręcił głową.

–O ile mi wiadomo, statek nie monitoruje mojej kwatery.

Cmoknąłem na komputer i zapytałem go o to.

–Zgadza się. Taurańska kwatera została prowizorycznie zbudowana w ładowni, a te nie są objęte monitorowaniem.

–Czy widziałeś jak Cal Charlton niedawno zmierzał w jej kierunku?

–Charlton wszedł do windy o jedenastej trzydzieści dwie i zjechał na poziom ładowni.

–Czy był uzbrojony?

–Nie wiem.

–Próbował zabić mnie toporem – przerwał Taurańczyk. – Usłyszałem brzęk tłuczonego szkła, a potem wpadł do mojej kwatery. Miał topór, który wziął z gabloty ze sprzętem przeciwpożarowym przed moją kabiną.

–Komputer, możesz to potwierdzić?

–Nie. Gdyby wcisnął przycisk alarmu, wiedziałbym o tym. Hmm, interesujące.

–A więc odebrałeś mu topór?

–To było proste. Usłyszałem brzęk szkła i właściwie zinterpretowałem ten fakt. Schowałem się za drzwiami. Nawet mnie nie zobaczył.

–Zabiłeś go toporem?

–Raczej nie. Sądzę, że zламаłem mu kark. Poparł swoje słowa, przekonująco demonstrując cios karate.

–No cóż... mogło być gorzej.

–Potem, żeby mieć pewność, wziąłem topór i odrąbałem mu głowę. – Wykonał dziwny gest, będący odpowiednikiem wzruszenia ramion. – Bo tam mieści się mózg.

Nie należy okazywać braku szacunku wobec zmarłych, ale dobrze się stało, że Taurańczyk nie zabił kogoś powszechnie lubianego. Cal za młodu był wyjątkowym

awanturnikiem i chociaż w ostatnich latach pozornie się ustatkował, często wybuchał gniewem. Był trzykrotnie żonaty, lecz żaden z tych związków nie trwał długo. Patrząc wstecz, zdaję sobie sprawę z tego, że w ogóle nie powinniśmy go zabierać. Gdyby nie brał od początku udziału w naszym spisku, pewnie nie zostałby wybrany, pomimo wielu pożytecznych umiejętności, jakie posiadał.

Okazało się, że był jednym z cierpiących na depresję pacjentów Diany, lecz kiedy przejrzelśmy jego rzeczy stwierdziliśmy, że zażył tylko jedną z przepisanych przez nią tabletek. Dwa dni później usiłował zabić Antresa 906.

Gdyby wszyscy lubili Cala, z pewnością mielibyśmy do czynienia z próbą linczu. A tak Rada przyznała rację szeryfowi, który stwierdził, że było to usprawiedliwione działanie w samoobronie i nikt nie protestował przeciwko takiej decyzji. W ten sposób

uniknęliśmy nieprzyjemnego konfliktu międzygatunkowego. Żaden Taurańczyk nigdy nie popełnił żadnego przestępstwa na Middle Finger. Antres 906 utrzymywał, że Taurańczycy nie mają odpowiednika ludzkiego systemu prawnego i odniosłem wrażenie, że naprawdę nie pojmował, czym właściwie jest sąd. Jeśli w danej kulturze nie ma czegoś takiego jak jednostka, to co ze zbrodnią i karą, a także moralnością i etyką?

Poza tym Antres 906 już dobrowolnie skazał się na swego rodzaju dożywotnią samotność – cokolwiek oznacza dla Taurańczyka słowo „dobrowolnie”. Zakładam, że mają swój odpowiednik Całego Drzewa i po prostu bez żadnych pytań wykonują jego zalecenia.

Był samotny, ale nie sam. Przez kilka dni po zabójstwie nieustannie towarzyszył mu jeden z członków Rady, uzbrojony w karabin z pociskami usypiającymi. Jeszcze nigdy nie spędziłem tyle czasu w obecności Taurańczyka, a Antres 906 nie miał nic przeciwko pogawędce.

Za którymś razem przyniosłem pięciostronicowy dokument z Ziemi, zabraniający nam podróży w kosmos. Zapytałem go o to zagadkowe ostatnie zdanie: „W obcym – nieznanym, a w nim niepojętym”.

–Nie rozumiem tego – powiedziałem. – Czy to ma być wyraz waszego stosunku do rzeczywistości?

Potańczał kark niemal ludzkim gestem, który – jak wiedziałem – oznaczał namysł.

–Nie. Wcale nie.

Jeszcze dwa razy lekko przesunął długim palcem po podobnych do pisma Braille-'a znakach.

–Nasze języki bardzo się różnią, a język pisany ma wiele subtelnych znaczeń. Przekład jest niekompletny z powodu...

Znów dotknął znaków.

–Nie rozumiem ludzkich żartów, ale myślę, że to coś w tym rodzaju. Kiedy mówicie coś, a myślicie o czymś zupełnie innym.

–A ty jakich użyłbyś słów?

–Słowa? Te są przetłumaczone dokładnie. Są znajome – to cytaty z czegoś, co

**nazwałbyś naszą religią. Jednak kiedy ich używamy, nie wypowiadamy ich w ten sposób. Dlatego nasuwają mi skojarzenie z waszymi żartami. Słowo „niepojęte” – o tutaj – oznacza, albo rymuje się z „nienazwanym” albo „beziemiennym”. A to oznacza coś w rodzaju losu, albo Boga, w ludzkim rozumieniu tego słowa.**

**–Czy to ma być zabawne?**

**–Nie, wcale nie, nie w tym kontekście. – Oddał mi dokument. – Zazwyczaj jest to wyrażenie dotyczące złożonej natury wszechświata.**

**–To wydaje się dość sensowne.**

–Jednak w tym kontekście nie ma ogólnego charakteru, lecz jest skierowane do was.

Sądzę, że do tych stu czterdziestu ośmiu osób na pokładzie, a może nawet do wszystkich

ludzi. To jakby... przestroga? Ostrzeżenie.

Ponownie przeczytałem angielski przekład.

–Ostrzeżenie, że zmierzamy ku niepojętemu?

–Albo wprost przeciwnie: że niepojęte zbliża się do was. Nieznane. Zastanowiłem się.

–A więc być może mówimy o względności. Ta bywa bardzo zagadkowa. Taurańczyk wydal przeczący pisk.

–Nie dla nas.

## 17

Z początku były to tylko drobiazgi. Nie układające się w żaden wyraźny schemat.

Jedna kultura ostryg przestała rosnąć. Inne były w porządku. Ten fakt budził moje czysto akademickie zainteresowanie, gdyż już kiedyś skosztowałem ostryg i doszedłem do wniosku, że raz mi wystarczy. Mimo to, ponieważ do niedawna byłem rybakiem, pomogłem Xuanowi i Shauncie przeprowadzić badania środowiska, lecz nie zdołaliśmy wykryć jakiegokolwiek różnicy pomiędzy tą jedną kulturą a pozostałymi. Ostrygi wyglądały zupełnie normalnie, tylko nie chciały osiągnąć większych rozmiarów od kciuka.

W końcu postanowiliśmy dać spokój, zebrać niedojrzałe ostrygi i ugotować z nich około dziesięć litrów zupy, której nie chciałem jeść. Potem spuściliśmy pożywkę, wyjąłowiliśmy zbiornik i nastawiliśmy następną hodowlę.

Brakowało wszystkich filmów o tytułach zaczynających się na literę „C”. Nie mogliśmy znaleźć *Casablanki* ani *Citizen Kane*. Uchowały się te poprzedzone rodzajnikiem, więc wciąż mieliśmy *The Cat Woman from Mars* i *A Cunt for Ali Seasons*, tak więc ocalała część kulturalnego dziedzictwa.

Drobiazgi.

**Przestał działać termostat w basenie dla dzieci. Jednego dnia woda była zimna, a następnego lodowata. Lucio z Eleną rozebrali go na części, a potem złożyli. To samo zrobił Matthew Anderson, który miał talent do takich robótek. Mimo to termostat nie działał i Elena zdemontowała go któregoś ranka, kiedy sprawdziła temperaturę i okazało się, że w basenie jest wrzątek. Dzieciom najwyraźniej nie przeszkadzała zimna woda, ale stały się bardziej hałaśliwe.**

**Coś się stało z podłogą boiska do piłki ręcznej. Zrobiła się lepka – jakbyś próbował biegać po nie zaschniętym kleju. Wycyklinowaliśmy ją i ponownie wypokostowaliśmy, ale oczywiście był to ten sam pokost i po wyschnięciu znów zrobiła się lepka.**

**Wydawałoby się, że to nic takiego: po prostu niefortunny dobór materiału, ale tego samego pokostu używaliśmy do wszystkich innych podłóg na statku, a lepki był tylko w tym jednym miejscu. Owszem, piłkarze ręczni się pocą. A ciężarowcy nie?**



Potem wydarzyło się coś, czego w ogóle nie dało się wyjaśnić. Mógł to być jedynie dziwny i bezsensowny żart: z zasobnika z żywnością zostało wysane powietrze.

Rozwścieczony Rudkowski zameldował mi o tym, więc zszedłem na dół, żeby to zobaczyć. To był wielki pojemnik na żywność, wolnostojący, bez żadnego połączenia z próżnią. Drzwi nie były zamknięte, lecz kiedy Rudkowski – silny i dobrze zbudowany mężczyzna – próbował je otworzyć, ani drgnęły. Pomógł mu drugi kucharz, a wtedy nagle otworzyły się ze świstem wpadającego powietrza. To samo powtórzyło się następnego dnia.

Opróżniliśmy pojemnik i dokładnie go obejrzeliliśmy, a nawet wezwaliśmy Antresa 906, żeby wykorzystał swoje niezwykle wyostrzone zmysły. Powietrze mogło ująć z pojemnika tylko w takim wypadku, gdyby ktoś je wyssał, ale nie zdołaliśmy znaleźć żadnego otworu.

–Przerażające – tylko tyle powiedział Taurańczyk.

Nadal byliśmy bardziej rozzłoszczeni niż przestraszeni. Kazaliśmy obserwować pojemnik przez całe popołudnie i noc. Nikt się do niego nie zbliżał, lecz następnego ranka znów nie było w nim powietrza.

Aby wykluczyć ewentualny spisek, osobiście pilnowałem go przez całą noc, popijając to, co uchodziło za kawę. Powietrze znów znikło.

Wiść o tym dziwnym zdarzeniu rozeszła się, budząc rozmaite reakcje. Niektórzy stoicko nastawieni ludzie – albo zupełni ignoranci – uważali, że to nic takiego. Pojemnik był niewielki i strata zawartego w nim powietrza nie stanowiła nawet jednego procentu normalnego dziennego wycieku. Gdybyśmy zostawili drzwi otwarte, nie tracilibyśmy nawet tego.

Inni byli przerażeni i trochę ich rozumiałem. Skoro nie wiedzieliśmy, w jaki sposób powietrze uchodzi z takiej malej przestrzeni, to czy mogliśmy mieć pewność, że w ten sam sposób nie ujdzie ze wszystkich kabin, poziomów – i z całego statku!

Teresa Larson i jej współwyznawcy triumfowali: oto działo się coś, czego naukowcy i inżynierowie nie potrafili wyjaśnić. To mistyczne wydarzenie z pewnością miało jakiś sens i Bóg w swoim czasie go wyjawí. Zapytałem ją, czy chciałaby spędzić noc w pojemniku na żywność, aby sprawdzić, czy Bóg docenia jej wiarę. Cierpliwie wyjaśniła mi, na czym polega błąd w moim rozumowaniu. Próba „sprawdzenia” Boga jest przeciwieństwem wiary i jako taka z pewnością zostanie ukarana.

W milczeniu przyjąłem ten idiotyczny wywód. Lubię Teresę, która chyba najlepiej ze

**wszystkich członków załogi zna się na uprawach, lecz poza poletkiem hodowlanym czy zbiornikiem hydroponicznym wykazuje objawy poważnych zaburzeń percepcji rzeczywistości.**

**Większość załogi zajęła dokładnie takie same stanowisko jak ja. Działo się coś poważnego, czego na razie nie potrafiliśmy zrozumieć. Najlepiej będzie zamknąć pojemnik i zmagazynować żywność w innym, dopóki sprawa się nie wyjaśni.**

Najbardziej niepokojąca była reakcja Antresa 906. Poprosił o zezwolenie na dokładne sprawdzenie systemów statków ratunkowych, co zamierzał zrobić z pomocą kilku naszych inżynierów. Powiedział, że wkrótce będą nam potrzebne. Najpierw przyszedł z tym do mnie. Gdyby był człowiekiem, odmówiłbym mu: załoga i tak była bliska paniki i lepiej nie dolewać oliwy do ognia. Jednak taurańska logika i emocje są dziwne, więc poszedłem z nim do Marygay, żeby podjęła decyzję jako kapitan statku.

Marygay niechętnie wyraziła zgodę, gdyż – rzecz jasna – mieliśmy określony harmonogram takich kontroli, więc naprawdę mogło to wywołać panikę. Jednak doszła do wniosku, że jeśli zrobią to dyskretnie, tak by wyglądało na rutynową czynność, może uda się uniknąć zamieszania. Ponadto współczuła Antresowi 906 z powodu jego osamotnienia. Człowiek zamknięty na statku wraz z setką Taurańczyków też miałby prawo do różnych dziwactw.

Kiedy jednak poprosiła, żeby uzasadnił potrzebę kontroli, otrzymała przedziwną odpowiedź.

–Niedawno William pytał mnie o tamten kawałek papieru. Ten z Ziemi. „W obcym – nieznane, a w nim niepojęte”. – Wykonał ten taurański taniec, oznaczający wzburzenie. – Właśnie jesteśmy w obcym i nieznanym, w środku niepojętego.

–Zaczekaj – powiedziałem. – Chcesz powiedzieć, że to zdanie jest rodzajem proroctwa?

–Nie, skądże. – Znów zatańczył. – Proroctwa to głupota. To raczej defnicja stanu.

Marygay zmierzyła go wzrokiem.

–Chcesz powiedzieć, że powinniśmy przygotować się na niepojęte.

Potał swój kark, bełkotliwie przytaknął i znowu zaczął płasnąć.

## [Księga czwarta](#)

Niepojęte dopadło nas dopiero dwa miesiące później. Spaliśmy z Marygay, gdy zbudził nas dzwonek.

–Przepraszam, ale mam wiadomość. Marygay usiadła i zapaliła światło.

–Dla mnie? – zapytała, przecierając oczy. – Co się stało?

–Dla was obojga. Tracimy paliwo.

–Tracimy paliwo?

–To zaczęło się minutę temu. Masa antimaterii stale maleje. W tej chwili straciliśmy już prawie pół procenta.

–Wielki Boże – powiedziałem. – Co to jest, wyciek? A jeśli tak, to dlaczego jeszcze żyjemy?

–To nie przeciek, a mimo to paliwo w jakiś sposób znika.

Statek wydał dźwięk, który rzadko słyszeliśmy, oznaczający intensywny namysł. Myślał tak szybko, że większość problemów rozwiązywał między zgłoskami.

–Mogę z całą pewnością stwierdzić, że to nie wyciek. Gdyby było inaczej, antyprotony uciekałyby od nas z przyspieszeniem jednego g. Wypuściłem trochę wody za stat

kiem, ale nie stwierdziłem żadnej reakcji.

Nie wiedziałem, czy to dobre, czy złe wieści.

–Wysłałeś wiadomość na Middle Finger?

–Tak. Jeśli jednak ten proces będzie zachodził dalej w takim tempie, to antimateria zniknie o wiele wcześniej, zanim otrzymają tę wiadomość.

Oczywiście – znajdowaliśmy się już w odległości ponad czterech dni świetlnych.

–Naładuj maksymalnie wszystkie źródła zasilania.

**–Już to zrobiłem, w trakcie tej rozmowy.**

**–Jak długo... – zaczęła Marygay. – Jak długo możemy lecieć na zasilaniu awaryjnym?**

–Mniej więcej pięć dni przy normalnym stopniu zużycia. Kilka tygodni, jeśli wyłączymy większość urządzeń i zgromadzimy wszystkich na jednym poziomie.

–Wciąż tracimy paliwo?

–Tak. I to coraz szybciej. Jeśli ten proces będzie trwał dalej, za dwadzieścia osiem minut skończy nam się paliwo.

–Czy powinniśmy ogłosić alarm? – zapytałem Marygay.

–Jeszcze nie. Mamy dość zmartwień.

–Komputer, czy domyślasz się, dokąd wycieka paliwo i czy moglibyśmy je odzyskać?

–Nie. Nie potrafię wyjaśnić tego w oparciu o znane mi prawa fizyki. Jest pewna analogia w modelu Rhomera dla granicznych stanów przejściowych wirtualnej substytucji cząsteczkowej, ale nigdy nie została potwierdzona doświadczalnie.

Będę musiał kiedyś o tym poczytać.

–Zaczekaj! – zawołała Marygay. – Statki ratunkowe. Czy ich antymateria też znika?

–Na razie nie. Jednak nie da się jej przenieść.

–Nie mam zamiaru jej przenosić – powiedziała do mnie. – Myślę, jak wynieść się stąd w cholerę, zanim stanie się coś gorszego.

–Bardzo rozsądnie – skwitował statek.

Ubraliśmy się i pospieszyliśmy na pierwszy poziom. Przez bulaj widzieliśmy kurczącą się bryłę antymaterii. Wyglądała tak samo jak zawsze – jak kula błękitnych iskier – tylko robiła się coraz mniejsza. W końcu zamigotała i znikła.

Przestaliśmy przyspieszać i automatycznie rozwinęły się drabinki sznurowe dla stanu nieważkości, z cichym melodyjnym sygnałem, który wystarczył, aby zbudzić większość ludzi. Z niektórych kwater dobiegały głośniejsze dźwięki.

Już pięciokrotnie przeprowadzaliśmy ćwiczenia w stanie nieważkości, z czego dwukrotnie bez zapowiedzi, więc na razie nikt się nie przejął. Mniej lub bardziej ubrani ludzie wypłynęli ze swoich kwater i zaczęli przemieszczać się do auli na powszechnie dostępnym poziomie.

**Eloi Casi, rzeźbiarz, był zupełnie ubrany, w roboczym fartuch pokrytym drzazgami.**

**–Co za pora na urządzenie ćwiczeń, Mandella. Usiłuję pracować.**

**–Chciałbym, żeby to były ćwiczenia. Przepłynęliśmy obok niego.**

**–Co?**

**–Nie mamy zasilania. Nie mamy antymaterii. Nie mamy szans. Tylko tyle mogliśmy powiedzieć zebranym w auli. Statek uzupełnił to kilkoma wynikami obliczeń.**

**–Właściwie powinniśmy wskoczyć do statków ratunkowych i wynieść się stąd w cholerę – powiedziała Marygay. – Z każdą sekundą zwłoki oddalamy się o następne dwadzieścia cztery tysiące kilometrów.**

–Podążamy z jedną ósmą prędkości światła – oznajmiłem. – Statek ratunkowy porusza się znacznie wolniej. Dopiero za dziesięć lat zwołimy do zera, a po następnych czternastu wrócimy na Middle Finger.

–Po co się spieszyć? – powiedziała Alysa Bertram. – Antymateria może powrócić równie tajemniczo, jak zniknęła.

–Tak – i co z tego? – zapytał Stephen Funk, stając przy mnie. – Czy będziemy wtedy mogli na nią liczyć? A jeśli pozostanie przez kilka miesięcy, a potem zniknie na dobre? Chcesz ryzykować dziesięć tysięcy lat hibernacji?

Antres 906 właśnie wszedł i unosił się tuż przy drzwiach. Spojrzałem w jego kierunku, a on energicznie pokiwał głową. „Kto wie?”

–Zgadzam się ze Stevem – powiedziałem. – Głosujemy? Ilu chce wsiąść na statki i wracać?

Nieco ponad połowa podniosła ręce do góry.

–Zaczekajcie chwilę – przerwała Teresa Larson. – Do diabła, jeszcze nie zdążyłam napić się kawy, a wy chcecie, żebym wszystko zostawiła i wyniosła się stąd?

Nikt nie włożył tyle wysiłku co ona w ożywienie statku.

–Przykro mi, Tereso. Widziałem jednak jak antymateria zniknęła i nie widzę innego wyjścia.

–Może to próba naszej wiary, Williamie. Chociaż ty, oczywiście, nie możesz tego zrozumieć.

–Nie, nie mogę. Nie sądzę, żeby antymateria wróciła na swoje miejsce tylko dlatego, że szczerze i gorąco tego pragniemy.

–Te statki ratunkowe to śmiertelna pułapka – jęknął Eloy Mcabee. – Ilu ludzi umiera w stanie hibernacji? Jeden na trzech, na czterech?

–Hibernacja daje ponad osiemdziesięcioprocentową szansę przeżycia – powiedziałem. – Szansę przetrwania na tym statku są równe zeru.

Diana przybliżyła się i unosiła obok mnie.



**–Im mniej czasu pozostaniemy zahibernowani, tym większe są nadzieje na przeżycie. Teresa, napij się tej swojej kawy, ale potem przyjdź tu i stań w kolejce. Chcę jak najszybciej zacząć przygotowywać ludzi.**

**–Już nie przyspieszamy – powiedziała Ami Larson. – Możemy poczekać chwilę i wszystko przemyśleć.**

**–W porządku. Siedzicie sobie i myślcie – rzuciła gniewnie Diana. – Ja chcę wynieść się stąd, zanim zdarzy się coś jeszcze. Na przykład zanim zniknie powietrze. Chcesz zastanawiać się nad tym, Ami? A może powiesz mi, że to nie może się zdarzyć?**

**–Jeśli naprawdę chcecie pozostać tu do ostatniej chwili – powiedziałem – nie możecie oczekiwać, że Diana zostanie tu z wami.**

**–Mogą przygotować się sami, bez lekarza czy pielęgniarki – oświadczyła. – Jeśli jednak coś pójdzie nie tak, umrą.**

–We śnie – dodała Teresa.

–Nie wiadomo. Może zbudzisz się na chwilę, żeby się udusić. Nikt jeszcze nie opisał, jak to się dzieje.

Zapadło nieprzyjazne milczenie, które przerwała Marygay. Trzymała notatnik.

–Podajcie mi nazwiska ludzi, którzy chcą polecieć pierwszym i drugim statkiem. To sześćdziesiąt osób. Możecie zabrać prawie po trzy kilogramy rzeczy osobistych. Pierwsza grupa stawi się o dziesiątej. – Zwróciła się do Diany: – Jak długo potrważą przygotowania?

–Środek przecyszczający działa błyskawicznie. Lepiej usiąść na sedesie, zanim się go zażyje. – Niektórzy zaśmiali się nerwowo. – Poważnie. Potem potrzeba pięć minut, żeby podłączyć przewody. Ci z nas, którzy walczyli w wysokich przeciążeniach, zazwyczaj robili to w niecałą minutę. Jednak wyszliśmy z wprawy.

–I trochę się zestarzeliliśmy. Tak więc druga grupa ma stawić się w południe?

–Tak będzie najlepiej. Niech nikt już niczego nie je i nie pije oprócz wody. Nie zażywajcie żadnych lekarstw bez porozumienia ze mną.

Notatnik zaczął krążyć wokół.

–Kiedy już zbiorę tych sześćdziesiąt nazwisk – powiedziała Marygay – ci, którzy się wpisali, będą mogli odejść. Później zaczniemy zbierać wpisy na statki trzy i cztery.

Ile osób postanawia tu zostać?

Dwadzieścia osób podniosło ręce w górę, niektórzy niechętnie. Myślę, że Paul Greyton i Elena Monet zrobili to, nie chcąc sprzeciwić się swoim małżonkom. Albo nie chcąc się z nimi rozstawać.

–Chodźcie ze mną i Williamem do kawiarenki.

Nie będzie więcej kawy z zaparzarki działającej tylko przy sztucznej grawitacji. To zdecydowany plus. Marygay cmoknęła na statek.

–Jakie szansę przeżycia mają ci ludzie?

**–Nie potrafię tego obliczyć, kapitanie. Nie wiem, co stało się z antymaterią, więc nie mogę oszacować prawdopodobieństwa jej powrotu.**

**–Jak długo pożyją, jeśli jej nie odzyskamy?**

**–Jeśli cała dwudziestka zostanie w tym jednym pomieszczeniu i odizoluje go od pozostałych, mogą przetrwać wiele lat. Jednak za kilka tygodni woda zamrznie i ktoś będzie musiał chodzić do basenu rąbać lód. Wody w basenie wystarczy na dziesięć lat, jeśli będzie używana tylko do picia. Sprawa żywienia jest bardziej skomplikowana. Przed upływem roku będą zmuszeni ratować się kanibalizmem. Oczywiście, po śmierci każdej kolejnej ofary ubywa osób do wyżywienia, a przeciętne ciało wystarczy na około trzysta posiłków. Tak więc ostatnia osoba przeżyje tysiąc sześćdziesiąt cztery dni od chwili śmierci pierwszej ofary, jeśli wcześniej nie zamrznie. Marygay milczała przez chwilę, uśmiechając się.**

**–Przemyślcie to sobie.**

**Kopnięciem odbiła się od stołu i popłynęła w kierunku drzwi. Ja podążyłem za nią,**

**nie tak zwinnie. Przed drzwiami bufetu znajdowało się stanowisko łączności.**

**Chwyciłem słuchawkę i powiedziałem:**

**–Statku, czy masz poczucie humoru?**

**–Tylko w takim sensie, że potrafię rozróżnić bezsensowne pomysły od sensownych. Ten był bez sensu.**

**–Co będziesz robić, kiedy wszyscy odlecą?**

**–Nie będę miał wyboru. Będę czekać.**

**–Na co?**

**–Na powrót antymaterii.**

**–Naprawdę myślisz, że ona znów się pojawi?**

**–Nie spodziewałem się, że zniknie. Nie mam pojęcia, gdzie się podziała. Czynniki, który spowodował jej zniknięcie, może być ograniczony jakimś prawem zachowania masy.**

**–A więc nie zdziwiłbyś się, gdyby antymateria znów się pojawiła.**

**–Ja nigdy się nie dziwię.**

**–I jeśli naprawdę się pojawi?**

**–Wrócę do Middle Finger, na orbitę. Z nowymi danymi uzupełniającymi twoją f-zykę.**

**Nikt od dawna nie nazwał mnie fzykiem. Jestem nauczycielem, rybakiem i spawaczem nieszczelnych pojemników.**

**–Będzie mi ciebie brakowało, statku.**

**–Rozumiem – odparł i wydał dźwięk przypominający chrząknięcie. – Grając z Charlesem, powinienesz przestawić hetmana na QR6. Potem poświęcić pozostałego gońca za piona i zamatować przeciwnika, przesuając czarną wieżę.**

**–Dzięki. Spróbuję to zapamiętać.**

**–Będzie mi was brakowało – mówił dalej komputer. – Mam mnóstwo danych, które mogę obrabiać i zestawiać. Wystarczy mi zajęcia na długi czas. To jednak nie to samo, co nieustanny strumień rozproszonych informacji, który otrzymywałem od was.**

**–Żegnaj, statku.**

**–Żegnaj, Williamie.**

**W powietrzu unosiła się kolejka czekających na windę. Chwytnąjąc się rękami poręczy, wszedłem po schodach, czując się jak atleta. Zdałem sobie sprawę, że wpadłem w nastrój przypominający ten, który ogarniał mnie przed walką. Nagle coś, nad czym nie panowałem, postawiło mnie w sytuacji, z której miałem osiemdziesiąt procent szans ujść z życiem. Zamiast niepokoju, czułem dziwną rezygnację, a nawet zniecierpliwienie: skończmy z tym, tak czy inaczej.**

Czy miałem trzy kilogramy rzeczy, które chciałem zabrać z powrotem na Middle Finger? Stary album z obrazami Luwru, który wybrałem ze sterty ziemskich staroci, kiedy opuszczałem Stargate, lecąc na Middle Finger. Prawie nowy, tysiącletni zabytek. Nie ważył nawet kilograma. Zabrałem wygodne buty, na wypadek gdyby nie robili takich za czterdzieści tysięcy lat. Ponieważ jednak miały upłynąć zaledwie dwadzieścia cztery lata, Herschel Wyatt zapewne zdoła uszyć mi nowe.

Zastanawiałem się, kto rybaczy na moim jeziorze. Bo nie Bill. On na pewno będzie już w Centrusie, całkowicie zintegrowany z Człowiekiem. Do diabła, może nawet poleciał na Ziemię.

Może już nigdy go nie zobaczymy. Teraz odczuwałem to inaczej. Potrząsnąłem głową i cztery kropelki łez oderwały mi się od rzęs.

Marygay i ja, razem z resztą Rady, Dianą i Charliem, zczekaliśmy do końca. Ostatni statek ratunkowy był w połowie pusty, gdyż trzynaście osób postanowiło pozostać.

Ich rzeczniczką była Teresa Larson, która zdecydowała się zostać, chociaż jej żona Ami spała już na pokładzie drugiego statku. Ich córka Steel została z matką, a druga córka na Middle Finger.

–Ja nie widzę innego wyjścia – oznajmiła Teresa. – Bóg wysłał nas na tę pielgrzymkę, abyśmy wrócili i rozpoczęli wszystko od nowa. A teraz przerywa naszą podróż, aby poddać próbie naszą wiarę.

–Nie uda wam się zacząć od nowa – powiedziała Diana. – Macie dziesięć tysięcy zamrożonych próbek nasienia i jajeczek, ale nie wiecie, jak je rozmrozić i połączyć.

–Będziemy robić dzieci w tradycyjny sposób – odparła dzielnie. – Poza tym, będziemy mieli dość czasu na naukę. Dowiemy się wszystkiego.

–Na pewno nie. Umrzecie tu z głodu lub zimna. To nie Bóg zabrał tę antymaterię i to nie on wam ją odda.

Teresa uśmiechnęła się.

–Mówisz tak, ponieważ w to wierzysz. Wiesz tyle samo, co ja. A moja wiara jest równie dobra jak twoja.

Miałem ochotę mocno nią potrząsnąć. Prawdę mówiąc, miałem ochotę naszpikować je pociskami usypiającymi i nieprzytomne zapakować na statek. Jednak pozostali

**sprzeciwiali się temu, a Diana nie wiedziała, czy w takim stanie zdołałaby je odpowiednio podłączyć do aparatury hibernacyjnej.**

**–Będę modlić się za was wszystkich – powiedziała Teresa. – Mam nadzieję, że wszyscy przeżyjecie i będziecie szczęśliwi po powrocie do domu.**

**–Dziękujemy. – Marygay spojrzała na zegarek. – Teraz wróć do swoich ludzi i powiedz im, że o dziewiątej komputer pokładowy zamknie tę śluzę i wypuści statki. Do ósmej możemy jeszcze zabrać wszystkich, każdego z was. Potem będziecie musieli zostać tutaj i... mieć nadzieję.**

–Pójdę z tobą – zaproponowała Diana. – Spróbuję jeszcze raz przemówić im do rozumu.

–Nie – sprzeciwiła się Teresa. – Słyszeliśmy już twoje argumenty, a statek powtórzył je dwa razy. – Zwróciła się z powrotem do Marygay i powiedziała: – Przekażę im twoje słowa. Dziękujemy za troskę.

Odwróciła się i odpłynęła.

Była tylko jedno toaleta przystosowana do stanu nieważkości. Wyłonił się z niej Stephen Funk. Był bardzo blady.

–Twoja kolej, Williamie.

Środek smakował jak miód z dodatkiem terpentyny. I działał z siłą wodospadu. W szkole na zajęciach z antropologii czytaliśmy o pewnym afrykańskim plemieniu,

którego członkowie przez cały rok odżywiali się chlebem z serem i mlekiem. Raz w roku zarzynali krowę i obżerali się jej tłuszczem, ponieważ uważali biegunkę za dar bogów, oczyszczenie. Spodobałby im się ten środek. Nawet ja poczułem to katharsis. Prawdę mówiąc, czułem się tak, jakbym miał katar jelit. Oczyszcilem toaletę i opuściłem ją.

–Miłej zabawy, Charlie. To naprawdę poruszające doświadczenie.

Popłynąłem korytarzem i wgramoliłem się do ostatniego statku ratunkowego, z jego trzydziestoma trumnami stojącymi rzędem w słabym czerwonym świetle. Czy były ostatnią rzeczą, jaką zobaczę w życiu? Przychodziły mi na myśl przyjemniejsze widoki.

Diana pomogła mi podłączyć cewniki, posmarowane maścią ze środkiem rozkurczającym mięśnie. Poszło łatwiej niż poprzednim razem, kiedy wracałem z ostatniej bitwy. Pewnie nauczyli się czegoś przez tych kilka wieków.

Uklucie w nogę sprawiło, że zdrętwiała mi od pachwiny w dół. Wiedziałem, że to ostatni zastrzyk, zmieniający moją krew w nie krzepnący polimer.

–Chwileczkę – powiedziała Marygay, pochyliła się nad trumną, ujęła moją twarz w dłonie i pocałowała. – Zobaczymy się jutro, kochany.

Nie przychodziło mi do głowy nic, co mógłbym powiedzieć, więc tylko skinąłem głową, już zapadając w sen.





Nie wiedziałem, że pięć osób z grupy Teresy zmieniło zdanie i w ostatniej chwili wsiadło na nasz statek. Znajdowałem się już w tej dziwnej przestrzeni, w której miałem przebywać przez następne dwadzieścia cztery lata.

Wszystkie pięć statków wystrzelono z „Time Warp” jednocześnie, tak by mogły wrócić do domu w odstępach kilku dni lub tygodni. Nawet dziesięć – lub stumilionowe różnice mocy silników, pomnożone przez dwadzieścia cztery lata, mogły spowodować znaczny rozrzut czasów przybycia.

Skierowaliśmy dzioby statków w kierunku Middle Finger i przez dziesięć lat cierpliwie pożeraliśmy przestrzeń. W pewnym momencie, przez bardzo krótką chwilę, pozostawaliśmy zupełnie nieruchomo względem ojczystej planety. Potem przez siedem lat przyspieszaliśmy w jej kierunku, obróciliśmy statki i przez siedem następnych lat wytracaliśmy prędkość.

Oczywiście byłem tego nieświadomy. Czas szybko płynął – o wiele za szybko jak na okres niemal równy połowie mojego życia – ale wyczuwałem jego bieg. Nie byłem ani przytomny, ani nie spałem, tylko pływałem w czymś w rodzaju morza wspomnień i fantazji.

Przez wiele lat lub długich jak lata dni, obsesyjnie nawiedzała mnie myśl, że przez całe życie od czasu kampanii na Alephie-0, Yod-4, Tet-2 lub Sade-138, żyłem w obliczu śmierci lub kalectwa. Wszystkie te neurony pławiące się w ostatniej mikrosekundzie egzystencji, przekazujące skończoną, lecz ogromną liczbę możliwości. Nie będę żył wiecznie, lecz nie umrę naprawdę, dopóki neurony będą wysyłać i odbierać impulsy.

Przebudzenie przypominało śmierć – wszystko to, co tak długo było rzeczywistością, powoli znikało w mroku, ciszy i odrętwieniu, w jakim moje ciało przetrwało przez ponad dwie dekady.

Dławiłem się powietrzem.

Kiedy mój żołądek i płuca miały już tego dość, przez rurę w ustach napłynęło coś słodkiego i chłodnego. Usiłowałem otworzyć oczy, ale tampony przytrzymały powieki.

Dwa cudowne ukłucia bólu przy wyjmowaniu cewników i moim pierwszym ruchem – jeśli można to uznać za ruch – była słaba erekcja, wywołana żywszym obiegiem krwi. Przez jakiś czas nie mogłem poruszyć rękami ani nogami. Stawy palców dłoni i stóp uspokajająco trzeszczały, wracając do życia.

Diana zdjęła mi tampony z oczu i suchymi palcami rozchyliła powieki.

–Halo? Jest tam ktoś? Przełknąłem syrop i słabo zakaszlałem.

–Czy z Marygay wszystko w porządku? – wychrypiałem.

–Odpoczywa. Obudziłam ją przed chwilą. Ty jesteś drugi.

–Gdzie jesteście? Na miejscu?

–Tak, na miejscu. Kiedy zdołasz usiąść, zobaczysz poczciwą starą Middle Finger, wyglądającą jak cholernie zimna suka. – Napiąłem mięśnie, ale zdołałem tylko lekko drgnąć. – Nie przemęczaj się. Odpocznij chwilę. Kiedy poczujesz głód, dostaniesz trochę starej zupy.

–Ile statków dotarło?

–Nie wiem jak nawiązać z nimi łączność. Kiedy Marygay wstanie, ona lub ty spróbujecie się z nimi połączyć. Widzę jeden.

–A ilu ludzi? Czy straciliśmy kogoś podczas hibernacji?

–Jedna ofara. Leona. Nie rozmroziłam jej. Może nie wszyscy pozostali będą zupełnie sprawni, ale budzą się.

Zasnąłem na kilka godzin, a potem zbudził mnie cichy głos Marygay, płynący z głośnika. Usiadłem w mojej trumnie, a Diana przyniosła mi zupę. Smakowała jak słony wywar z marchewki.

Otworzyła boczną ściankę. Moje ubranie było tam, gdzie je zostawiłem, dwadzieścia cztery lata starsze, ale wciąż nadające się do noszenia. Ubierając się, musiałem kilkakrotnie odpoczywać, żeby przełknąć ślinę, i walczyć z mdłościami wywołanymi nieważkością. Nie było tak źle. Pamiętałem jak za pierwszym razem, jeszcze w szkole, byłem do niczego przez kilka dni. Teraz tylko przelykałem ślinę, aż zupa postanowiła zostać w żołądku, po czym skończyłem się ubierać i popłynąłem do Marygay.

Na pół unosiła się na fotelu pilota. Przypiąłem się pasami do sąsiedniego.

**–Kochanie.**

**Wyglądała okropnie, jednocześnie wychudła i napuchnięta, a widząc wyraz jej twarzy domyśliłem się, że ja wyglądam tak samo. Nachyliła się i pocałowała mnie. Smakowała marchewką.**

**–Nie jest dobrze – powiedziała. – Statek stracił kontakt z czwórką kilka lat temu. Dwójka z jakiegoś powodu przyleci tutaj dopiero za tydzień.**

**–Komputer uważa, że ci z czwórki nie żyją?**

**–Nie potrafię nic powiedzieć. – Przygryzła dolną wargę. – Możliwe. Eloi i Snellso-wie. Jeszcze nie sprawdziłam na liście, kto był na pokładzie.**

–Cat leci w dwójce – powiedziałem niepotrzebnie.

–Z nimi chyba wszystko w porządku. – Nacisnęła guzik. – Mamy inny problem. Nie możemy wywołać Centrusa.

–Kosmoportu?

–Tak, kosmoportu. Ani niczego innego.

–Awaria radia?

–Łączę się z dwoma naszymi statkami, ale one są blisko. Może to słabe zasilanie.

–Może. – Wcale tak nie myślałem. Jeśli radio działało, to wychwyciłoby nawet najbliższe sygnały. – Próbowalaś optycznego skanowania?

Gwałtownie pokręciła głową.

–Aparatura optyczna jest w czwórce. My mamy spermę, jajeczka i łopaty.

Oczywiście, masa bagażu była decydującym czynnikiem, więc wyposażenie musieliśmy rozdzielić między pięć statków, starając się zrobić to tak, aby utrata jednego nie groziła śmiercią załogom pozostałych.

–Kiedy włączyłam radio, złapałam jakiś słaby sygnał. Statek uważa, że to jeden z promów z Centrusa, na orbicie okołoziemskiej. Powinniśmy znów go usłyszeć za ja

kąś godzinę.

Znajdowaliśmy się na orbicie geostacjonarnej, w znacznej odległości od planety.

Spojrzałem na zimną białą kulę Middle Finger i przypomniałem sobie ciepłą Kalifornię. Gdybyśmy polecieeli na Ziemię przed dwudziestoma czterema – teraz ponad czterdziestoma ośmioma laty – byłoby ciepło i miło. Nie musielibyśmy się martwić o dzieci, ani oplakiwać ich.

Ktoś głośno wymiotował. Odpiąłem pochłaniacz próżniowy od oparcia fotela i popłynąłem na rufę, zając się tym.

Nie jest tak źle, jeśli szybko posprzątasz. Wymiotował Chance Delany, który wydawał się bardziej oszołomiony niż chory.

**–Przepraszam – powiedział. – Nie chciało mi przejść przez gardło.**

**–Na razie pij tylko wodę – poradziłem, wsysając kulki cieczy. Jakbym był w tych sprawach ekspertem.**

**Wyjaśniłem mu sytuację.**

**–Wielki Boże. Myślisz, że do głosu doszli ludzie od Matki Ziemi?**

**Mówił o takich jak Teresa.**

**–Nie. A nawet gdyby tak się stało, Człowiek nie pozwoliłby im zamknąć wszystkie go.**

**Po upływie godziny obudzili się wszyscy członkowie Rady – Sage, Steve i Anita. Marygay i ja wyglądaliśmy już prawie normalnie, skóra naszych twarzy napełniła się i wygładziła.**

**–W porządku – zaczęła Marygay, dotykając ekranu. – Znów mam ten sygnał. To rzeczywiście prom.**

–No cóż, ja jestem pilotem. Wsiądźmy do niego i zobaczymy, co się dzieje na dole.

Nie mogliśmy wylądować statkami ratunkowymi jakby były wielkimi promami

–a raczej mogliśmy, ale promieniowanie zabiłoby wszystkich ludzi i zwierzęta w promieniu kilku kilometrów.

–Zaczekajmy parę godzin, aż wszyscy dojdą do siebie. Na wszelki wypadek powinniśmy skorzystać ze zbiorników przeciwprzeciążeniowych.

–Widzisz go? – zapytała Anita.

–Jeszcze nie, ale on tam jest. Sygnał jest bardzo silny.

–Tylko jeden? – spytał Steve.

–Tak sędzę. Jeśli na orbicie znajduje się jeszcze jeden, to nie wysła żadnych sygnałów.

Przytrzymując się uchwytów, dotarła do miejsca, gdzie unosiliśmy się w powietrzu.

–Na wszelki wypadek powinniśmy sformować eskadrę i zbliżyć się w zwartym szyku.

–Dobrze – potwierdziłem. Nawet w kosmosie należy uważać, w którą stronę kieruje się twarde promieniowanie. Jeśli statki polecą obok siebie, będziemy bezpieczni.

–Czy jest ktoś na pokładzie promu? – zapytał Chance.

–Nikt nie odpowiada. Musieli widzieć, jak nadlatujemy. – Zbliżając się, byliśmy jaśniejsi od Alcora. – Może coś jest nie tak z naszym radiem. Jednak nie sędzę. Złapałam sygnał promu na tej częstotliwości, której używają.

Westchnęła i potrząsnęła głową.

–Lepiej miejmy nadzieję, że to radio – powiedziała cicho. – Nie odbieram niczego, na żadnej częstotliwości. Jakby...

–Przecież minęło zaledwie dwadzieścia cztery lata – przypomniał Steve. Anita dokończyła tę myśl.

–To za krótko, żeby powymierali.

**–Nie sądzę, że to musi długo trwać – rzekł Charlie – jeśli ktoś mocno nad tym popracuje.**

**–Wiecie co – podsunąłem – może wszyscy odlecieli.**

**–Czym? – Steve wskazał na puste niebo. – Zabraliśmy jedyny statek.**

**–Człowiek mówił, że tysiące ich parkuje w pobliżu Ziemi. Byłoby to ogromne przedsięwzięcie, ale w razie potrzeby mogliby ewakuować Middle Finger w ciągu roku.**

**–Jakaś katastrofa ekologiczna – spekulowała Marygay. – Jakaś mutacja, kaprysy pogody.**

**–Albo następna wojna – rzekł Charlie. – Nie z Taurańczykami. Mogli trafić się gorsi od nich.**

**–Wkrótce się dowiemy – przerwałem. – Pewnie zostawili wiadomość. Albo mnóstwo kości.**



Minęło dziesięć godzin, zanim podprowadziliśmy trzy statki w pobliże promu, przelatując trzysta kilometrów nad powierzchnią planety. Wszedłem do obszernego, uniwersalnego skafandra próżniowego i, niezgrabnie uściśnięty przez Marygay, zdołałem przelecieć od komory powietrznej do luku po zaledwie jednej nieudanej próbie.

Wskaźnik nad moim okiem informował, że powietrze we wnętrzu promu jest czyste, a temperatura niska lecz znośna, więc wygramoliłem się ze skafandra i wezwałem dwóch pozostałych. Postanowiłem zabrać ze sobą Charliego i – na wypadek gdyby było tam coś, co Człowiek potrafi zrozumieć lepiej od nas – szeryfa. Zabrałbym Antresa 906, gdyby zdołał wcisnąć się w kombinezon. Taurańczycy mogli zostawić napisaną Braille'em notatkę, głoszącą „Giń, nędzna ludzkości”, albo coś w tym stylu.

Zapytałem prom, co się tu dzieje, ale nie otrzymałem odpowiedzi. Nic dziwnego: nie trzeba wiele inteligencji, żeby utrzymać statek na orbicie. Jednak w normalnej sytuacji natychmiast połączyłby się z centrum na planecie, żeby odpowiedzieć na moje pytanie.

Niemal oczekiwałem murszejących szkieletów, tkwiących w pojemnikach przeciwprzeciążeniowych. Jednak nigdzie nie znalazłem żadnych śladów ludzkiej obecności, nie licząc kilku unoszących się w powietrzu skafandrów. Założyłem, że prom został wysłany pod kontrolą autopilota na orbitę.

Kiedy Charlie i szeryf dołączyli do mnie, usiedliśmy w fotelach i przypięliśmy się pasami, po czym wcisnąłem guzik polecenia „Powrót do Centrusa”. (No i tyle mi dały te tygodnie ćwiczeń na komputerowym symulatorze lotu). Prom odczekał dokładnie jednaście minut, a potem zaczął pod ostrym kątem schodzić w atmosferę.

Podlecieliśmy do niewielkiego kosmodromu od wschodu, nad przedmieściami Vendler i Greenmount. Była wczesna odwilż, tu i ówdzie jeszcze leżał śnieg. Słońce już wzeszło, ale z żadnego komina nie unosił się dym. Nigdzie nie było widać lataczy ani ludzi.

Kosmoport miał tylko dwa pasy biegnące prosto ze wschodu na zachód, oba ogrodzone wznoszącym się daleko na horyzoncie parkanem. Wcale nie z obawy przed ka-

tastrofą, choć może i to przyszło komuś do głowy. Ogrodzenie miało przede wszystkim chronić ludzi przed twardym promieniowaniem z dysz startującego promu.

Wylądowaliśmy gładko jak po sznurku. Wieża kontrolna nie odezwała się. Co dziwniejsze, żaden latacz nie pomknął nam na powitanie. Otworzyłem służbę powietrzną, z której wysunęły się lekkie schodki.

Przyciąganie ziemskie było jednocześnie przyjemne i męczące. Nasze skafandry nie były dostatecznie grube na ten wilgotny ziąb, więc wszyscy trzej dygotaliśmy – nawet genetycznie doskonały szeryf – zanim pokonaliśmy kilometrowy odcinek, dzielący nas od głównego budynku.

Wewnątrz było prawie równie zimno, ale przynajmniej nie wiało.

Pokoje były puste i zakurzone. Stwierdziliśmy, że w budynku nie było prądu. Nie zauważyliśmy też bałaganu świadczącego o pośpiechu, tylko kilka porzuczonych papierów i otwartych szufad. Żadnych śladów paniki czy przemocy – ani stosów ciał czy kości.

I żadnych wypisanych w kurzu komunikatów typu: „Strzeżcie się, kres jest bliski”. Jakby wszyscy wyszli na obiad i nie wrócili.

Tylko zostawili za sobą ubrania.

Na wszystkich korytarzach i przy większości biurek leżały bezładnie kupki odzieży, jakby każda z pracujących tu osób nagle stanęła, rozebrała się i poszła sobie. Rozpłaszczone na podłodze, sztywne i zakurzone, przeważnie zachowały swoje kolory i kształt. Garnitury i ubrania robocze, oraz kilka mundurów. Wszystkie ubrania razem z bielizną leżały na butach.

–To... – Charliemu chyba po raz pierwszy zabrakło słów.

–Przerażające – dokończyłem. – Zastanawiam się, czy tak jest tylko tutaj, czy też wszędzie.

–Myślę, że wszędzie – powiedział szeryf i przykucnął. Po chwili wstał, trzymając w palcach gruby pierścień z diamentem, najwidoczniej antyk z Ziemi. – Nie było tu żadnych rabusiów.

Tajemnica tajemnicą, ale wszyscy byliśmy głodni, więc poszukaliśmy bufetu.

**Nie zaglądaliśmy do lodówki i zamrażalnika, tylko znaleźliśmy spiżarnię z konserwowanymi owocami, mięsem i rybami. Po szybkim posiłku rozdzieliliśmy się, żeby przeszukać cały budynek. Mieliśmy nadzieję, że odkryjemy jakąś wskazówkę świadczącą o tym, od jak dawna to miejsce stało opuszczone i co się tu stało.**

**Szeryf znalazł pożółkłą gazetę z datą 14 galileusza 128.**

**–Mogliśmy się domyślić – powiedział. – Uwzględniając dylatację czasu, stało się to tego samego dnia, kiedy wyruszyliśmy z powrotem.**

**–A zatem znikli mniej więcej wtedy, kiedy wyparowała nasza antymateria.**

**Mój zegarek zapiszczał, przypominając, że za chwilę Marygay przeleci nad kosmodromem. We trzech ledwie zdołaliśmy otworzyć awaryjne drzwi.**

Niebo było lekko zamglone, inaczej moglibyśmy dostrzec statki ratunkowe jako trzy znajdujące się blisko siebie białe punkciki, przesuujące się po nieboskłonie.

Nawiązaliśmy łączność tylko na kilka minut, ale nie mieliśmy wiele do powiedzenia.

–Dwa niewytłumaczalne wydarzenia dziejące się równocześnie, prawie na pewno mają tę samą przyczynę.

Powiedziała, że będą nadal prowadzić obserwacje z orbity. Nie mieli porządnej aparatury badawczej, ale w trójce znaleźli dobrą lornetę. Widzieli nasz prom i bruzdę, którą wyorał w śniegu podczas lądowania, jak również drugi prom, schowany przed chroniącym go od śniegu pokrowcem.

Statki ratunkowe będą musiały lądować pionowo, więc lepiej by w promieniu kilku kilometrów od miejsca ich lądowania nie było nikogo żywego – gdyż w przeciwnym wypadku i tak nikt tam nie przeżyje. Promieniowanie gamma naszego promu było ponad stukrotnie słabsze od tego, które emitowały silniki większych statków.

Wszystko wskazywało na to, że ten problem mamy z głowy.

Gdyby w mieście nadal byli ludzie, musielibyśmy wyjechać poza jego granice i znaleźć awaryjne lądowisko, dostatecznie duże i płaskie. Przychodziło mi do głowy kilka farm, które chętnie wykorzystałbym w tym celu, choćby ze względu na związane z nimi wspomnienia.

W szatni w piwnicy znaleźliśmy zimową odzież: jasnopomarańczowe kombinezony, lekkie i śliskie w dotyku, jak naoliwione. Wiedziałem, że to nie olej tylko jakiś specjalny polimer wiążący milimetrową warstwę powietrza, a mimo to sprawiały wrażenie śliskich.

Wbrew rozsądkowi mając nadzieję, poszliśmy do garażu, lecz akumulatory wszystkich pojazdów były wyczerpane. Szeryf przypomniał sobie o pojeździe ratunkowym, który znaleźliśmy zaparkowany na zewnątrz. Przeznaczony do działań w sytuacjach awaryjnych, był zasilany własnym reaktorem plutonowym.

Pojazd miał upiornie wesoły kolor i wyglądał jak jaskrawożółty, gigantyczny reso-rak. Był przeznaczony do zwalczania pożarów, zdalnie sterowanych akcji ratunkowych i natychmiastowej pomocy medycznej. W środku było dość miejsca na sześć par noszy oraz dla zajmujących się rannymi pielęgniarek i lekarzy. Mieliśmy kłopoty z wejściem, gdyż lód zablokował drzwi. Wzięliśmy z garażu parę wkrętaków i, odłupawszy lód, dostaliśmy się do środka.

**Światła rozbłysły zaraz po otwarciu drzwi – dobry znak. Włączyliśmy rozmrażanie na pełną moc i rozejrzeliśmy się wokół. Pojazd nadawał się na ruchomą bazę operacyjną i, dopóki nie wyczerpie się paliwo plutonowe, będzie bardzo przydatny, kiedy wylądują tu nasze statki ratunkowe.**

Wskaźnik „pozostałego czasu działania” pokazywał 11 245. Zastanawiałem się, jak to rozumieć, ponieważ pojazd niewątpliwie zużywał więcej energii, pnąc się pod górę, niż stojąc beczynn timer z włączonymi światłami.

Kiedy przednia szyba odtajała, szeryf usiadł za sterami. Charlie i ja przypięliśmy się pasami do dwóch twardych foteli za nim.

–Kiedyś kodem dostępu pojazdów ratowniczych było pięć-sześć-siedem – odezwał się. – Jeśli to nie zadziała, będziemy musieli znaleźć jakiś sposób, żeby obejść za bezpieczeństwo.

Wystukał te liczby na klawiaturze i za swoje wysiłki został nagrodzony dźwiękowym sygnałem.

–Cel? – zapytał pojazd.

–Ręczne sterowanie – odparł szeryf.

–Przejmij stery. Jedź ostrożnie. Przesunął dźwignikę na „do przodu” i elektryczny silnik zaskomlił, przechodząc

w coraz głośniejsze i bardziej piskliwe wycie, aż wreszcie wszystkie sześć kół z uspokajającym chrzęstem uwolniło się z lodu. Pojazd skoczył naprzód i szeryf ostrożnie skierował go do bramy wyjazdowej kosmoportu, a potem drogą do miasta.

Gąbczasty metal opon tarł niczym papier ścierny o oblodzoną nawierzchnię szosy. Mój zegarek zapiszczał i przystanęliśmy na chwilę. Wyszedłem na zewnątrz i złożyłem Marygay raport o dotychczasowych wynikach rekonesansu.

Po tej stronie miasta nie było przedmieść – w pobliżu kosmoportu nie wolno było stawiać żadnych budynków. Kiedy przejechaliśmy pięciokilometrową strefę bezpieczeństwa, znaleźliśmy się w mieście.

Była to interesująca część Centrusa. Stały tu najstarsze budowle na planecie, kanciaste i mocno osadzone w ziemi pudła ze zrobionymi z bali okiennicami oraz framugami. Przytłaczały je ceglane domy następnego pokolenia pionierów, dwu – i trzypiętrowe.

Jeden z tych starych domów miał otwarte na oścież drzwi zwisające na jednym zawiasie. Zatrzymaliśmy pojazd i wysiedliśmy, żeby rzucić okiem. Usłyszałem cichy

trzask odpinanej przez szeryfa kabury. Miałem ochotę zapytać, co u diabła spodziewa się tam zastać, a jednocześnie poczułem się odrobinę pewniej.

Przez brudne szyby wpadało mętne światło, ukazując okropny widok: podłoga była zasłana kośćmi. Szeryf trącił kilka czubkiem buta, a potem przykucnął i przyjrzał się im. Podniósł jedną długą piszczel.

–To nie są kości Człowieka ani ludzi. – Odrzucił ją i pogrzebał w stosie gnatów. –  
Psie i kocie.

–Budynek z otwartymi drzwiami był dla nich jedynym schronieniem w czasie zimy –  
powiedziałem.

–I jedynym źródłem pożywienia – dodał Charlie. – Terenem łowieckim.

Sprowadziliśmy tutaj psy i koty, wiedząc, że przez większą część roku będą zależnymi od naszej łaski pasożytami. Były ogniwem łączącym nas z łańcuchem życia, które zaczęło się na Ziemi.

I zakończyło tutaj? Nagle zapragnąłem jak najszybciej znaleźć się w mieście.

–Niczego tu nie znajdziemy. – Szeryf też tak uważał. Wstał i otarł dłonie o śliski kombinezon. – Ruszajmy.

Ciekawe, że instynktownie uznał we mnie dowódcę, kiedy sprowadzałem prom z orbity, natomiast teraz to on kierował – zarówno dosłownie, jak i w przenośni.

Gdy słońce weszło wyżej, jechaliśmy główną ulicą, omijając porzucone pojazdy. Droga i chodniki były w bardzo złym stanie. Podskakiwaliśmy na wyboistym morzu lodowych bruzd.

Samochody i latacze nie stały zaparkowane na poboczach, ale zbite w całe gromady, głównie na skrzyżowaniach. W granicach miasta ludzie wyłączali automatyczne sterowanie, więc po zniknięciu kierowców pojazdy jechały dalej, dopóki nie uderzyły w jakąś przeszkodę.

Większość domów miała nie zasłonięte okna. To również nie było pocieszające. Kto wybiera się w długą podróż, wystawiając wewnątrz na działanie słońca? Pewnie ci sami ludzie, którzy zostawiają latacze na środku ulicy.

–Może po prostu zatrzymamy się i sprawdzimy jakieś miejsce, w którym nie leżą sterty psich kości – zaproponował Charlie.

Wyglądało na to, że myśli to samo co ja: czas wynieść się z tej rozkołysanej łodzi.

Szeryf skinął głową i przystanął przy krawężniku, na wypadek nagłego nasilenia ruchu. Wysiedliśmy i, uzbrojeni w wielkie śrubokręty do wyważania zamków, weszliśmy do najbliższego budynku – dwupiętrowej kamienicy.

Drzwi do pierwszego mieszkania po prawej nie były zamknięte.

–Tu mieszkał Człowiek – oznajmił lekko wzburzony szeryf. Większość z nich nigdy nie zamykała swoich mieszkań.

Wnętrze było urządzone funkcjonalnie i skromnie, prawie spartańsko. Kilka



**drewnianych, nie wyściełanych mebli. W jednym z pokoi stało pięć łóżek z drewnianymi wałkami, których używali zamiast poduszek.**

**Zastanawiałem się – nie po raz pierwszy – czy mieli gdzieś pochowane poduszki do uprawiania seksu. Te deski z pewnością uwierały w plecy i kolana. I czy pozostałe półtorej pary obserwowało kochającą się parę? Dorośli osobnicy Człowieka zawsze mieszkali w pięcioosobowych grupkach, a dzieci w internatach.**

**Może wszyscy razem uprawiali seks, co trzeci dzień. Nie widzieli żadnej różnicy pomiędzy homo a hetero.**

**W mieszkaniu nie było ozdób, tak samo jak w taurańskich komórkach. Dzieła sztuki powinny znajdować się w miejscach publicznych, tam gdzie wszyscy mogą je podziwiać. Człowiek nie przechowuje pamiątek i niczego nie zbiera.**

Na każdej poziomej powierzchni zalegała gruba warstwa kurzu. Obaj z Charliem kichnęliśmy. Szeryfowi widocznie brakowało odpowiedniego genu.

–Może uda nam się więcej wywnioskować, kiedy zobaczymy mieszkanie ludzi – powiedziałem. – Większy bałagan, więcej poszlak.

–Oczywiście – przytaknął szeryf. – Jestem pewien, że wszystkie pozostałe należały do ludzi.

Nie chcąc wystawiać na próbę naszej cierpliwości, osobnicy Człowieka równomiernie rozproszyli się po całym mieście.

Następne mieszkanie było zamknięte, tak samo jak siedem innych na tym piętrze. Nie udało nam się otworzyć ich śrubokrętami.

–Mógłbyś przestrzelić zamek – poradził Charlie.

–To niebezpieczne. I mam tylko dwadzieścia nabojów.

–Nie wiem dlaczego – oświadczyłem – ale sądzę, że na posterunku leżą ich całe stosy.

–Wyjdźmy na zewnątrz i wybijmy szybę – rzekł.

Wyszliśmy na opustoszałą ulicę. Szeryf podniósł luźny brukowiec wielkości pięści

i wycelował. Nieźle miotał jak na kogoś, kto pewnie nigdy nie grał w rugby. Kamień odbił się od szyby, pozostawiając na niej gwiazdziste pęknięcie. Charliemu i mnie nie powiodło się lepiej. Po kilku próbach okno prawie zupełnie zmatowiało od siatki pęknięć, ale wciąż się trzymało.

–Cóż...

Szeryf wyjął z kabury pistolet, wycelował go w środek okna i wystrzelił. Strzał huknął zaskakująco głośno i odbił się echem po ulicy. Pocisk pozostawił w popękany szkło dziurę wielkości pięści. Szeryf wymierzył metr w prawo i ponownie wystrzelił. Prawie cała szyba osypała się z donośnym trzaskiem.

Znów nadeszła pora nawiązania łączności, więc odpoczywaliśmy kilka minut, podczas których przekazywałem Marygay sumaryczny raport z naszych niepokojących obserwacji. Zgodnie postanowiliśmy zaczekać z lądowaniem aż dowiemy się czegoś więcej. Ponadto ostatni budzeni ludzie byli jeszcze zbyt słabi, by narażać ich na stres związany z lądowaniem.

**Nie musieliśmy usuwać fragmentów, które wciąż trzymały się szkieletu ramy. Zdołałem sięgnąć ręką i odsunąć rygiel. Okno otworzyło się na oścież, tworząc szerokie, choć niewygodne wejście. Szeryf i Charlie podsadzili mnie, a potem razem ciągnęliśmy i popychaliśmy, aż wszyscy znaleźliśmy się w środku. Dopiero wtedy przyszło mi do głowy, że mogłem przecież pójść i otworzyć drzwi od wewnątrz.**

**W mieszkaniu panował bałagan, zanim jeszcze zaczęliśmy je przetrząsać. Te mieszczuchy. Wszędzie w pokoju zalegały sterty książek, przeważnie z pieczętkami uniwersyteckiej biblioteki, wskazującymi na przekroczone o osiem miejscowych lat termin zwrotu.**

Spojrzałem na wiszący na ścianie dyplom i trochę się zdziwiłem. Mieszkająca tu kobieta, Roberta Moore, była matematyczką i kiedyś odwiedziła Paxton, aby namawiać dwoje moich uczniów do podjęcia studiów w Centrusie. Potem we czworo zjedliśmy obiad.

–Mały jest ten świat – zauważył Charlie, lecz szeryf przypomniał, że zapewne zna  
 liśmy wielu miejscowych mieszkańców dlatego, że obaj wykładaliśmy, a w pobliżu  
 znaj

dował się uniwersytet. Mógłbym spierać się z logiką takiego rozumowania, ale w  
 ciągu

wielu lat życia nauczyłem się znajdować lepsze sposoby marnowania czasu.

Wszędzie kurz i pajęczyny. Cztery duże obrazy olejne na ścianie, na oko niezbyt  
 dobre. Jeden, znacznie lepiej wyglądający z dziurą po kuli, był podpisany: „Dla  
 kochanej cioci Rób”, co prawdopodobnie wyjaśniało obecność wszystkich czterech.

Bałagan w pokoju wyglądał na naturalny. Gdyby nie pajęczyny i kurz, byłaby to  
 typowa nora samotnie mieszkającego naukowca.

Najwidoczniej kobieta znajdowała się w kuchni, kiedy stało się to coś, co się  
 wydarzyło. Stał tam mały drewniany stół i dwa krzesła – jedno obciążone stertą  
 książek i czasopism. Talerz z jakimiś niezidentyfikowanymi resztkami, które być może  
 mogłyby naprowadzić nas na ślad. Poza tym w kuchni panował porządek, w  
 przeciwieństwie do pokoju: wszystkie naczynia były umyte i pochowane. Na środku  
 stołu stała porcelanowa waza z kilkoma kruchymi, brązowymi patyczkami. Cokolwiek  
 się tu stało, miało miejsce w trakcie posiłku i lokatorka nie miała czasu lub ochoty,  
 by go dokończyć i posprzątać. Żadnej odzieży na podłodze, ale mieszkająca  
 samotnie osoba nie musi ubierać się do jedzenia.

Jej ubranie leżało na starannie zasłanym łóżku, nakrytym kapą, która pod warstwą  
 kurzu miała ciemnoczerwony kolor. Dwa obrazy pędzla tego samego artysty  
 spoglądały na siebie, umieszczone na samym środku dwóch przeciwległych ścian.  
 Komódka miała trzy szufady. W środku były bluzki, spodnie i bielizna, starannie  
 złożone i poukładane. W szafie znaleźliśmy dwie puste walizki.

–Cóż, nie spakowała się – zauważył Charlie.

–Nie miała czasu. Zaczekajcie, sprawdzę coś.

**Wróciłem do kuchni i znalazłem widelec, którym jadła, leżący na podłodze tuż obok krzesła.**

**–Spójrzcie na to. – Pokazałem im widelec, w którego zębach tkwiły jakieś zaschnięte resztki. – Sądzę, że to wydarzyło się niespodziewanie. Po prostu znikła między jednym kęsem a drugim.**

**–Nasza antymateria znikła powoli – przypomniał szeryf. – Jeśli chcemy szukać podobieństw.**

**–Ty jesteś fizykiem – oznajmił Charlie. – Co sprawia, że obiekty znikają?**

–Kolapsary. Jednak pojawiają się w innym miejscu. – Pokręciłem głową. – Przedmioty nie znikają. Tak może się wydawać, ale po prostu przechodzą w inną formę lub miejsce. Cząsteczka materii i antymaterii niszczą się wzajemnie, ale nadal istnieją – w formie wytworzonych fotonów. Nawet coś, co pozornie znika, nie całkiem przestaje istnieć.

–Może to zostało zainscenizowane specjalnie dla nas – zasugerował szeryf.

–Co? Dlaczego?

–Nie mam pojęcia dlaczego. Jednak wydaje mi się to jedynym możliwym wyjaśnieniem. Było dość dużo czasu, żeby wszystko przygotować.

–Zażartujmy sobie z tych renegatów – rzekł Charlie z przesadnym miejskim akcentem. – Niech wszyscy upozorują nasze zniknięcie czternastego galileusza sto dwudziestego ósmego roku. Zostawcie swoje ubrania i nago odejdźcie na palcach. Tymczasem my wyssiemy antymaterię z „Time Warp” i zmusimy ich do powrotu.

–A potem wyskoczymy z kryjówki.

Szeryf rozzłościł się.

–Wcale nie twierdzę, że to rozsądne wyjaśnienie. Po prostu mówię, że na razie żadna inna teoria nie pasuje do dowodów.

–Zatem znajdziemy więcej tych dowodów. – Machnąłem ręką. – Wychodzimy przez okno, czy przez drzwi?

## 21

Zanim zapadł zmrok, przeprowadziłem kilka rozmów z Marygay. Zmieniali się przy lornecie, lecz nie dostrzegli żadnych śladów życia oprócz tych, które my pozostawiliśmy w śniegu. Jednak nawet i te były ledwie widoczne dla najbystrzejszych obserwatorów, którzy dokładnie wiedzieli, czego mają szukać, gdyż lorneta dawała tylko piętnastokrotne powiększenie. Tak więc teoretycznie mogły się tu gdzieś kryć tysiące ludzi.

Było to jednak mało prawdopodobne w świetle tego, co zastaliśmy i czego nie znaleźliśmy. Wszystko wskazywało, że zdarzyło się coś nieprawdopodobnego: o 12:28 w południe, 14 galileusza 128 roku wszyscy ludzie, każdy Człowiek i

**Taurańczyk rozplynęli się w powietrzu.**

**Dokładny czas ustaliliśmy w oparciu o jedną poszlakę: stojący zegarek znaleziony na podłodze warsztatu, w którym było pełno takich ciekawostek. Obok nie chodzącego zegarka leżało ubranie.**

**Kiedy dojeżdżaliśmy do centrum miasta już zaczynało się ściemniać, więc postanowiliśmy odłożyć dalsze poszukiwania do następnego dnia. Byliśmy śmiertelnie zmęczeni i zdołaliśmy utrzymać otwarte powieki jeszcze tylko przez chwilę, wystarczającą na spożycie kolacji złożonej z różnych konserwowych produktów, popitych wodą ze stopionego śniegu. W kuchni Roberta był barek z winem, ale nie wzięliśmy ani butelki, nie chcąc okradać zaginionej.**

**Opadliśmy z Charliem na ruchome nosze, czy też stoły operacyjne z tyłu pojazdu. Udało nam się znaleźć nawet jakieś nadmuchiwane poduszki. Szeryf położył się na podłodze, oparłszy głowę na drewnianym klocek, który znalazł na ulicy.**

**Wstał o poranku, wyraźnie zmarznięty, i zbudził nas, włączając ogrzewanie. Przez kilka minut niemrawo narzekaliśmy na brak herbaty, którą moglibyśmy popić zimną wędzoną rybą i owoce. Musielibyśmy włamać się do jakiegoś domu po przybory i herbatę, a potem rozpalić ogień. Byłoby to łatwe w Paxton, gdzie w każdym domu był praktyczny kominek. W Centrusie było centralne ogrzewanie i przepisy o ochronie powietrza.**

Nagle zapragnąłem wrócić do Paxton, częściowo wiedziony ciekawością, a trochę irracjonalną nadzieją, że ta dziwna plaga nie objęła całej planety i mój dom będzie takim samym miejscem, jakie opuściłem dwa miesiące, czy też dwadzieścia cztery lata temu. I że zastanę tam Billa, urażonego ale poza tym niezmiennego.

Zobaczyliśmy trzy statki dryfujące po niebie z zachodu – słabe złociste gwiazdy w półmroku. Włączyłem radio, ale nic nie nadawali – milczeli, najwidoczniej spali.

Miałem nadzieję. Tu i teraz wszystko mogło się zdarzyć.

Szeryf chciał najpierw zajrzeć na posterunek. Był to jedyny budynek w Centrusie, który dobrze znał, więc jeśli na wyższych szczeblach władzy spodziewano się niebezpieczeństwa, to mógł znaleźć tam jakieś dowody. Nie sprzeciwialiśmy się. Ja najbardziej pragnąłem dostać się do centrum łączności, skąd mógłbym połączyć się z Ziemią, lecz to mogło poczekać.

Posterunek policji zajmuje połowę budynku organu sprawiedliwości – trzypiętrowego przeszklonego monolitu. We wschodniej połowie znajdują się sale sądowe, w zachodniej policja. Podjechaliśmy do zachodnich drzwi i weszliśmy do środka.

Wewnątrz było bardzo ciemno, więc przystanęliśmy na chwilę, żeby oswoić oczy z ciemnością. Ściana okienna była ustawiona na minimalną polaryzację, lecz mimo to przepuszczała zaledwie odrobinę szarego światła przedświt.

Bramka bezpieczeństwa pozostała otwarta pomimo trzymanego przez szeryfa pistoletu i naszych potencjalnie śmiertelnych śrubokrętów. Podeszliśmy do biurka ofce-ra dyżurnego, gdzie obróciłem książkę i poświęciłem na nią kieszonkową latarkę.

–Dwunasta dwadzieścia pięć, ostatni wpis. Nieprawidłowe parkowanie.

Przed biurkiem leżało cywilne ubranie i buty, za nim mundur sierżanta. Pewnie o 12:28 klócili się o mandat. Sierżant marzył, żeby natręt zniknął i pozwolił mu pójść na obiad. No cóż, to życzenie spełniło się tylko połowicznie.

Szeryf przeprowadził nas na drugi koniec rozległego pomieszczenia, obok mnóstwa pooddzielanych przepierzeniami pokoików. Niektóre były zwyczajnymi szarymi lub zielonymi pudłami, inne zdobiły zdjęcia i hologramy. W jednym z nich wpadające przez okno pierwsze światło dnia oświetliło żywe barwy bukietu sztucznych kwiatów.

Poszliśmy do sali odpraw, gdzie rano zbierali się wszyscy funkcjonariusze, aby



**zapoznać się z planem dnia. Gdyby na tablicy widniał napis „12:28 – zrzucić ciuchy i wsiąść do autobusu”, wyjaśniłaby się przynajmniej część zagadki.**

**W sali odpraw około osiemdziesiąt składanych krzesełek stało w równych rzędach, przed drewnianą tablicą, na której wciąż widniał jakiś napis. Był zaszyfrowany, ale szeryf odczytał ten ciąg liter i znaków. Wiadomość „Dzisiejsi jubilaci: Lockney i Newsome” zapewne nie miała żadnego ukrytego znaczenia.**

**Ruszyliśmy na poszukiwanie naboju do pistoletu, lecz w większości pomieszczeń nie było żadnej broni – albo znajdowała się znacznie nowocześniejsza, bezużyteczna bez**

źródła zasilania. W końcu znaleźliśmy magazyn z uchylonymi podwójnymi drzwiami. Zapytałem, czy nadal nazywają je holenderskimi, a szeryf zaprzeczył, mówiąc, że z jakiegoś powodu mówią na nie „rządowe”. (Zawsze miałem problemy językowe, ponieważ tak wiele słów brzmi identycznie jak angielskie, mając zupełnie inne znaczenie).

W magazynie było tyle amunicji, że nie zdołalibyśmy wywieźć jej taczka. Wzięliśmy z Charliem po jednej ciężkiej skrzynce, chociaż nie miałem pojęcia, do czego zamierza strzelać.

Szeryf wziął cztery skrzynki i kiedy nieśliśmy je do pojazdu, odpowiedział na moje nie zadane pytanie.

–Wiesz co – rzekł – to wygląda na skutki działania jakiejś idealnej broni. Takiej, która zabija ludzi, a zostawia nietknięte przedmioty.

–Mieli coś takiego w dwudziestym wieku – powiedziałem. – Bomba neutronowa.

–Powodowała, że ludzie znikali?

–Nie, ciałami trzeba było się zająć. Prawdę mówiąc, sądzę, że napromieniowanie nawet przez pewien czas powstrzymywało proces rozkładu. Nigdy nie została użyta.

–Naprawdę? A można by pomyśleć, że powinni wyposażyć w nią wszystkie posterunki policji.

Charlie roześmiał się.

–To rzeczywiście załatwiłoby sprawę. Te bomby były skonstruowane tak, aby zabijać całe miasta.

–Całe miasta? – szeryf pokręcił głową. – A wy uważacie, że to my jesteśmy dziwni.

Wróciliśmy w porę, żeby nawiązać łączność z Marygay. Powiedziała, że przy następnym okrążeniu schodzą z orbity i lądują, więc powinniśmy odjechać jak najdalej od ko-smoportu i znaleźć sobie porządną osłonę.

Postanowili nie czekać na pozostałych. Wydarzyło się zbyt wiele dziwnych rzeczy. Zniknięcie antymaterii było nie mniej i nie bardziej zagadkowe od tego, co tutaj widzieliśmy, więc równie dobrze mogło się powtórzyć na statkach ratunkowych i uwięzić je na orbicie.

Byłem pewien, że lądowanie będzie nieziemsko pięknym spektaklem. Widywałem już z bezpiecznej – albo prawie bezpiecznej – odległości pracujące silniki fotonowe. Jaśniejsze niż słońce, upiornie purpurowe.

Nie byliśmy pewni jak gruba osłona będzie wystarczająca, więc w wyznaczonym czasie przezornie zeszliśmy na drugi poziom piwnic w budynku wymiaru sprawiedliwości.

Promień latarki ukazał równe rzędy dokumentów i regał starych książek prawniczych z Ziemi, w większości po angielsku. Za zamkniętą żelazną kratą stał inny regał z setkami butelek wina. Niektóre miały etykiety sprzed czterdziestu lat – mierzonych według kalendarza Middle Finger.

Szarpnąłem kratę, która otworzyła się z cichym szcękaniem. Na chybił trafił wybrałem trzy butelki. Szeryf protestował, mówiąc, że nie pije wina. Powiedziałem mu, że ja już do nikogo nie strzelam, ale nosiłem mu tę cholerną amunicję.

Rozległ się potrójny huk towarzyszący przejściu przez barierę dźwięku, wyraźnie słyszalny nawet w podziemiu, w którym się znajdowaliśmy, a potem przeciągły trzask, przypominający odgłos dartych prześcieradeł. Gdy tylko ucichł, wbiegłem po schodach na górę.

Zasapany z wysiłku, od którego najwidoczniej odwykłem, zwoleń do galopu, którym przemknąłem przez pusty budynek i drzwi.

Stojąc na środku głównej ulicy, widziałem na horyzoncie trzy złote igły statków.

Przez szum wywołany wtórnym promieniowaniem ledwie dosłyszałem głos Marygay.

–Lądowanie przebiegło bezawaryjnie – poinformowała. – Chociaż część ładunku zerwała się i latała po ładowniach.

–Jak szybko możecie wysiąść? – krzyknąłem.

–Nie musisz wrzeszczeć! Może za godzinę. Do tego czasu nie podchodźcie za blisko.

Przez ten czas załadowaliśmy do pojazdu ratowniczego dziewięćdziesiąt ocieplanych kombinezonów z policyjnego magazynu. Lepiej się spocić, niż zamarznąć. Ponadto wziąłem też kilka pudeł żywności ze sklepu spożywczego po drugiej stronie ulicy.

Przez kilka następnych lat będziemy mieli co jeść – chyba że nagle pojawią się wszyscy mieszkańcy, nadzy i głodni. A także wkurzeni. Jeśli już zdarzył się jeden cud czy dwa – wliczywszy zniknięcie antymaterii – to czego możemy oczekiwać jutro?

Najwidoczniej szeryf też tak uważał. Kiedy skończyliśmy ładować ubrania, żywność oraz kilka dodatkowych butelek wina – bo jedną na dziesięć osób uznałem za zdecydowanie niewystarczającą ilość – powiedział:

–Musimy porozmawiać z Antresem 906.

–O czym?

–O tym. Nigdy nie rozumiałem taurańskiego poczucia humoru. Jednak wcale bym się nie zdziwił, gdyby to oni demonstrowali nam w ten sposób działanie nowo odkrytego prawa fizyki.

–Jasne. Zabijając mieszkańców całej planety.

–Nie mamy pewności, że oni nie żyją. Dopóki nie ma zwłok, mówimy o zaginionych.

Nie wiedziałem czy żartuje, czy naprawdę zgrywa gliniarza. Może uderzył mu do głowy pobyt na posterunku policji w dużym mieście.

W jednej z licznych szufad pojazdu, oznakowanych tylko cyframi, znaleźliśmy licznik promieniowania. W dziennym świetle nie wymagał zasilania. Skierowałem go w stronę statków i igła lekko drgnęła, zatrzymując się spory kawałek przed czerwonym obszarem z napisem „Opuść teren”.

–No i co? Jedźmy.

–Prawo odwrotności kwadratów – mruknąłem. – Jeśli podjedziemy na odległość choć pół klika, usmażymy się jak frytki.

Oczywiście tylko zgadywałem. Nie znałem się na wtórnym promieniowaniu. Włączyłem radiostację.

–Marygay, czy pytałaś statek, kiedy będziecie mogli go opuścić?

**–Chwileczkę. – Przez szum zakłóceń usłyszałem niewyraźny głos. – Mówi, że za pięćdziesiąt osiem minut.**

**–W porządku. Mniej więcej wtedy się tam spotkamy. – Skinąłem na Charliego i szeryfa. – Możemy ruszać, ale musimy pilnować licznika.**

**Powrót był znacznie łatwiejszy niż jazda w przeciwną stronę. Przejechaliśmy przez rów, a potem ruszyliśmy po równej warstwie stwardniałej gliny wzdłuż wyboistej drogi. Przez piętnaście minut czekaliśmy w bezpiecznej, dwukilometrowej odległości od statków, patrząc jak wskazówka licznika powoli opada.**

Co robić z dziewięćdziesięcioma lub stu pięćdziesięcioma ludźmi? Żywność znajdziemy bez trudu, a kwatery to tylko kwestia wyłamania zamków. Jednak prawdziwym problemem będzie woda.

Szeryf zaproponował, aby wykorzystać uniwersytet. Były tam akademiki, a przez środek terenu przepływała rzeka. Pomyślałem, że może nawet udałoby nam się tam znaleźć źródło energii elektrycznej. Przypomniałem sobie, że niedaleko miasteczka uniwersyteckiego widziałem całe pole kolektorów słonecznych i zastanawiałem się, po co je tam umieszczono: jako pomoce naukowe, w celach badawczych czy jako zapasowe źródło zasilania.

Nasz pojazd właśnie wjeżdżał na kosmodrom, gdy ze statku Marygay zaczęła wysuwać się pochylnia rozładunkowa. Ludzie schodzili po niej, powoli i ostrożnie, pięcioosobowymi grupkami, gdyż taka była pojemność windy, zwożącej ich z kabin i sterowni.

Kiedy w ostatniej grupce zobaczyłem Marygay, odetchnąłem z ulgą i zdałem sobie sprawę z tego, jaki byłem spięty, od kiedy braliśmy pod uwagę, że mogli pozostać uwięzieni na orbicie. Wyszedłem jej na spotkanie i wziąłem w ramiona.

Z pozostałych dwóch statków też wysiadali ludzie i tłoczyli się wokół pojazdu ratowniczego, przymierzając kombinezony ocieplające i trajkocząc z ożywieniem, rozładowując napięcie i dając upust radości z powrotu. Wprawdzie dla nas upłynęło zaledwie parę miesięcy, a mimo to jakoś wyczuwało się te dwadzieścia cztery lata, które tutaj minęły.

Rzecz jasna wszyscy wiedzieli, co zastaliśmy – a raczej kogo nie znaleźliśmy – na planecie, więc byli zaniepokojeni i ciekawi. Uniknąłem pytań, umykając z Marygay „na naradę”. Kiedy wszyscy wysiedli i ubrali ciepłe okrycia, zszedłem do połowy pochylni i pomachałem rękami, prosząc o uwagę.

–Postanowiliśmy założyć tymczasową bazę w uniwersytecie. Na razie ten ambulans jest jedynym sprawnym pojazdem. Może zabrać dwanaście osób. Pozostali niech wejdą do budynku, chroniąc się przed wiatrem.

Najpierw wysłaliśmy największych i najsilniejszych, żeby mogli wziąć się do roboty i wyważyć drzwi do pokojów w akademiku. Charlie i ja zaprowadziliśmy pozostałych do bufetu, gdzie zjedliśmy pierwszy posiłek po powrocie na planetę. Ludzie w milczeniu przeszli obok kupek porzuconej odzieży, przypominających ciała ofar jakiejś nagłej klęski żywiołowej, na przykład mieszkańców Pompejów.

Posiłek, nawet złożony z owoców ze starych konserw, podniósł wszystkich na

duchu. Odpowiadaliśmy z Charliem na pytania o to, co zastaliśmy w mieście.

Alysa Bertram zapytała, kiedy zaczniemy orać i siać. Nie miałem pojęcia, ale wielu innych znało się na rolnictwie i wyrażono niemal tyle zdań, ilu było znawców. Żaden z dawnych mieszkańców Centrusa nie był farmerem, a gospodarze z Paxton nie znali

miejscowych warunków. Jednakże było oczywiste, że nie będzie to takie proste. W pobliżu miasta dominowały specjalistyczne gospodarstwa, często zmechanizowane. Musieliśmy opracować sposoby uprawiania i nawadniania ziemi bez energii elektrycznej.

Lar Po, który też nie był farmerem, po wysłuchaniu różnych argumentów zupełnie poważnie stwierdził, że największe szansę przeżycia mielibyśmy w Paxton, gdzie będziemy mogli wyhodować plony, którymi moglibyśmy się wyżywić. Tylko że byłby to długi spacer.

–Mamy mnóstwo czasu na eksperymenty – przypomniałem mu. – Zapewne całe pokolenie zdoła przeżyć tutaj, korzystając z zapasów w sklepach i racji żywnościowych z magazynów statków.

Jednak kilka tygodni odżywiania się tymi racjami wystarczyłoby, żeby każdego skłonić do uprawy ziemi. Niewątpliwie było to zamierzone.

Szeryf wrócił z dobrą wiadomością. W pobliżu rzeki znaleźli akademik, do którego nawet nie musieli się włamywać. Pokoje były zamykane na elektroniczne zamki i przy braku zasilania stały otworem.

Posłałem Charliego, żeby zajął się szczegółami. Musieliśmy jak najszybciej uruchomić wodociąg i wykopać prowizoryczną latrynę, a potem podzielić się na grupy, które sporządzą plan rozmieszczenia zapasów w mieście.

Marygay i ja chcieliśmy udać się do centrum miasta, żeby odnaleźć dwa brakujące kawałki łamigłówki. Do Biura Kontaktów Międzyplanetarnych.

## 23

Tak jak budynek wymiaru sprawiedliwości, Biuro Kontaktów Międzyplanetarnych zostało otwarte w samo południe. Szeryf podrzucił nas tam i ze zdumieniem zobaczyliśmy, że w środku pali się światło! Budynek miał własne zasilanie, niezależne od miejskiej sieci energetycznej, i jakiegokolwiek urządzenie dostarczało tę energię, jeszcze działało.

Middle Finger nie miała bezpośredniej łączności z Ziemią, gdyż nasza macierzysta planeta znajdowała się w odległości osiemdziesięciu ośmiu lat świetlnych. Jednak wiadomości przesyłane za pomocą przejść kolapsarowych szły tylko dziesięć miesięcy i gdzieś tutaj powinien znajdować się dziennik.



**Był jeszcze Mizar, odległy zaledwie o trzy lata świetlne. Na jego taurańskiej planecie Tsogot znajdowała się kolonia Człowieka, więc może od nich zdołamy się czegoś dowiedzieć, a przynajmniej wysłać im wiadomość i po sześciu latach otrzymać jakąś odpowiedź.**

**Nie wystarczyło wziąć mikrofon do ręki i nacisnąć włącznik. A gdyby nawet, to trzeba by jeszcze wiedzieć, który to mikrofon i który włącznik. Oczywiście nie były opisane po angielsku, a Marygay i ja znaleźliśmy język Middle Finger w stopniu wystarczającym zaledwie na wymianę podstawowych informacji.**

**Wezwaliśmy szeryfa, by posłużył nam jako tłumacz. Najpierw jednak musiał zabrać ze śródmieścia ładunek żywności i zawieźć ją do akademika. Podjedzie do nas przy następnym kursie.**

**Czekając, dokładnie przeszukaliśmy budynek. W głównej sali znajdowały się dwie konsole z oznakowaniem wskazującym na „przychodzące” i „wychodzące” (choć te słowa są tak podobne, że mogło być na odwrót) i obie były podzielone na trzy części – Ziemię, Tsogot i jeszcze jedną, zapewne przeznaczoną dla „innych miejsc”. Przy tych, które były przeznaczone dla Tsogot, obok foteli dla Ziemiaków stały taurańskie ramy do siedzenia.**

**Szeryf przybył wraz z Markiem Talosem, który pracował w telekomunikacji w Centrusie i płynnie znał standardowy.**

–Nie prowadzili nieustannego nasłuchu – powiedział nam. – To byłoby bezsensowne i zapewne niemożliwe. Jednak przez cały czas monitorowali i rejestrowali jedną częstotliwość. Taki rodzaj nieustannej archiwizacji. Ważne wiadomości wychodzą

i przychodzą przez przejścia kolapsarowe, lecz na tym paśmie przekazywano informacje

o tym, co wydarzyło się na Ziemi przed osiemdziesięcioma ośmioma laty.

Podszedł do konsoli i przyjrzał się jej.

–Aha, „Monitor 1”.

Przerzucił dźwigienkę i usłyszeliśmy piskliwy potok słów w języku, który nazywają standardowym.

–A więc tamten to „Monitor 2”?

–Niezupełnie. Raczej „1 a”. – Wyłączył pierwszy i włączył ten drugi. Nic. – Domyślam się, że ten utrzymuje łączność z przekaźnikiem kolapsarowym, a może również z przybywającymi na planetę i opuszczającymi ją. Jednak można ją nawiązać również z kosmoportu.

–Czy możemy wysłać wiadomość na Ziemię? – zapytała Marygay.

–Pewnie. Jednak będziecie... wszyscy będziemy bardzo starzy zanim tam dotrze. – Wskazał na fotel. – Wystarczy usiąść tam i nacisnąć czerwony przycisk z przodu, ten z napisem „HIN/HAN”. Po zakończeniu transmisji nacisnąć go ponownie.

–Najpierw napiszę tę wiadomość. – Marygay wzięła mnie za rękę. – Niech wszyscy zapoznają się z nią, żeby mieć pewność, że niczego nie pominęłam.

–Zapewne już się dziwią – powiedział Mark.

–Ach tak? – odparłem. – Zatem gdzie są? – Spojrzałem na szeryfa. – Czyżby ludzie byli tak mało ważni, że mogą nagle zniknąć i nikt nawet nie pofatyguje się wysłać tu statek, żeby sprawdzić, co się stało?

–Cóż, może wciąż odbierają sygnały...

**–Tak mogło być osiemdziesiąt osiem lat temu, ale nie teraz! Czyżby uważali, że dwadzieścia cztery lata bez żadnych wiadomości przesłanych przez kolapsar to nie powód do niepokoju? Wysyłaliśmy kilka takich rocznie.**

**–Nie mogę mówić w ich imieniu...**

**–A myślałem, że jesteście pieprzoną zbiorową świadomością!**

**–Williamie... – mitygowała mnie Marygay.**

**Usta szeryfa zacisnęły się w znajomą wąską linię.**

**–Nie wiemy, czy nie zareagowali. Jeśli przylecieli tutaj i zobaczyli to samo, co my, nie musieli tutaj zostawać. Po co mieliby zostać? Mieliśmy powrócić za czterdzieści tysięcy lat.**

**–Racja, przepraszam. – Mimo to fakt ten wciąż mnie niepokoił. – Chyba jednak nie fatygowałiby się taki kawał drogi, żeby rozejrzeć się tutaj i odlecieć, nie pozostawiając żadnego znaku.**

–Może zostawili jakąś wiadomość – powiedziała Marygay. – Jeśli tak, to będzie ona w kosmoporcie.

–Albo tutaj.

–Jeżeli jest, to niełatwo ją odczytać – rzekł Mark. Podszedł do następnej konsoli.

–Spróbujemy Tsogot?

–Tak, zrobmy to, dopóki jest tutaj szeryf. On lepiej zna taurański niż my.

Nacisnął kilka przełączników i potrząsnął głową. Przekręcił gałkę potencjometru i pokój wypełnił szum zakłóceń.

–Tylko to słychać – oznajmił.

–Zerwane połączenie? – zapytałem, już podejrzewając, jaką usłyszę odpowiedź.

–Urządzenie jest w porządku – odparł powoli. – Tylko po drugiej stronie nikt nie nadaje.

–A więc tam jest tak samo jak tutaj – stwierdził szeryf i natychmiast się poprawił:

–Być może.

–Czy transmisja jest nieustannie rejestrowana? – zapytałem.

–Tak. Jeśli okaże się, że przestano nadawać ponad trzy lata po naszym odlocie, będzie to przekonujący dowód. Mogę to sprawdzić.

Wyłączył szum i poprzestawiał kilka przełączników. Taurańska klawiatura schowała się, a jej miejsce zajęła ludzka.

–Myślę, że mogę przewinąć zapis. – Mały ekran pokazał mu datę i czas, mniej więcej sprzed ośmiu lat. Znowu włączył dźwięk. Taurańska mowa jeszcze szybciej i bardziej piskliwie popłynęła z głośników, a potem ucichła. – Tak. Mniej więcej w tym samym czasie.

–Tutaj, tam i gdzie jeszcze? – zastanawiałem się. – Może Ziemia nie przysłała tu nikogo, ponieważ tam też nikogo nie ma.

**Przez następny tydzień byliśmy zbyt zajęci, żeby mieć czas i siły na rozwiązywanie tej zagadki. Dopóki wszystko się nie ułoży, nie wybieraliśmy nowej Rady, więc miałem mnóstwo pracy przy ponownym zasiedlaniu tego opustoszałego miasta.**

**Ludzie chcieli zakasać rękawy i zabrać się za uprawę ziemi, ale przede wszystkim potrzebowaliśmy prądu, wody i kanalizacji. Przydałby się też jeszcze jeden czy dwa dodatkowe pojazdy, ale podczas pierwszych poszukiwań nie znaleźliśmy żadnego.**

**Dzięki Bogu, elektrownia słoneczna znajdująca się w pobliżu uniwersytetu najwidoczniej służyła do celów edukacyjnych, a nie naukowych. Wprawdzie nie działała, ale tylko dlatego, że nie została ponownie złożona przez kolejny rocznik studentów wydziału inżynierii. Zabrałem tam naszego mechanika i inżyniera, a kiedy znaleźliśmy plany, w ciągu jednego dnia zrekonstruowaliśmy ją, a przez następne dwa dni rozebraliśmy na części. Potem przewieźliśmy je do akademika i ponownie złożyliśmy na dachu budynku, po czym zaczęliśmy ładować akumulatory. Ludzie nie byli zbyt zadowoleni z tego, że wykorzystujemy prąd w tym celu, zamiast ogrzewać i oświetlać pomieszczenia, ale akumulatory były ważniejsze. (Moi rodzice wciąż mówili o „władzy dla ludu”. Dobrze, że nie mogli tego zobaczyć i protestować).**

**Uruchomiliśmy dwie furgonetki dostawcze – chyba powinniśmy je nazwać „pirackimi” – po czym splądrowaliśmy skład z rurami oraz magazyn materiałów budowlanych, skąd zabraliśmy wszystko, czego potrzebowaliśmy, żeby z kranów w akademiku popłynęła woda. Po prostu pompowaliśmy ją z rzeki – zakładając, że jest dość czysta – do znajdującego się na dachu nadmuchiwane basenu, który służył jako zbiornik. W ten sposób doprowadziliśmy wodę do kuchni i na parter akademika, zarówno zimną jak i gorącą, gdyż uzyskanie tej drugiej było tylko kwestią znalezienia odpowiednich ogrzewaczy przepływowych. Nadal nie mieliśmy toalet, gdyż w akademiku korzystano z konwencjonalnych spalarek, bardzo higienicznych lecz wymagających naprawdę ogromnych ilości energii. Wody było za mało, żeby przerobić je na staromodne, splukiwane ubikacje, które pamiętałem z dzieciństwa, a i tak nie wiedziałem w jaki sposób**

moglibyśmy bezpiecznie odprowadzać ścieki. Pamiętałem wielkie oczyszczalnie, ale nie miałem pojęcia, jak właściwie działały. Tak więc korzystaliśmy z połowych latryn, wykopywanych według wzorów zaczerpniętych z wojskowego podręcznika, dopóki Sage nie znajdzie jakiegoś lepszego rozwiązania.

Czwarty statek, dwójka, wszedł na orbitę dwanaście dni później i wylądował bez żadnych kłopotów. Jego pasażerowie dostali pokoje na pierwszym piętrze, wszyscy oprócz Cat. Ami Larson bardzo potrzebowała towarzystwa, gdyż opłakiwała Teresę i miała poczucie winy z powodu tego, że opuściła ją i ich córkę. Cat po przybyciu na Middle Fin-ger była hetero, ale przedtem przez całe życie była lesbijką. Co zapewne było dla Ami mniej istotne od tego, że Cat miała o dwadzieścia lat więcej doświadczenia życiowego i potrafiła cierpliwie słuchać.

Tak więc zamieszkała w sąsiednim pokoju, co nie powinno mnie niepokoić – bo czy przejmowałbym się, gdyby była dawnym „chłopakiem” Marygay? Może niepokoił mnie ten długi okres ich życia (choć zaledwie rok czasu rzeczywistego), kiedy były ze sobą, a którego nie mogłem z nimi dzielić – ponieważ byłem nieobecny, uznany za zabitego.

Oczywiście wszyscy weterani z pierwszego pokolenia po powrocie do domu zostali zamienieni w hetero, co było warunkiem przybycia na Middle Finger i włączenia do puli genowej. Przykład Teresy dowodził, jak bardzo było to skuteczne. Wiedziałem też, że Charlie miał co najmniej jeden romans z facetem, może wywołany nostalgią. Chłopcy będą dziewczynkami, a dziewczynki chłopcami, jak mawialiśmy w czasach mojej beztroskiej młodości.

Mark szukał dalszych informacji w Biurze Kontaktów Międzyplanetarnych, ale nie znalazł niczego nowego. Przez dwa dni szperał też w kosmoporcie, ale i tam nie znalazł wiadomości z Ziemi, przekazanych poprzez kolapsar przed lub po katastrofę. Najwidoczniej były starannie ukryte przed niepowołanymi osobami i szeryf nie miał pojęcia, gdzie mogą być. Oczywiście, nawet gdybyśmy je znaleźli i stwierdzili, że dziesięć miesięcy po feralnym dniu nie było żadnych wieści z Ziemi, niczego by to nie dowodziło. Po prostu nie było tu nikogo, kto mógłby je odebrać.

(W rzeczy samej, mogliśmy przez cały czas otrzymywać wieści z Ziemi, przekazywane przez kolapsar, i nic o tym nie wiedzieć. Nadajnik wyskakuje z prędkością większą od prędkości ucieczki Mizara, gdyż ten mały kolapsar krąży po ciasnej orbicie wokół gwiazdy. Przelatuje obok Middle Finger z prędkością pięćdziesięciokrotnie lub stukrot-nie większą od prędkości ucieczki planety, przekazuje serię sygnałów i pędzi nie wiadomo dokąd. Ma zaledwie wielkość pięści, więc jest niemal niewykrywalny, jeśli nie wiesz na jakiej nadaje częstotliwości).

**Ludzie z ożywieniem rozprawiali o ekspedycji na Ziemię. Statki ratunkowe miały jeszcze dość paliwa na przejście kolapsarowe, tam i z powrotem. Jeśli na Ziemi wciąż**

byli ludzie, Człowiek i Taurańczycy, mogliby pomóc nam wyjaśnić, co właściwie się stało. Jeśli tam nie było nikogo, to trudno – zdobylibyśmy nowe informacje.

A przynajmniej tak argumentowano. Zgadzałem się z tym rozumowaniem, ale niektórzy nie byli pewni, czy całkowicie zerwaliśmy więzy łączące nas z Ziemią. Gdyby wszyscy tam polecieci, znikając tego samego dnia, wciąż słyszelibyśmy ich sygnały jeszcze przez sześćdziesiąt cztery ziemskie lata. Przez ten czas odbudowalibyśmy Middle Finger – wprawdzie z trudem, ale życie musi toczyć się dalej.

Gdybyśmy teraz, wciąż wstrząśnięci katastrofą, przekonali się, że jesteśmy sami we wszechświecie – i wciąż narażeni na atak nieznannej siły, która spowodowała zniknięcie wszystkich mieszkańców – być może nie zdołalibyśmy tego znieść, zarówno jako jednostki, jak i całe społeczeństwo. Tak głosiła teoria.

Nawet teraz nie byliśmy zbyt stabilną społecznością. Jeśli ostatni statek naprawdę zaginęł, to nasza gromada liczyła zaledwie dziewięćdziesiąt osób, w tym czworo dzieci. (Dwie z dziewięciu osób, które umarły w stanie hibernacji, nie miały jeszcze dwunastu lat). Powinniśmy zacząć robić dzieci, pojedynczo i taśmowo, korzystając z tysięcy jajeczek zamrożonych na pokładach statków.

Ta perspektywa nie została przyjęta z należyтым entuzjazmem. Wiele osób uważało, podobnie jak Marygay i ja, że już spełniły swój obowiązek. Na liście możliwości, które rozpatrywaliśmy po osiągnięciu średniego wieku – takich jak szalony plan porwania „Time Warp” – zakładanie nowej rodziny znajdowało się prawie na samym końcu.

Sara była jedną z czterech kobiet dostatecznie dorosłych i jednocześnie młodych, żeby zostać naturalną matką i nie miałyby na to ochoty nawet wtedy, gdyby pociągał ją któryś z ewentualnych kandydatów na ojca. A tak nie było.

Szeryf proponował, żebyśmy wyhodowali sporą gromadkę dzieci w sposób praktykowany przez Człowieka, w internacie pod opieką wychowawców. Widziałem pewne zalety takiego rozwiązania, gdyż znaczna część tych dzieci i tak nie miałyby rzeczywistych rodziców. Myślę, że gdyby nie nasze doświadczenia z Człowiekiem, większość przychyliłaby się do tego pomysłu. A tak, wywołał powszechny sprzeciw: właśnie od czegoś takiego chcieliśmy uciec, a teraz zamierzacie to wskrzesić?

Może zmienią zdanie, kiedy będą mieli na głowie czworo lub pięć niemowlaków. Rada zdecydowała pójść na kompromis, co było jedynym możliwym rozwiązaniem, gdyż byli wśród nas tacy jak Rubi i Roberta, którzy bardzo pragnęli dzieci, ale nie mogli mieć własnych. Zgłosili się na ochotnika jako wychowawcy. Co roku – trzy razy w roku kalendarzowym Middle Finger – wyprodukują ośmioro do dziesięciorga dzieci



**z materiału genetycznego znajdującego się na statkach, a także zaopiekują się niechcianymi dziećmi spłodzonymi w tradycyjny sposób.**

**Antres 906 zapewne czuł się gorzej niż my, choć trudno coś powiedzieć o stanie uczuć Taurańczyka. Z tego co wiedział, równie dobrze mógł być ostatnim przedsta-**

wicielem swojej rasy. Wprawdzie Taurańczycy nie mają płci, ale nie mogą się rozmnażać bez wymiany materiału genetycznego – relikwyt dawnych czasów, gdyż od tysiącleci wszyscy Taurańczycy są genetycznie identyczni.

Ludzie przyzwyczaili się do tego, że kręci się w pobliżu, usiłując pomagać, ale z takim samym skutkiem jak na pokładzie „Time Warp”, ponieważ nie umiał robić niczego konkretnego, pozostawał ekspertem od tylko jemu znanego języka i dyplomata reprezentującym wyłącznie siebie.

Podobnie jak szeryf, Taurańczyk mógł podłączyć się do Drzewa. Z identycznym wynikiem. Obaj nie wyczuli żadnego zagrożenia czy śladu zaniepokojenia, lecz po tamtym dniu po prostu przestały napływać wszelkie informacje. Ostatnia kolapsarowa wiadomość z Ziemi, wysłana przez Człowieka i Taurańczyków trzy tygodnie przed owym feralnym dniem, również nie zawierała żadnych ostrzeżeń przed katastrofą.

Antres 906 opowiadał się za podróżą na Ziemię lub Kysos, ojczystą planetę Taurańczyków. Proponował, że polecą tam sam, na ochotnika, po czym wróci z raportem. Ma-rygay i ja uważaliśmy, że mówi szczerze, ale chyba znaliśmy go lepiej niż ktokolwiek inny poza szeryfem. Większość ludzi uważała, że nie ujrzelibyśmy już ani statku, ani Taurańczyka (choć niektórzy z nich sądzili, że warto byłoby poświęcić statek, żeby pozbyć się ostatniego żyjącego przedstawiciela tej wrogiej rasy).

Wiele osób chciało sprawdzić, co się dzieje na Ziemi, z Antresem 906 lub bez niego. Wywiesiliśmy listę na tablicy ogłoszeń i wpisało się na nią trzydziestu dwóch ochotników.

Włącznie z Marygay, Sara i ze mną.

Logika podpowiadała, że powinni polecieć ci, którzy są najmniej istotni dla prawidłowego rozwoju kolonii. Trudno jednak było zdecydować, kto jest ważniejszy od kogo, pomijając nielicznych niezastąpionych, takich jak Rubi i Roberta (którzy i tak nie wpisali się na listę) lub Diana oraz dwoje młodych ludzi, których szkoliła na swoich zastępców (ci się wpisali).

Rada postanowiła, że dwunastoosobowa załoga zostanie wybrana spośród kandydatów, których liczbę zawężaliśmy do dwudziestu pięciu osób nie należących do niezastąpionych. (Moje stwierdzenie, że z pewnością nie jestem niezastąpiony, spotkało się z niepokojąco nikłym sprzeciwem). Szeryf i Antres 906 również mieli polecieć, jako bezstronni obserwatorzy.

Ta czternastka miała odlecieć tuż przed nadejściem zimy, kiedy i tak nie ma wiele

**pracy. Dotrą na Ziemię, rozejrzą się i wrócą przed nadejściem wiosny.**

**Kiedy wybierzemy załogę? Stephen i Sage, oboje znajdujący się na liście, chcieli to zrobić jak najszybciej. Ja chciałem z tym poczekać aż do ostatniej chwili, uzasadniając pomysł chęcią udramatyzowania naszej codzienności, ubarwienia życia czymś nie mającym nic wspólnego z codzienną harówką. Prawdę mówiąc, opowiadałem się za takim**

rozwiązaniem ze względów statystycznych. Za półtora roku niektórzy z tych dwudziestu pięciu zmieniają zdanie, umrą lub staną się niezbędni, co zwiększy nasze szansę.

Zdecydowaliśmy z Marygay, że polecimy tylko wtedy, jeżeli oboje zostaniemy wybrani. Sara powiedziała, że jeśli zostanie wybrana to poleci i kropka. Była skruszona, ale zdecydowana i w duchu byłem dumny z jej niezależności, chociaż niepokoiła mnie perspektywa rozstania.

Rada zgodziła się zaczekać i wróciliśmy do pracy nad przywracaniem Centru-sa do życia. Podstawowym i najbardziej irytującym problemem była kwestia generowania energii elektrycznej. Zawsze uważaliśmy jej obfitość za coś zupełnie oczywistego: od ponad wieku na orbicie znajdowały się trzy mikrofalowe przekaźniki satelitarne, zamieniające energię słoneczną na mikrofałe i przesyłające je na powierzchnię planety. Jednakże obecność dwóch dużych księżyców i bliskość słońca będącego podwójną gwiazdą powodowała zmiany orbity. Pozbawione ścisłego nadzoru, trzy satelity znacznie oddaliły się od planety. W końcu zdołamy ściągnąć je z powrotem lub skonstruować i wprowadzić na orbitę nowe, lecz na razie pod względem rozwoju nasz świat bardziej przypominał Ziemię z dziewiętnastego niż dwudziestego pierwszego wieku. Podobnie było ze stojącymi na kosmodromie statkami, których zapasy energii wystarczyłyby nam na dziesiątki lat, gdybyśmy tylko potrafili powoli i bezpiecznie ją wykorzystać.

Prawdę mówiąc, hałaśliwa mniejszość pod wodzą Paula Greytona chciała, żeby te trzy statki wysłać na orbitę, i to natychmiast, zanim coś się stanie z aparaturą magnetycznych pojemników na antymaterię i wszyscy nagle zmienimy się w obłok pary. Rozumiałem jego niepokój i częściowo zgadzałem się z nim, chociaż pola siłowe pojemników nie mogły zaniknąć, dopóki istniała fizyka cząstek. Oczywiście, fizyka cząsteczkowa nie przewidywała czegoś takiego jak niespodziewane zniknięcie antymaterii.

Ponadto zaparkowanie statków na orbicie wymagałoby użycia promu kosmicznego, a ja nie miałbym nic przeciwko temu, żeby znów nim polecieć. Jednak pozostali członkowie Rady jednogłośnie odrzucili żądania Greytona. Dla większości ludzi widoczne na horyzoncie statki były krzepiącym symbolem wyboru, możliwości.

Udało się nam uruchomić dwie wieloczynnościowe maszyny rolnicze i z przyjemnością przekazałem związane z nimi problemy Anicie Szydhowski, która w Paxton zazwyczaj koordynowała prace polowe.

Mieliśmy aż za dużo możliwości. Gdybyśmy wylądowali na przypadkowej, podobnej do Ziemi planecie, nie byłoby problemu: w magazynach statków mieliśmy superodporne odmiany ośmiu podstawowych warzyw. Jednak hodowcy uzyskali tę odporność kosztem takich cech jak smak i wydajność.

Żadna z ziemskich roślin nie wytrzymała ośmiu ciężkich zim na Middle Finger, a mimo to mieliśmy wiele nasion, z których znaczna część nadawała się do użytku – oraz setki odmian w kriogenicznych magazynach uniwersytetu. Anita wybrała iście salomonowe rozwiązanie, wysiewając dość superodpornych odmian, abyśmy przetrwali następny rok, a dopiero potem przeznaczając część areału pod tradycyjne uprawy, bardziej ryzykowne z powodu wieku nasion. Później przydzieliła kilka akrów na terenie miasteczka uniwersyteckiego trzem byłym farmerom, którzy od lat mieli chrapkę na te egzotyczne odmiany, które uniwersytet udostępniał tylko przy wyjątkowych okazjach.

Znów podjąłem nauczanie według planu, który realizowałem na „Time Warp” – rzecz jasna, ku wielkiemu zadowoleniu uczniów. Mogłem – chociaż z żalem – zrezygnować z podstaw nauk, ponieważ dwoje moich najmłodszych uczniów zmarło w stanie hibernacji, ale doszła arytmetyka, gdyż nauczycielka matematyki, Grace Lani, również zmarła. To było dla mnie nowe wyzwanie. Znacznie łatwiej jest liczyć niż uczyć liczenia, a moi dotychczasowi uczniowie zawsze mieli już opanowane podstawy tej wiedzy, tak więc nie miałem żadnego doświadczenia w nauczaniu tego przedmiotu.

Po upływie miesiąca zdołaliśmy wysłać ekspedycję do Paxton. W czasie jej trwania, a więc przez dwa dni, nasza społeczność była pozbawiona obu środków transportu, gdyż furgonetki miały zasięg tysiąca kilometrów, więc ta, którą pojechaliśmy, musiała zabrać akumulator drugiej.

Rada wspomniałomyślnie zdecydowała, że powinien pojechać któryś z jej członków i to ja wyciągnąłem najkrótszą słomkę. Na asystentkę i drugiego kierowcę wybrałem Sarę. Jak prawie wszyscy, była bardzo ciekawa. A także młoda i silna, więc mogła pomóc mi prowadzić pojazd – rzecz jasna, kierowany wyłącznie manualnie – i przy wymianie ciężkiego akumulatora. Marygay zgodziła się, chociaż sama chciałaby pojechać. Sara oddalała się od nas, lecz w tej jednej sprawie nasze zainteresowania były zbieżne.

Furgonetka miała trzy tony ładowności, więc mogliśmy zabrać trochę rzeczy. Kazałem Sarze obdzwonić ludzi, a potem usiedliśmy z listą, żeby podejmować decyzje. Przypominało to selekcję przed odlotem „Time Warp”, tylko w miniaturze. Było niewiele czysto sentymentalnych próśb, gdyż takie przedmioty zostały załadowane na pokład statku i albo przywiezione z powrotem, albo pozostawione. Byliśmy jednak ograniczeni czasem i wysiłkiem, który mogliśmy poświęcić na poszukiwania. Na przykład warto było pojechać do gabinetu Diany po kartoteki medyczne tych trzydziestu jeden osób spośród nas, które były jej pacjentami, ale nie zamierzałem przetrząsać domu Eleny Monet, żeby znaleźć jej przybory do szydełkowania.

Podjęliśmy kilka trudnych decyzji, żonglując czasem, znaczeniem i potrzebami, indywidualnymi i zbiorowymi. Zamierzaliśmy załadować piec do wypalania ceramiki Stana Shanka, chociaż ważył pół tony i można by pomyśleć, że łatwo znaleźć inny. Jednak Stan przeszukał Centrus i dziewięć pieców, które znalazł, były całkowicie zniszczone: pozostawiono je włączone, aż się spaliły.

Sara i ja nie wpisaliśmy na tę listę niczego, ale w furgonetce zostało trochę wolnego miejsca.

Wyjechaliśmy o świcie – i dobrze zrobiliśmy. Podróż, zwykle trwająca osiem godzin, zajęła nam dwadzieścia, z czego większość wleliśmy się poboczem, nie próbując pokonywać stert gruzu, w który zmieniła się nawierzchnia drogi.

Kiedy dotarliśmy na miejsce, pojechaliśmy prosto przez miasto do naszego dawnego domu. Bill pozostał w nim jako tymczasowy dozorca, dopóki nie znajdzie się ktoś inny, kto potrafi i zechce łowić ryby w zamian za możliwość zamieszkania w ładnym starym domku.

Weszliśmy do kuchni i rozpaliliśmy ogień. Pozostawiłem przy nim Sarę, a sam zszedłem nad jezioro, żeby przynieść dwa wiadra wody. Musiałem rozbić warstwę lodu, żeby je napełnić.

W beczce na końcu przystani wciąż utrzymywało się pole: w tych warunkach nie

wymagało zasilania. Beczka była w trzech czwartych pełna. Wróciłem do kuchni po haki i przyniosłem dwie ryby. Oczywiście, miały temperaturę zera absolutnego, ale rozmrożą się w porę, żeby zjeść je na śniadanie.

Grzaliśmy wodę na ogniu i piliśmy stare wino – które niecałe pięć miesięcy temu dostałem od Harrasa za moje ryby – a kiedy woda była dostatecznie gorąca, zaniósłem

świecę do zimnego salonu, żeby trochę poczytać w czasie, gdy Sara brała kąpiel. Wychowany w komunie nudystów, z której przeszedłem do zbiorowych wojskowych umywalni, nie miałem żadnych oporów przed myciem się na oczach innych, tak samo jak Ma-rygay. Może dlatego nasze dzieci wykazywały w tej kwestii dziwaczną pruderię.

Wyglądało na to, że Bill był tu jeszcze w dniu katastrofy i to nie sam. Rozpoznałem jego rzeczy, leżące w miejscu gdzie siedział na kanapie, obok stosiku kobiecej odzieży. Widok jego ubrania wywołał u mnie wstrząs: zakręciło mi się w głowie i ciężko opadłem na krzesło. Kiedy znów zdołałem wstać, zaintrygowany i z dziwnym poczuciem winy sprawdziłem sypialnię na górze. Owszem, dwoje ludzi korzystało ze skotłowanego łóżka. Zastanawiałem się, kim była i czy mieli czas lub chęci, żeby się zakochać.

Sara wyszła z łazienki, zobaczyła ubranie brata i zamilkła. Znalazła stosunkowo świeżą pościel i weszła na górę, żeby pościelić łóżko i położyć się spać, ale słyszałem, że przez długi czas niespokojnie rzucała się na łóżku. Ja zrobiłem pościel dla siebie na podłodze przy kominku, nie chcąc samotnie spać w naszej dawnej sypialni.

Rano upiekłem rybę na ogniu i ugotowałem garnek ryżu, który wydawał się mieć zaledwie dziesięć lat. Potem ruszyliśmy by zrealizować zamówienia. Nad przednią szybą furgonetki były zamontowane dwie kamery holograficzne. Stephen Punk uparł się i dopiął swego, twierdząc, że pewnego dnia będzie to cenny materiał historyczny. Ponadto ludzie byli ciekawi, jak wyglądają ich domy, opuszczone przed ośmioma laty.

Większość z nich będzie nieszczęśliwa, gdyż wokół niewielu domów zachowała się dawna roślinność. Wszyscy sadzili i pielęgowali ziemskie gatunki roślin, lecz mało które z nich mogły przetrwać bez opieki chociaż jedną zimę. Ich miejsce zajęły miejscowe gatunki, szczególnie duże i małe zielone grzyby, nie będące ani grzybami ani roślinami, paskudnie wyglądającymi nawet w lesie, gdzie było ich miejsce. Zarastały całe trawniki, sięgając człowiekowi do kolan, a nawet do ramienia. Miasto wyglądało jak z koszmarnej bajki.

Zabraliśmy dzienniki i różne pamiątki oraz kilka specjalistycznych narzędzi. Piec do wypalania ceramiki, zgodnie z instrukcjami Stana, rozebraliśmy na dziesięć części, ale i tak namęczyliśmy się przy ich załadunku. Pod koniec dnia byliśmy zmęczeni, przygnębieni i marzyliśmy o odjeździe. Musieliśmy jednak poczekać do rana.

Ugotowałem gulasz z konserwowych warzyw z ryżem, po czym usiedliśmy przy



ogniu, jedząc i za dużo pijąc.

–Na Ziemi będzie dla was tak samo, prawda? – zapytała Sara. – Tylko gorzej.

–Nie wiem – odparłem. – Minęło tyle czasu. Myślę, że oswoiłem się już z tym, że nie będzie tam niczego znajomego.

Dorzuciłem trochę drewna do ognia i poszedłem ponownie napełnić dzban winem.

–Chyba opowiadałem ci już o facecie z dwudziestego drugiego wieku?

–Dawno temu. Zapomniałam.

–Przybył na Stargate, kiedy czekałem aż Charliego, Dianę i Anitę przerobią na hetero. Był sam, jedyny ocalały po jakiejś bitwie. Jednak dość niejasno wypowiadał się na ten temat.

–Podejrzewałeś, że zdezerterował.

–Owszem. Jednak to mnie nie interesowało. – Wino było zimne i miało ostry smak. – Wrócił na Ziemię w dwudziestym czwartym. Urodzony w dwa tysiące sto drugim roku, został zdemobilizowany w dwa tysiące setnym. Tak jak wasza matka i ja, nie mógł znieść tego, co uchodziło wówczas za ziemskie społeczeństwo i ponownie zamustrował się, żeby uciec. Jednak to, co opisywał, wydawało się znacznie lepsze od tego świata, na jakim się urodził. Pół wieku po tym, jak Marygay i ja opuściliśmy Ziemię, było jeszcze gorzej. Główną przyczyną śmierci w Stanach Zjednoczonych było zabójstwo, a powodem większości zgonów były zalegalizowane pojedynki. Ludzie załatwiali spory, a nawet interesy z bronią w ręku – ja stawiam wszystko, co mam, ty stawiasz wszystko, co masz, i walczymy na śmierć i życie o całą pulę.

–I to mu się spodobało.

–Bardzo! Mając wykształcenie komandosa i doświadczenie bojowe, nie mógł się doczekać, kiedy zostanie bogatym człowiekiem. Jednak na Ziemi było już inaczej. Powstała kasta wojowników, do której należeli wyłącznie członkowie nielicznych, genetycznie przystosowanych rodów. Rozpoczynali służbę jako dzieci i służyli w wojsku do śmierci. Nie utrzymywali żadnych kontaktów z resztą społeczeństwa. A społeczność planety przypominała stado owiec: nikt nie posiadał i nie pragnął więcej niż miał, nikt nie mówił źle o bliźnim. Oni nawet zdawali sobie sprawę z tego, że ta harmonia jest sztuczna, narzucona przez inżynierię genetyczną i społeczną, ale byli z tego zadowoleni. Fakt, że w ich imieniu prowadzono tę okropną wojnę na setkach innych planet, w ich pojęciu jedynie uzasadniał fakt, że ich codzienne życie powinno być spokojne i cywilizowane.

–Dlatego ten człowiek znowu się zaciągnął?

–Nie od razu. Wiedział, że miał szczęście, uchodząc z życiem, i nie chciał przeciągać struny. Nie mógł wytrzymać z tym stadem baranów, więc próbował żyć po swojemu – wędrując po świecie, żyjąc z czego się da. Jednak nie pozwolili mu na to! Nie zostawili go w spokoju. Zawsze potrafili go znaleźć i codziennie przysyłali kogoś, kto próbował sprowadzić go do zagrody. Walczył z tymi posłańcami, a przynajmniej atakował ich i nawet paru zabił. Nie stawiali oporu, a nazajutrz pojawiał się następny, pełen współczucia i troski. Po miesiącu lub dwóch pojawił się oficer z komisji werbunkowej. Facet następnego dnia opuścił Ziemię. Przez chwilę wpatrywaliśmy się

w ogień.

**–Myślisz, że ty mógłbyś się przystosować?**

**–Nie. Nigdy nie stałbym się taki jak oni. Mógłbym jednak żyć w ich świecie.**

**–Ja też. Wydaje się podobny do świata Człowieka.**

–Tak, pewnie tak. – Tego, który odrzuciłem, przybywając na Middle Finger. – To zapewne był pierwszy krok. Mimo że jeszcze przez kolejny tysiąc lat nie zawarliśmy po koju z Taurańczykami.

Zaniosiła nasze miski i łyżki do zlewu, idąc uważnie i chwiejnie.

–Mam nadzieję, że będzie trochę inaczej, jeśli się tam... jeśli zostaniemy wybrani.

–Na pewno. Wszystko się zmienia. Chociaż wcale nie byłem pewien, że tak będzie, jeśli zabrał się za to Człowiek. Po co

zmieniać doskonale?

Przytaknęła i poszła na górę, do łóżka. Ja zmyłem miski i łyżki, niepotrzebnie. W tym domu zapewne nikt już nie zamieszka.

Wepchnąłem do kominka grubą kłodę, która miała wystarczyć na całą noc, po czym rozłożyłem śpiwór na podłodze. Położyłem się i patrzyłem na płomień, ale nie mogłem zasnąć. Może wypłem za dużo wina – czasem takie są tego skutki.

Z jakiegoś powodu przed oczami stawały mi migawki z wojny – nie tylko wspomnienia z tych kampanii i rzezi, w których dwukrotnie braliśmy udział. Wróciłem myślami do szkolenia: do indukowanych przez symulator obrazów walk, zabijania widmowych przeciwników każdym rodzajem broni, od kamienia po bombę typu „nova”. Zastanawiałem się, czy nie wypić więcej wina, żeby odpędzić te wspomnienia. Jednak miałem przed sobą co najmniej pół dnia długiej jazdy.

Sara zeszła po schodach, pociągając nosem, niosąc poduszkę i koc.

–Zimno – powiedziała, przytuliła się do mnie tak jak wtedy, kiedy była mała i po

minucie już cicho chrapała. Jej znajomy ciepły zapach przepędził demony i ja też

łałem zasnąć.

W miarę wolnego czasu nasi ludzie przeprowadzili podobne wypadki do Thornhill,

Lakeland oraz Black Beach/White Beach, w poszukiwaniu utraconej przeszłości. Nie znaleźli żadnych nowych dowodów wyjaśniających, co się stało, lecz w akademiku zrobiło się przyjemniej i ciaśniej, kiedy poprzywozili rozmaite pamiątki.

Pod koniec wiosny nasza społeczność zaczęła się rozprzestrzeniać, chociaż przypominało to powolny podział jednokomórkowca. Nie mieliśmy – i jeszcze przez długi czas nie będziemy mieć – miejskiej sieci energetycznej, wodociągowej i kanalizacyjnej, tak więc trzeba było instalować odpowiednie urządzenia w każdej nowej siedzibie.

Dziewięć osób przeniosło się do centrum miasta, do budynku zwanego „Pod Muzami”, gdzie mieszkali aktorzy, muzycy i pisarze. Wszystkie ich dzieła wciąż tam były, chociaż mróz zniszczył niektóre z nich.

Kochanka Eloi Casiego, Brenda Desoi, przywiozła ze sobą nie dokończoną małą rzeźbę, którą Eloi podarował jej, zanim opuściliśmy „Time Warp”. Chciała umieścić ją w galerii jego imienia. Wiedziała, że Eloi za młodu spędził jedną zimę w domu „Pod Muzami”, studiując i pracując. Znalazła osiem osób, które chciały się tam przenieść, żeby znów zająć się pisaniem i komponowaniem.

Nikt nie protestował, a prawdę mówiąc, większość chętnie zanosłaby tam Brendę na rękach, byle tylko się jej pozbyć.

W kosmoporcie znaleźliśmy magazyn pełen ogniów słonecznych i zapasowych części do baterii, więc z tym nie było problemu: Etta Berenger zmontowała je w kilka dni. Zaprojektowała im również całoroczną latrynę w eleganckim atrium, ale pozwoliła, żeby sami zajęli się kopaniem ziemi pod ten artystyczny przybytek.

W ten sposób zwolniło się sześć pokoi w akademiku. Pozamienialiśmy się tak, że zachodni koniec budynku przypadł ochronce Rubiego i Roberty oraz rodzinom wychowującym własne potomstwo. W ten sposób dzieci miały towarzystwo, a my spokój gwarantowany przez oddzielające zachodnie skrzydło drzwi przeciwpożarowe, za które dzieciom samodzielnie nie było wolno przechodzić.

Etta, Charlie i ja, z pomocą wzywanych od czasu do czasu specjalistów, codziennie po południu przez kilka godzin pracowaliśmy nad planami wskrzeszenia Centrusa. Chcieliśmy zacząć od niewielkich kolonii, takich jak „Pod Muzami”, aby w ostatecznym rezultacie stworzyć z nich prawdziwe miasto.

Byłoby to łatwiejsze na Ziemi, czy jakiejś innej, mniej surowej planecie. Konieczność wielomiesięcznych zmagania z ostrymi mrozami bardzo komplikowała sprawę. Już samo ogrzewanie budynków było wyzwaniem. W Paxton uzupełnialiśmy ogrzewanie elektryczne kominkami i piecami, lecz tam mieliśmy drzewne farmy: lasy szybko rosnących drzew, których gałęzie co roku przycinaliśmy na drewno opałowe. Centrusa otaczały wzgórza porośnięte naturalnym lasem. Gąbczaste drewno tych drzew kiepsko się paliło, a ponadto niekontrolowany wyrąb mógł spowodować erozję gleby i groźną powódź podczas odwilży.

Najlepszym rozwiązaniem byłoby odnalezienie jednego z satelitarnych przekaźników energii i sprowadzenie go z powrotem na orbitę. Jednak tego nie uda nam się dokonać tej zimy. A powinniśmy się szybko przygotować, gdyż z końcem lata dni stawały się coraz chłodniejsze i baterie słoneczne często przestawały działać. Było to skutkiem nie tylko prawa odwrotności kwadratów (przy podwojeniu odległości dzielącej słońce od planety mieliśmy tylko jedną czwartą mocy) ale także coraz pochmurniej szych dni, przy braku satelitów kontrolujących pogodę.

Tak więc powróciliśmy do pieców opalanych drewnem. W Lakeland było dość drewna, by zapewnić nam ciepło przez kilkadziesiąt zim. Zazwyczaj drzewa na farmach przycinano tak, że nigdy nie wyrastały wyżej niż na wysokość ramion. Po ośmiu latach niekontrolowanego wzrostu te akry zmieniły się w gęstą dżunglę drewna opałowego.

W baraku obok wytwórni chemikaliów na przedmieściach Centrusa znaleźliśmy setki stalowych beczek, stu – i dwustupięćdziesięciolitrowych, które z łatwością można było przerobić na piecyki. Kiedyś byłem spawaczem, więc w godzinę nauczyłem kilku facetów, jak wycinać otwory w beczkach. Alysa Bertram również umiała spawać. Razem mocowaliśmy metalowe rury do piecyków. W akademiku i „Pod Muzami” ludzie wystawiali te prymitywne kominy przez otwory w oknach lub ścianach.

Do zwózki przydzieliliśmy jeden kombajn i jedną furgonetkę: potrzebowaliśmy ośmiuset pięćdziesięciu kubików drewna, żeby wystarczyło na całą zimę. Było potrzebne do topienia lodu na wodę, jak również do ogrzewania i gotowania.

Wszyscy odetchnęli z ulgą, gdy zaczęto otrzymywać pierwsze plony. Z kurczą

wyrośli kury znoszące jajka. Artyści zabrali dwie pary, co z pewnością z nadejściem zimy uczyni dom „Pod Muzami” bardzo interesującym miejscem. W akademiku zamieniliśmy w kurnik salę telewizyjną na parterze. Jeśli ktoś już musiał oglądać filmy na dużym ekranie, był zmuszony dzielić tę przyjemność z kurczakami. Uznałem, że przez jakiś czas nie będzie regularnych audycji telewizyjnych. (Okazało się, że byłem w błędzie: w nudne zimowe wieczory ludzie byli gotowi oglądać cokolwiek, nawet amatorskie filmy swoich sąsiadów).

Słoneczna sala gimnastyczna na górze została zamieniona w szklarnię, w której hodowano sadzonki roślin. W zimie mogliśmy tam również uprawiać warzywa, gdyż Anita zainstalowała w tym miejscu trzy piecyki na drewno i dodatkowe oświetlenie.

Natomiast Sage znalazła bardziej skuteczne niż eleganckie rozwiązanie naprawdę poważnego zimowego problemu, jakim byłaby konieczność brodzenia w śniegu do latryny i wystawiania gołego tyłka na trzydziestostopniowy mróz. Nawet na tej szerokości geograficznej już na niewielkiej głębokości zalegała warstwa wiecznej zmarzliny. Wszystko, co znajdowało się poniżej siedmiu metrów pod powierzchnią (a nie dość głęboko, by ogrzało je jądro planety) zamarzało, aby nigdy nie odtajać. Nie mieliśmy maszyn budowlanych ani dość energii, aby wykopać jamę dostatecznie głęboką i szeroką dla dziewięćdziesięcioosobowej i wciąż powiększającej się gromady ludzi. Jednak zaledwie dziesięć klików od miasta była kopalnia miedzi, z której Sage przywozła górniczy laser i ładunki wybuchowe, które załatwiły sprawę.

Ludzie w śródmieściu będą musieli zadowolić się tradycyjną latryną, ale sztuka zawsze wymaga ofar. Wycieczki do lodowato zimnego atrium zbliżą ich do natury i pozwolą lepiej poznać swoje wnętrza.

## 27

Przykładałem się do odbudowy równie ochoczo jak zawsze do wszystkiego poza walką. Marygay również. W powietrzu wyczuwało się napięcie. Nie rozmawialiśmy o wyprawie na Ziemię, aż do dnia losowania.

Wszyscy zebrali się w samo południe w bufecie domu akademickiego, przed szklaną miską z leżącymi w niej trzydziestoma dwiema karteczkami papieru. Najmłodsza z dzieci, które już mogły to zrobić, Mori Dartmouth, usiadła na stole i wylosowała dwanaście nazwisk, które odczytałem na głos. Sara była druga i nagrodziła mnie radosnym piskiem. Cat była trzecia i uściskała Sarę. Marygay była ósma i tylko skinęła głową.

Po wyczytaniu wszystkich dwunastu kartka z moim nazwiskiem pozostała w misce. Nie patrzyłem na Marygay. Wystarczy, że gapiło się na nią wielu innych. Odkasznęła, ale ubiegł ją Peek Maran.

–Marygay – powiedział – ty nie polecisz bez Williama, a ja bez Normy. Wygląda na to, że powinniśmy grać dalej.

–Co proponujesz? – zapytałem. – Nie mamy monet.



**–Nie – rzekł, otrząsnąwszy się z zaskoczenia, wywołanego nieznanym słowem. Należał do trzeciej generacji i nigdy nie widział pieniędzy w innej formie niż elektroniczna. – Opróżnijmy miskę i wrzućmy do niej kartki z naszymi nazwiskami... Nie, wystarczą Williama i Normy. Potem niech Mori wylosuje jedną.**

**Mori uśmiechnęła się i klasnęła w rączki.**

**W ten sposób wygrałem – albo wygraliśmy – podróż i wyczuwałem cichą zazdrość obecnych. Wielu tych, którzy nie zgłosili swoich kandydatur, na wiosnę już tego żałowało, a teraz, przed długą zimą, chętnie wybrałoby się na taką wycieczkę.**

**Wszystkie przygotowania zakończyliśmy kilka miesięcy wcześniej. Mieliśmy wziąć statek numer dwa, nazwany „Mercury”. Wyładowano z niego cały sprzęt rolniczy, jak również materiały i narzędzia dla kolonistów. Jeśli Ziemia jest wyludniona, po prostu wrócimy ze złą wiadomością i niech następne pokolenia zdecydują, czy należy ponownie ją zasiedlić.**

Przygotowaliśmy się też na inną ewentualność. Na każdym statku był pancierz bojowy. Wzięliśmy wszystkie cztery. Zabraliśmy także pole, ale postanowiliśmy nie brać bomby typu „nova”, ani żadnych tego rodzaju broni. Gdyby sytuacja stała się aż tak poważna, to i tak będzie po nas.

Pancerze nie były najlepsze, ponieważ zaprojektowano je dla osób o przeciętnych rozmiarach i umiejętnościach, więc nawet zastanawialiśmy się, czy ich nie zostawić – dla zasady. Ja argumentowałem, że kiedy przyjdzie czas, wcale nie musimy z nich korzystać – dla zasady. Na razie jednak, jak mówił poeta, nie ruszajmy lekko w tę paskudną noc. Albo jakoś tak.

## Księga piąta

### KSIĘGA APOKRYFÓW

## 28

Podobno niektóre indiańskie szczepy czy plemiona nie miały żadnych rytuałów związanych z pożegnaniem: odchodzący po prostu odwracał się plecami i odchodził. Rozsądni ludzie. My przez cały dzień chodziliśmy od jednych drzwi do drugich, żegnając się ze wszystkimi, ponieważ nikogo nie chcieliśmy urazić.

Jako burmistrz i tak spotkałem się z połową mieszkańców kolonii, ponieważ każdy zarządzał tym lub owym, i musiał zająć do mnie, żeby zdać sprawozdanie oraz powiedzieć, co zamierza robić podczas mojej nieobecności. Sage, która w tym czasie miała mnie zastępować, słuchała tego wszystkiego razem ze mną.

Następnego dnia miała dopilnować, żeby wszyscy zeszli do piwnicy, chroniąc się przed promieniowaniem, zanim Marygay naciśnie guzik. Dokładnie o dwunastej w południe przekazała nam drogą radiową, że wszyscy oprócz niej są już na dole. Daliśmy jej minutę, z której statek odliczył ostatnie dwadzieścia sekund.

Z początku było to wgniatające w fotele cztery g – potem tylko dwa. Później przez połowę orbity unosiliśmy się w stanie nieważkości i statek ze stałym przyspieszeniem jednego g pomknął w kierunku Mizara.

Półtorej doby nieustannego przyspieszania.

Przygotowywaliśmy proste posiłki i rozmawialiśmy, gdy Mizar zbliżał się, aż znalazł się bliżej, niż chcielibyśmy widzieć tę młodą błękitną gwiazdę.

Kolapsar był czarnym punkcikiem na tle przefiltrowanego blasku olbrzymiej gwiazdy,

**potem plamką i szybko powiększająca się kulą, aż wreszcie poczuliśmy to przedziwne skręcanie i nagle znaleźliśmy się w czarnym, głębokim kosmosie.**

**Teraz pięć miesięcy lotu na Ziemię. Weszliśmy do naszych trumien – Sara szybko i niezgrabnie, wstydząc się swojej nagości – podłączyliśmy cewniki i czekaliśmy na nadejście snu. Słyszałem cichy głos statku, nakazującego niektórym poprawić to czy inne łącze, a potem wszechświat zmałał do punktu i znikł, a ja znów zapadłem w zimny sen hibernacji.**

Rozmawiałem z Dianą o emocjonalnym czy też egzystencjalnym dyskomforcie, który odczuwałem poprzednim razem. Powiedziała, że jeżeli dobrze się orientuje, to nie ma na to lekarstwa. Jak mogłoby być, jeśli twoje procesy metaboliczne przebiegają wolniej niż u sekwoi? Po prostu spróbuj przed zaśnięciem myśleć o przyjemnych rzeczach.

Prawie się udało. Większość z nas widziała z pojemników ekran widokowy, więc zaprogramowałem go tak, żeby pokazywał szereg uspokajających widoków. Obrazy ekspresjonistów, spokojne zdjęcia przyrodnicze. Zastanawiałem się, czy na Ziemi zachowała się jakaś przyroda. Ani Człowiek, ani Taurańczycy nie darzyli natury sentymentem – znajdowali piękno w abstrakcji.

No cóż, my też nie traktowaliśmy jej najlepiej. Większą część historii ludzkości stanowiły dzieje zmagania przemysłu z przyrodą, zwycięskich dla tego pierwszego.

I tak przespałem pięć miesięcy, które czasem wydawały się pięcioma minutami, spoglądając na szereg sielskich widoków, przeważnie będących ekstrapolacjami miejsc, które znałem tylko z opisów lub filmów – nawet komuna, w której się wychowałem, mieszkała na przedmieściach. Bawiłem się w równo przyszyżonych parkach i wyobrażałem sobie, że to dżungla. Teraz powracałem do tych marzeń.

To dziwne, lecz w tych snach nie wracałem do Middle Finger, gdzie z Matką Naturą zawsze byłem w tak bliskich – chociaż napiętych – kontaktach. Podejrzewam, że te wspomnienia nie przyniosłyby mi spokoju.

Tym razem wyjście z hibernacji było trudniejsze i mniej przyjemne niż wtedy, kiedy pomagała mi Diana. Byłem oszołomiony i odrętwiały. Palce odmawiały mi posłuszeństwa i przy odkręcaniu zaworów aparatury nie odróżniały kierunku zgodnego z ruchem wskazówek zegara od przeciwnego. Wstałem z pojemnika zalany krwią od pasa w dół, chociaż nie byłem ranny.

Poszedłem pomóc Marygay, która też już dochodziła do siebie, usiłując rozplatać i odczepić rurki. Jakoś zdołała nie ochlapać się krwią. Oboje ubraliśmy się i poszła sprawdzić, co z Sarą, a ja zająłem się pozostałymi.

Obudziłem Rii Highcloud, która była naszą sanitariuszką. Właściwie tak naprawdę była bibliotekarką, ale Diana przez tydzień intensywnie uczyła ją, jak posługiwać się standardowym zestawem medycznym na pokładzie statku.

Antres 906 był przytomny i skinął mi głową, kiedy zajrzałem do jego trumny. Dobrze. Gdyby coś poszło nie tak, byłby zdany na łaskę podręcznika pierwszej pomocy, który o Taurańczykach wspominał w przypisach.

**Jacob Pierson był zimny jak głaz i nie zdradzał żadnych oznak życia. Zapewne nie żył od pięciu miesięcy. Miałem dziwne poczucie winy z powodu tego, że nie lubiłem go i niespecjalnie cieszyłem się z tego, że mieliśmy razem pracować.**

**Wszyscy inni przynajmniej się ruszali. Nie będziemy wiedzieli na pewno, że wszystko z nimi w porządku, dopóki nie wstaną i nie zaczną mówić. Niedomagania mogły**

przybierać rozmałą formę. Kiedy Charlie zbudził się z hibernacji po podróży na Middle Finger, nie czuł zapachu kwiatów, chociaż nie stracił węchu. (Marygay i ja w żartach używaliśmy tego wykrętu, jeśli zdarzyło nam się o czymś zapomnieć: „Pewnie zatarło mi się podczas hibernacji”).

Rii powiedziała, że Sara dochodzi do siebie. Wprawdzie trzeba ją trochę powycierać, ale nie chciała, żeby to Marygay pomogła jej doprowadzić się do porządku.

Włączyliśmy ekran. Ziemia wyglądała doskonale, a przynajmniej tak, jak oczekiwaliśmy. Mniej więcej jedna trzecia tego, co widzieliśmy między chmurami, była miastem, szarym i monotonnym, pokrywającym północną Afrykę i południową Europę.

Napiłem się wody i zdołałem zatrzymać ją w żołądku, chociaż miałem wrażenie, że unosi się w nim jako zimna, gładka kula. Koncentrowałem się na tym wysiłku, kiedy zdałem sobie sprawę, że Marygay cicho płacze, rozmazując płynące łzy knykciami i przedramieniem.

Pomyślałem, że chodzi jej o Piersona i zamierzałem powiedzieć coś pocieszającego.

–To samo – oświadczyła zduszonym głosem. – Nic. Tak jak na Middle Finger.

–Może oni...

Nie wiedziałem, co powiedzieć. Albo zginęli, albo zniknęli. Całe dziesięć miliardów. Antres 906 wygramolił się z pojemnika i unosił się za mną.

–Można było tego oczekiwać – rzekł – ponieważ nie znaleźliśmy żadnych śladów

ich pobytu w Centrusie. – Wydał dziwny dźwięk, przypominający ochryple gruchanie

gołębia. – Muszę połączyć się z Całym Drzewem.

Marygay obrzuciła go przeciągłym spojrzeniem.

–A gdzie jest to twoje Drzewo? Przechylił głowę na bok.

–Wszędzie, oczywiście. Jak telefon.

–Oczywiście. Odpięła pas i uniosła się z fotela.

–No cóż, pomóżmy ludziom wstać i doprowadzić się do porządku. Potem zobaczy

**my, co jest na dole.**

**„Pochowaliśmy” Jacoba Piersona w przestrzeni. Należał do jakiegoś odłamu muzułmanów, więc Mohammed Ten powiedział kilka słów, zanim Marygay nacisnęła guzik i otworzył się luk, przez który ciało powoli odleciało w pustkę. Właściwie był to rodzaj kremacji, gdyż krążyliśmy po dostatecznie wąskiej orbicie, aby po pewnym czasie spłonęło na skutek tarcia.**

**Wylądowaliśmy na Przylądku Kennedy’ego, w specjalnym obszarze na jego odległym krańcu przeznaczonym dla tych, którzy przyziemiali w deszczu promieni gamma. Grubo opancerzony transporter podjechał i czekał na nas.**

Po trzydziestu minutach radiometr pozwolił nam wyjść. Powietrze było gorące i przesycone zapachem soli. Wiatr gnał po mangrowych moczarach i tarosił nasze ubrania, gdy chwiejnie schodziliśmy po pochylni. Na dole pachniało rozgrzanym metalem i cicho trzeszczał stygnący beton lądowiska.

–Jak cicho – powiedziała Alysa.

–Tutaj zawsze było cicho – rzekł Po – między startami i lądowaniami. Obawiam się, że równie cicho będzie w całym kosmoporcie. Tak samo jak u nas.

Metalowe podłoże nadal emitowało ciepło. I może trochę cząsteczek alfa. Mimo to powietrze było cudowne. Trochę kręciło mi się w głowie od nadmiaru tlenu.

–Kim jesteście? – huknął transporter w standardowym języku. – Skąd przybywacie?

Marygay odpowiedziała po angielsku:

–Mów po angielsku. Jesteśmy grupką obywateli Middle Finger, planety Mizar.

–Przybyliście handlować?

–Po prostu przybyliśmy. Zabierz nas do ludzi. Podwójne drzwi na bocznej ścianie pojazdu rozsunęły się.

–Mogę zabrać was do portu. Bez kół nie wolno mi poruszać się po drogach.

Weszliśmy do środka i natychmiast uaktywniły się cztery duże wizjery. Kiedy zajęliśmy miejsca, drzwi zamknęły się, a pojazd cofnął się, zawrócił i pomknął w kierunku końca długiego pasa. Poruszał się na dwunastu długich nogach.

–Dlaczego nie masz kół? – wykrztusiłem, podrzucany na fotelu.

–Mam koła. Tylko od dawna ich nie zakładałem.

–Czy w porcie są jacyś ludzie? – spytał Mohammed.

–Nie wiem. Nigdy nie byłem w środku.

–A czy na planecie są jacyś ludzie? – zapytałem.

–Na to pytanie nie potrafię odpowiedzieć. – Zatrzymał się tak gwałtownie, że Matt i



**ja, siedząc twarzą do kierunku jazdy i nie mając zapiętych pasów, o mało nie wylecieliśmy z siedzeń. Drzwi rozsunęły się na oścież. – Sprawdźcie, czy zabraliście wszystkie bagaże. Uważajcie przy wysiadaniu. Miłego dnia.**

**Główny budynek portu był ogromną budowlą bez linii prostych: same szerokie łuki i krzywe, ze ściankami przypominającymi kuty lśniący metal. Wschodzące słońce odbijało się pomarańczowo od setek błyszczących powierzchni.**

**Po chwili wahania ruszyliśmy w kierunku drzwi z napisem DIIJHA/PRZYLOTY, które z jakiegoś powodu otwierały się do góry. Przechodząc przez nie, czułem się jak pod gilotyną. Pozostali też pospiesznie weszli do środka.**

**W terminalu nie było całkiem cicho. Słyszać było łagodny szum pulsujący w rytmie wolniejszym niż bicie serca. A także ledwie słyszalne elektroniczne piski.**

**Podłoga była zasłana ubraniami.**

–No cóż – rzekł Po. – Chyba możemy już zrobić w tył zwrot i wracać do domu.

Antres 906 wydał dziwny syk, jakiego jeszcze nigdy nie słyszałem, czemu towarzyszył szeroki gest lewej ręki.

–Rozumiem, dlaczego próbujecie żartować. Mamy jednak wiele pracy i może nam tu grozić niebezpieczeństwo. – Zwrócił się do Marygay. – Kapitanie, proponuję, żeby przynajmniej jeden z członków załogi wrócił na statek po pancerz bojowy.

–Dobry pomysł – rzekła. – Williamie? Sprawdź, czy uda ci się wsiąść do transportera.

Wróciłem do drzwi, które – oczywiście – nie otworzyły się. Sto metrów dalej znajdowały się drugie, z napisem MOSCH/TRANSPORT. Kiedy przez nie przeszedłem, transporter podjechał ze szczękiem.

–Zapomniałem czegoś – powiedziałem. – Podrzucić mnie z powrotem do statku.

Zakładanie pancerza zwykle jest dramatyczną i zbiorową czynnością. W szatni są stojaki dla co najmniej czterdziestu osób: rozbierasz się i wchodzisz do pancerza, podłączasz układy i pozwalasz by zaniknął się na tobie, po czym ruszasz do boju. Teoretycznie cała kompania potrafi w parę minut założyć pancerze, wyjść na zewnątrz i podjąć walkę.

Kiedy nie ma stojaków i oprzyrządowania, a pancerz nie jest przystosowany do twojego ciała, ta czynność nie jest ani szybka, ani dramatyczna. Wciskasz się do środka aż w końcu jakoś się wpasujesz, po czym próbujesz zamknąć pancerz. Kiedy ci się to nie uda, powtarzasz kilka ostatnich czynności i próbujesz ponownie.

Zajął mi to prawie piętnaście minut. Zszedłem po pochylni, początkowo niezdarnie. Drzwi transportera otworzyły się.

–Dzięki za dobre chęci – rzekłem. – Chyba się przejdę.

–Nie wolno – powiedział. – To niebezpieczne.

–Ja jestem niebezpieczny! – huknąłem i powstrzymałem chęć urwania mu kilku nóg, żeby sprawdzić, co się stanie. Zamiast tego ruszyłem biegiem, zmuszając system wzmacniający pancerza do wykonywania długich susów. Nie szło mi tak gładko i łatwo jak niegdyś, ale poruszałem się dość szybko. Po niecałej minucie dotarłem do drzwi terminalu.

**Nie otworzyły się przede mną, wyczuwając, że jestem maszyną. Przeszedłem przez nie. Hartowane szkło zmatowiało, wygięło się i rozdarło jak tkanina. Marygay roześmiała się.**

**–Mogłeś zapukać.**

**–Właśnie to zrobiłem – odparłem. Mój wzmocniony głos odbił się echem w pustej hali. Zmniejszyłem głośność do normalnej rozmowy. – Nasi dziwacy poszli szukać swoich Drzew?**

**Brakowało szeryfa i Taurańczyka.**

Kiwnęła głową.

–Prosili, żebyśmy tu zaczekali. Jak pancierz?

–Jeszcze nie wiem. Wzmacniacz pracy nóg działa. Z drzwiami też poszło gładko.

–Dlaczego nie wyjdiesz na zewnątrz i nie sprawdzisz go? Jest bardzo stary.

–Dobry pomysł.

Wyszedłem przez wybitą w drzwiach dziurę i rozejrzałem się, szukając celu. Czego nie będziemy potrzebowali? Wycelowałem w kiosk z przekąskami i wydałem rozkaz otwarcia ognia z laserowego miotacza we wskazującym palcu. Budka natychmiast stanęła w płomieniach. Cisnąłem w nią granatem i eksplozja zgasiła pożar, rozrzucając szczątki.

Transporter przybiegł ze szczękiem w towarzystwie małego robota, migającego niebieskimi lampkami. Na piersi i plecach miał napis OCHRONA PARKINGU.

–Jesteś aresztowany – huknął stentorowym głosem. – Przekaż mi kontrolę. Tym ostatnim słowem towarzyszył niemal poddźwiękowy warkot.

–Przekaż mi kontrolę.

–Jasne. Uaktywniłem rakietę, którą wyświetlacz zidentyfikował jako USSR. Nie używaliśmy

takiego skrótu. Założyłem, że oznacza „umiarkowaną siłę rażenia” i wystrzeliłem pocisk. Zamienił robota w parę, pozostawiając krater o średnicy dwóch metrów i wywracając transporter.

Pojazd przez chwilę kołysał się do przodu i do tyłu, aż znowu stanął na pajęczych nogach.

–Nie musiałeś tego robić – powiedział. – Mogłeś wyjaśnić sytuację. Musisz mieć jakiś powód do takiego arbitralnego niszczenia mienia.

–Musiałem poćwiczyć strzelanie do celu – oświadczyłem. – Ten pancierz bojowy jest bardzo stary i musiałem sprawdzić, jak działa.

–Dobrze. Skończyłeś?

–Jeszcze nie. – Nie wypróbowałem głowic jądrowych. – Mimo to wstrzymam się z

**dalszymi próbami, dopóki nie znajdę lepszego celu.**

**–Celu poza obszarem kosmoportu?**

**–Jak najbardziej. Tutaj nie ma niczego dostatecznie małego, co warto byłoby niszczyć.**

**Wydawało się, że rozmyśla, integrując to stwierdzenie ze swoim światopoglądem.**

**–Bardzo dobrze. Nie będę już wzywał policji. Chyba, że znowu coś tu zniszczysz.**

**–Nie. Słowo skauta.**

**–Wyraź to innymi słowami.**

**–Nie zniszczę tutaj niczego, nie uprzedziwszy cię w porę.**

Dostał lekkiego ataku mechanicznego szału, tupiąc tuzinem nóg. Pewnie otrzymywał sprzeczne polecenia. Zostawiłem go tam, żeby doszedł do siebie. Szeryf wrócił prawie równocześnie ze mną.

–Całe Drzewo nie wyczuwa niebezpieczeństwa – oznajmił. – Nie wydaje im się, żeby coś było tu nie w porządku.

–Mamy czuć się jak w domu? – spytała Marygay.

Skinął głową.

–To znacznie bardziej skomplikowane niż się zdaje – rzekł – i Drzewo nadal usiłuje zrozumieć, co się stało.

–Tylko że nie może – powiedział Po.

–Cóż, teraz uzyskało nowe informacje. O tym, co wydarzyło się w kosmosie i na Middle Finger. I na Tsogot. Może zdoła poskładać te fragmenty łamigłówek.

–Potraf myśleć samodzielnie? – zapytałem. – Bez podłączonych do niego ludzi?

–Ono właściwie nie myśli. Po prostu przesiewa informacje i czyni je bardziej zrozumiałymi. Czasem rezultat przypomina efekt procesu myślowego.

Antres 906 też wrócił.

–Nie mam nic do dodania – oświadczył.

Może naprawdę powinniśmy zrobić w tył zwrot i wrócić do domu. Zacząć odbudowę cywilizacji, korzystając z tego, co mamy. Myślę, że szeryf i Taurańczyk głosowaliby za takim rozwiązaniem, ale nie pytaliśmy ich o zdanie.

–Uważam, że powinniśmy zajrzeć do jakiegoś miasta – zaproponowała Marygay.

–Znajdujemy się tuż obok tego, które było największe na Ziemi – przypomniała Cat.

–Przynajmniej pod względem obszaru.

Marygay spojrzała na nią.

–Mówisz o tym kosmoporcie?

–Nie, o naprawdę wielkim mieście. O Disney!



Byliśmy z Marygay w Disneyworldzie, gdyż nadal tak je nazywano, na początku dwudziestego pierwszego wieku, a już wówczas było dużym miastem. To, do którego wjechaliśmy teraz, było zaledwie jednym z wielu „landów”, tworzących Waltland, który zwiedzało się grupowo pod opieką elektronicznego sobowtóra założyciela, który oprowadzał wycieczki i wyjaśniał im, co widzą.

Transporter przyjaźnie zgodził się założyć koła i w dwadzieścia minut zawiózł nas na przedmieścia Disney.

Miasto otaczał szeroki krąg parkingów dla gości i zatłoczonych osiedli, w których mieszkali pracujący tam ludzie.

Najwidoczniej powinniśmy zaparkować i poczekać aż wycieczkowy autobus zabierze nas do miasta. Kiedy próbowaliśmy przejechać przez bramę, zablokował ją wielki, jaskrawo pomalowany robot z kreskówki, i zaczął wyjaśniać głośnym i dziecięcym głosem, że powinniśmy być grzeczni i zaparkować jak wszyscy. Mówił na przemian standardowym i angielskim. Powiedziałem mu, żeby się odpieprzył i potem wszystkie maszyny mówiły do nas tylko po angielsku.

Trzeciej bramy wjazdowej pilnował robot-Goofy. Ubrany w pancerz bojowy, wysiadłem z pojazdu. Powiedział: „Aha – i co my tu mamy?” a ja przewróciłem go kopniakiem, oderwałem wszystkie cztery nogi i rozrzuciłem na cztery strony świata. Zaczął powtarzać: „Oo, a to dobre... Oo, a to dobre”, więc urwałem mu szeroki na metr łeb i cisnąłem jak najdalej.

Pomieszczenia personelu były zasłonięte hologramami, które już tylko częściowo spełniały swoją rolę. Z jednej strony widzieliśmy dżunglę, w której bawiły się sympatyczne małpki, a z drugiej stado dalmatyńczyków biegało po ogromnym domu. Jednak obrazy były półprzezroczyste i chwilami zupełnie zanikały, ukazując rzędy identycznych baraków.

Znaleźliśmy się w krainie Dzikiego Zachodu, sporym starym miasteczku z pionierskich czasów, które kiedyś istniały w filmach i powieściach. Tu nie było tak jak w ko-



smoporcie – porzucone ubrania nie wały się wszędzie wokół. Miasteczko było bardzo czyste, a przechadzający się po nim ludzie w strojach z tamtej epoki nadawali mu atmosferę iluzorycznego spokoju. Oczywiście, były to roboty, w mocno wyblakłych i znoszonych ubraniach, poprzecieranych na kolanach i łokciach.

–Może park był zamknięty, kiedy to się stało – powiedziałem, chociaż trudno było w to uwierzyć, patrząc na tysiące pojazdów stojących równymi rzędami na parkingach.

–Wtedy był pierwszy kwietnia, godzina trzynasta dziesięć czasu miejscowego – powiedział szeryf. – Środa. Czy to może mieć jakieś znaczenie?

–Prima aprilis – powiedziałem. – Niezły żart.

–Może wszyscy weszli tu nago – podsunęła Marygay.

–Wiem, co się stało z ubraniami – oznajmiła Cat. – Popatrzcie.

Otworzyła drzwi i wyrzuciła z pojazdu kulę zmiętego papieru.

Zapadnia w ścianie saloonu otworzyła się i wyjechała z niej półmetrowa Myszka

Miki. Nabiła papier na kij i powiedziała do nas, grożąc palcem, piskliwie i karcąco:

–Nie śmieć! Nie bądź zakałą!

Pojazd znów wyprostował nogi, żeby łatwiej manewrować na wąskich uliczkach.

Krok za krokiem maszerował przez tę dziwną krainę saloonów, sal tanecznych, sklepów spożywczych i malowniczych wiktoriańskich domów, z zastępami obdartych i pracowitych robotów. Na drewnianych chodnikach stopy robotów pozostawiły jaśniejszy, głęboki na parę centymetrów ślad. Dostrzegliśmy kilka uszkodzonych maszyn, które zastygły w bezruchu, a dwukrotnie napotkaliśmy całe ich sterty. Bezsilnie przebierały nogami w powietrzu – najwidoczniej przewróciwszy się przy zderzeniu z jakimś zepsutym egzemplarzem. Tak więc nie były to prawdziwe roboty, tylko mechaniczne modele. Ma-rygay przypomniła sobie określenie „audio-animatrony”, a Cat potwierdziła, że dwieście lat po naszej wizycie tutaj, ze względów sentymentalnych i dla uciechy gości, znów uruchomiono te staromodne urządzenia.

Najbardziej rzucającym się w oczy anachronizmem były ogniwa słoneczne, pokrywające południowe części wszystkich dachów. (Bardziej prozaicznym anachronizmem było to, że w każdym budynku, nawet w kościołach, coś sprzedawano).

**Przynajmniej nie mielibyśmy tu problemu ze znalezieniem dachu nad głową i pożywienia. Było tu tyle zamrożonej i zakonserwowanej żywności, przeważnie znacznie atrakcyjniejszej choć może mniej pożywej od naszych racji żywnościowych, że wystarczyłoby dla kilku pokoleń.**

**Postanowiliśmy spędzić noc w przydrożnej gospodzie Molly Malone. Marygay i ja ze zdziwieniem zobaczyliśmy cennik usług seksualnych wiszący za kontuarem recepcji. Cat wyjaśniła, że te usługi świadczyły roboty. Czyste roboty.**

Jednak jeszcze większą niespodziankę sprawił nam nasz robot – transporter. Wyszliśmy z zajazdu Molly Malone, żeby zabrać bagaże i zastaliśmy je równo ułożone na chodniku. A za nimi, zamiast transportera, stał przystojny kowboj. Nie wyglądał tak jak tamte zużyte roboty, ale też nie wyglądał na człowieka. Był za duży – miał prawie trzy metry wzrostu. Pozostawiał głębokie ślady stóp w ulicznym pyłe, a deski chodnika głośno zatrzeszczały, kiedy na nie wszedł.

–Właściwie nie jestem pojazdem – powiedział. – Ani maszyną. Po prostu w porcie wygodnie mi było wyglądać i działać jak pojazd.

Mówił powoli, południowym dialektem, który niejasno pamiętałem z dzieciństwa. Po chwili zaskoczyłem: wyglądał jak John Wayne. Mój ojciec uwielbiał filmy z tym aktorem, a matka nienawidziła ich.

Mówiąc, zawijał w bibułkę sporą porcję tytoniu.

–Mogę znów być pojazdem lub dowolną rzeczą czy organizmem, jaki będzie potrzebny.

–Możesz to zademonstrować? – zapytał Taurańczyk.

Wzruszył ramionami i wyjął dużą zapalną, po czym zapalił ją, potarłszy o podeszwę buta. Dwutlenek siarki oraz – kiedy wydmuchnął dym – kwaśna woń tytoniu. Nie wahałem tego zapachu od trzydziestu lat, a może od trzynastu stuleci. Papierosy – tak to nazywano.

Zrobił trzy gigantyczne kroki w tył i na naszych oczach przybrał kształt transportera. Zachował jednak kolory dżinsu i skóry, a na dachu ludzką rękę, w której trzymał papierosa.

Potem zmienił się w przerośniętego Taurańczyka, wciąż trzymającego papieros. Szybko powiedział coś po taurańsku do Antresa 906, a później znowu zmienił się w Johna Wayne'a. Zaciągnął się po raz ostatni i zgasił papierosa kciukiem i wskazującym palcem.

Nikomiu z nas nie przychodziła do głowy żadna inteligentna kwestia, więc wybrałem oczywistą:

–Jesteś przybyszem z kosmosu.

**–Prawdę mówiąc, nie. Nic podobnego. Urodziłem się na Ziemi, mniej więcej dziewięć tysięcy lat temu. To wy jesteście stworzeniami z innej planety.**

**–Zmienia kształt – szepnęła Marygay.**

**–Tak jak wy ubrania. Moim zdaniem zawsze mam ten sam kształt. – Wykręcił nogę pod nienaturalnym kątem i spojrzał na podeszwę buta. – W waszym języku nie ma dla nas nazwy, ale możecie nazywać nas Omni. Tak więc jestem Omni.**

**–Ilu was jest? – zapytał Po.**

**–A ilu wam potrzeba? Stu, tysiąc? Mógłbym przemienić się w zastęp skautek, byle tylko ich łączna waga nie przekraczała dwóch ton. Albo w stado homarów. Tylko piekielnie trudno pozbierać je potem do kupy.**

–Hej, ludzie, byliście na Ziemi od dziewięciu tysięcy lat... – zaczął Max.

–Raczej od stu pięćdziesięciu i nie jesteśmy ludźmi. Przeważnie nawet nie wyglądamy jak ludzie. Przez ponad wiek byłem w muzeum rzeźbą Rodina. Nigdy nie wpadli na to, w jaki sposób złodzieje zdołali wynieść mnie z budynku.

Roześmiał się i John Wayne rozpadł się na dwie połowy, które zmieniły się w dwoje strażników muzeum – szczupłą dziewczynę i starego grubasa. Para przemówiła zgodnym chórem:

–Kiedy robię coś takiego, jestem prawdziwą zbiorową osobowością, do jakiej aspirują Taurańczycy i Człowiek. – Obie postacie rozpadły się na stertę uciekających na wszystkie strony karaluchów. Dwie Myszki Miki natychmiast potoczyły się w ich kierunku. Omni natychmiast ponownie zmienił się w Johna Wayne’a i kopniakiem odrzucił jednego z robotów na dach zajazdu Molly Malone.

–Jak to robisz? – zapytałem.

–Kwestia wprawy. Dobre oko i celny wykop.

–Nie, pytam o to, w jaki sposób zmieniasz kształt? Przecież nie można zmienić cząsteczek metalu w materię organiczną.

–Myślę, że można – rzekł. – Ja robię to cały czas.

–Chcę powiedzieć, że to niezgodne z prawami fizyki.

–Wcale nie. To wasza wersja fizyki jest niezgodna z rzeczywistością.

Zaczynałem czuć się jak Alicja w Krainie Czarów. Może Lewis Carroll był jednym z nich.

–Pozwól, że odwrócę to pytanie – ciągnął. – W jaki sposób zmieniacie pożywie nie w ciało? Jedząc.

Zastanowiłem się tylko chwilę.

–Organizm rozkłada pożywie nie na prostsze związki. Aminokwasy, tłuszcze, węglowodany. Te związki, które nie zostaną zużyte do produkcji energii, mogą być zamienione w ciało.

**–Tak uważacie – rzekł. – Kilka tysięcy lat temu miałem przyjaciela, niedaleko stąd, który powiedział, że wchłaniacie część duszy zjadanego zwierzęcia lub rośliny, która staje się częścią was. To wyjaśnia wszystkie rodzaje chorób.**

**–Bardzo poetyckie – oświadczyłem – ale błędne.**

**–Tak samo jak wasze poglądy. Po prostu macie inne zapatrywania na to, czym jest poezja i co jest „słuszne”.**

**–W porządku. A teraz powiedz mi, jak to robisz.**

**–Nie mam pojęcia. Urodziłem się z tą umiejętnością, tak samo jak wy z waszym metabolizmem. Mój przyjaciel Timucuan metabolizował tak samo jak wy, chociaż inaczej opisywał te procesy.**

**–I przez dziewięć tysięcy lat nie próbowałeś się dowiedzieć, jak działa twoje ciało?**

–Nie każdy jest naukowcem. – Zmienił się z Johna Wayne’a w człowieka, którego mętnie przypominałem sobie z czytanek, tego artystę, który zajmował się rzeźbieniem ludzkich ciał. U jednej dłoni miał sześć palców, a u drugiej cztery, i detektor podczerwieni na środku czoła. – Jestem kimś w rodzaju historyka.

–Żyjecie wśród ludzi od prehistorycznych czasów – powiedziała Cat – i nikt niczego nie podejrzewał?

–Nie prowadzimy kronik – odparł – ale wydaje mi się, że z początku wcale się nie ukrywaliśmy i koegzystowaliśmy. Jednak niebawem, chyba wtedy, kiedy stworzyliście język i społeczeństwo, zaczęliśmy się ukrywać.

–I staliście się legendą – dokończyła Diana.

–Tak. Potrafię być świetnym wilkołakiem – rzekł. – Często uważano nas za aniołów lub bogów. Od czasu do czasu stawałem się zwyczajnym człowiekiem i udawałem, że się starzeję. To jednak jest nudne i smutne.

–Bywałeś też Człowiekiem? – spytał szeryf. – Łączyłeś się z Drzewem?

–To nie jest takie trudne jak sądzisz. Znakomicie panuję nad moimi neuronami. Drzewo nie może odróżnić mnie od człowieka – bo wy jesteście tylko ludźmi, chociaż z dziurami w czaszce i dziwnymi koncepcjami. – Ponownie zmienił się w Wayne’a i rzekł teksańskim drawłem: – Bandą przeklętych komuchów, gdyby mnie kto pytał.

–To wasza robota? – Stojąc między nami, szeryf i Omni, tworzyli dziwną parę: dwaj wysocy mężczyźni z rewolwerami na biodrach. – Czy to wy sprawiliście, że znikli?

John Wayne nie zachęcił szeryfa do spaceru środkiem ulicy, czego Człowiek i tak pewnie by nie zrozumiał. Omni ze smutkiem pokręcił głową.

–Nie wiem co się stało. Byłem w windzie z dwoma ludźmi, dwoma osobnikami Człowieka, a oni po prostu zniknęli. Rozległ się cichy trzask i ich ubrania upadły na podłogę. Drzwi windy otworzyły się i wyjechałem na zewnątrz – bo miałem wtedy postać robota rozwożącego kanapki – a wtedy zobaczyłem, że w całym budynku nie ma nikogo, tylko wszędzie leżą porzucone ubrania. Na zewnątrz było okropne zamieszanie, tysiące wypadków drogowych. Jakiś latacz rozbił panoramiczne okno. Przybrałem ludzką postać i zbiegłem po schodach do piwnicy, gdzie czekałem aż wszystko się uspokoi.

–I gdzie to było? – zapytałem.

**–W sektorze Titusville. To część administracji kosmoportu. Jadąc tutaj, mijaliśmy ten budynek. – Przybrał postać olbrzymiego Alberta Einsteina i usiadł na ziemi, krzyżując nogi, tak że oczy miał na wysokości naszych twarzy. – To był dogodny zbieg okoliczności, gdyż nawet gdybym był gdzie indziej i tak ruszyłbym do kosmoportu, żeby poczekać tam, aż ktoś przybędzie wyjaśnić, co się stało.**

**–Nie sądzę, żebyśmy wiedzieli więcej od ciebie – oświadczyła Marygay.**



–Wiecie, co stało się u was. Może razem jakoś zdołamy to wyjaśnić. – Spojrzał na wschód. – Wasz statek to stary myśliwiec klasy Sumi i jego system łączności ma zabezpieczenia, których nie zdołałem złamać. Dowiedziałem się tylko, że przybyliście z Mid-dle Finger przez kolapsar Aleph-10. Statek wie także, że przedtem był gdzieś razem z wami, ale nie chce powiedzieć gdzie.

–Byliśmy w próżni – odparłem – jedną dziesiątą roku świetlnego od Middle Fin-ger. Wsiedliśmy na przerobiony krążownik i zamierzaliśmy przelecieć dwadzieścia tysięcy lat świetlnych...

–Pamiętam tę informację z Drzewa. Myślałem, że odrzucili waszą prośbę.

–Można powiedzieć, że porwaliśmy ten statek.

Einstein kiwnął głową.

–Niektórzy ludzie twierdzili, że możecie to zrobić. I że należy wam na to pozwolić, żeby uniknąć rozlewu krwi.

–Jeden z nas został zabity – rzekł Taurańczyk. Zapadła niezręczna cisza. Omni powiedział coś po taurańsku, a Antres odrzekł:

–Prawda.

–Przelecieliśmy zaledwie jedną dziesiątą roku świetlnego, gdy antymateria będąca paliwem napędu krążownika niespodziewanie wyparowała.

–Wyparowała? Czy potraficie to naukowo wyjaśnić? Einsteinowi wyrosło trzecie oko, którym gwałtownie zamrugał.

–Nie. Statek sugerował podobieństwo do „granicznych stanów przejściowych wirtualnej substytucji cząsteczkowej”, ale jeżeli mi wiadomo, ta teoria nie znajduje tu zastosowania. W każdym razie z trudem wróciliśmy na Middle Finger w tych zmodyfikowanych myśliwcach klasy Sumi i stwierdziliśmy, że na planecie nie ma nikogo. Okazało się, że – uwzględnivszy poprawki wynikające z teorii względności – wszyscy zniknęli w tym samym czasie co nasza antymateria. Zakładaliśmy, że ocaliło nas to, że byliśmy wtedy poza Middle Finger. Jednak tutaj też się to zdarzyło.

Einstein przygładził swoje długie wąsy.

–Może wy to spowodowaliście.

**–Co takiego?**

**–Sam brałeś pod uwagę takie wyjaśnienie. Jeżeli dwa niewytłumaczalne zdarzenia zachodzą jednocześnie, to musi istnieć między nimi jakiś związek. Może jedno wywołało drugie.**

**–Nie. Gdyby zamknięcie grupki ludzi na lecącym z prędkością światła statku mogło spowodować takie nieprawdopodobne wydarzenia, zauważylibyśmy to już dawno temu.**

**–Tylko że wy nie lecieliście do żadnego konkretnego celu. Nie licząc przyszłości.**

**–Nie wierzę by wszechświat przejmował się naszymi zamiarami.**

Einstein znów się zaśmiał.

–I znowu wracamy do wiary. Właśnie użyłeś słowa „nieprawdopodobne” opisując wydarzenia, które miały miejsce.

Cat była rozbawiona.

–Musisz przyznać, że w tej kwestii ma rację.

–Dobrze. Jednak inną anomalią jest to, że wy wciąż tu jesteście, podczas gdy wszyscy ludzie i Taurańczycy zniknęli. A więc może ty to spowodowałeś.

Zmienił się w olbrzymiego Indianina, być może Timucuana, poznaczonego wymyślnymi tatuażami, nagiego i cuchnącego jak stary kozioł.

–W ten sposób do niczego nie dojdziemy. Chociaż zapytam innych o te graniczne stany przejściowe. Niektórzy z nas znają się na tym.

–Nie możesz porozumieć się z nimi od razu, telepatycznie? – spytała Cat.

–Nie, jeśli nie znajdują się w moim polu widzenia. Tak jak rozmawiałem z waszym statkiem. Dotychczas po prostu dzwoniliśmy do siebie, ale większość linii telekomunikacyjnych już szwankuje. Teraz pozostawiamy sobie wiadomości w Drzewie.

–My też powinniśmy się z nim porozumieć – rzekł szeryf. – Antres i ja.

–Szczególnie z taurańskim Drzewem – przytaknął dzikus. – Potrafmy się do niego podłączyć, ale niewiele rozumiemy.

–Obawiam się, że ja też niewiele rozumiem – powiedział Antres. – Jestem z Tso-got. Pozostajemy, a raczej pozostawaliśmy w kontakcie z Ziemią, ale nasze cywilizacje przez wiele wieków rozwijały się oddzielnie.

–To może być użyteczne. – Dzikus zmienił się w miłego staruszka. – Możemy spojrzeć na to z zupełnie innej perspektywy.

Wyjął niebieską paczkę papierosów i zapalił jednego, w żółtej bibułce, śmierdzącego jeszcze gorzej niż poprzedni. Przejrzałem w myślach takie ojcowsko wyglądające postacie i zidentyfikowałem Walta Disneya.

–Dlaczego tak wiele twoich wizerunków pochodzi z dwudziestego wieku? –

**zapytałem. – Czyżbyś czytał w naszych myślach, Marygay i moich?**

**–Nie, tego nie potrafię. Po prostu lubię ten okres – koniec niewinności, przed Wieczną Wojną. – Mocno zaciągnął się dymem i zamknął oczy, najwyraźniej rozkoszując się smakiem. – Potem wszystko stało się zbyt proste, gdyby ktoś mnie pytał. Wszyscy zdawaliśmy się czekać, aż Człowiek rozwiąże problem po swojemu.**

**–Przetrwaliśmy tak długo, ponieważ nasz sposób się sprawdził – przypomniał szeryf.**

**–Kolonie termitów też się sprawdziły – rzekł Disney – ale nie można z nimi rozmawiać. – A do Antresa powiedział: – Taurańczycy mieli znacznie większe osiągnięcia, a przynajmniej bardziej interesujące, zanim stworzyli zbiorową świadomość. Byłem kiedyś na Tsogot jako ksenosocjolog i studiowałem waszą historię.**

–To teraz czysto akademicka dyskusja – przerwałem mu – o Człowieku i Taurańczykach. Nie ma zbiorowości, nie ma zbiorowej świadomości.

Szeryf pokręcił głową.

–Odtworzymy ją, tak samo jak wy. Większość zamrożonych jajeczek i spermy należy do Człowieka.

–Zakładacie, że wszyscy inni nie żyją – powiedział Disney – a tymczasem wiemy jedynie to, że znikli.

–Pewnie, i wszyscy świetnie się bawią w wielkiej kolonii nudystów w niebie

–mruknąłem.

–Nie mamy żadnych dowodów, które pozwoliłyby to wyjaśnić. Wy zostaliście tutaj i my też. Omni na Księżycu, Marsie oraz wszystkich kosmolotach latających na lokalnych trasach donoszą o zniknięciu ludzi i Taurańczyków, jednak – jeśli się dobrze orientuję – nikt z nas nie zniknął.

–A inne gwiazdoloty? – zapytał Stephen.

–Właśnie dlatego czekałem na Przylądku. W zasięgu kolapsarowego skoku przez Stargate znajdują się dwadzieścia cztery statki. Dwa już powinny wrócić. Jednak wracają tylko automatyczne sondy z rutynowymi wiadomościami.

–Jak myślisz, dlaczego Omni ocaleli? – zapytała Marygay. – Ponieważ jesteście nieśmiertelni?

–Och, nie jesteśmy nieśmiertelni, chyba że w taki sam sposób, jak ameba.

–Uśmiechnął się do mnie. – Gdybyś dziś rano wycelował we mnie, a nie w ten kiosk z hot dogami, pewnie zdołałbyś mnie zabić.

–Przykro mi...

Machnął ręką.

–Myślałeś, że jestem maszyną. Jednak nie, nie licząc waszego przypadku, ten proces wydaje się selektywny gatunkowo. Ludzie i Taurańczyki znikają, a ptaki, pszczoły i Omni – nie.

**–Przecież od innych różnimy się jedynie tym, że próbowaliśmy uciec – powiedziała Cat.**

**Disney wzruszył ramionami.**

**–Załóżmy na chwilę, że wszechświat jednak interesuje się waszymi zamiarami i dostrzegł to, co chcieliście zrobić.**

**Trochę przesadzał.**

**–I wszechświat wkurzył się tak, że załatwił dziesięć miliardów ludzi i Taurańczyków na dokładkę.**

**Anita cicho jęknęła.**

**–Coś... coś jest nie tak.**

Stała sztywno wyprostowana i nagle oczy wyszły jej z orbit. Jej twarz zdawała się puchnąć, a kombinezon wydał się i zaczął pękać. Potem eksplodowała z głuchym i okropnym plaśnięciem, opryskując nas wszystkich krwią i tkankami. Kawałek kości mocno uderzył mnie w policzek.

Spojrzałem na Omni. Był Disneyem, zbryzganym krwią i mózgiem, lecz na moment zmienił się w jakiegoś zębatego i szponiastego stwora – po czym znów stał się wujkiem Waltem.

Większość z nas, włącznie ze mną, usiadła na ziemi. Chance i Steve prawie upadli. W miejscu, gdzie przed chwilą stała Anita, została tylko para butów z dwoma sterczącymi z nich kawałkami zakrwawionych kości.

–Ja tego nie zrobiłem – powiedział Disney. Szeryf wyciągnął pistolet.

–Nie wierzę ci – powiedział. I strzelił mu prosto w serce.

## 30

Kilka następnych minut przypominało farsę. Małe roboty przytoczyły się, żeby posprzątać – Miki, Donald i Minnie recytowały karcące wierszyki, zbierając i wsysając szczątki kobiety, którą znałem przez większą część mojego życia. Kiedy próbowały zabrać buty, jedyne co po niej zostało, poszedłem za przykładem Omni i przepędziłem je kopniakami. Szeryf przyszedł mi z pomocą. Podnieśliśmy po jednym zakrwawionym bucie. – Musimy ją jakoś pochować – oznajmił.

Disney usiadł, trzymając się za pierś.

–Jeśli przestaniecie do mnie strzelać, pomogę wam.

Zamknął oczy, biały jak kreda i przez chwilę wyglądało na to, że zaraz padnie trupem. Jednak powoli, kończyna po kończynie, przekształcił się w ogromnego czarnoskórego mężczyznę ze szpadem w ręku. Z trudem podniósł się z ziemi.

–Zbyt wiele przestawałeś z tymi normalnymi ludźmi – powiedział głębokim ba

sem Louisa Armstronga. – Powinieneś panować nad emocjami. – Uderzeniem łopa

ty odgonił robota i wskazał w kierunku kępy palm. – Zabierzmy ją tam i pochowaj

my. – Zwrócił się do pozostałych. – Wy wejdźcie do środka i umyćcie się. My zajmie

**my się pochówkiem.**

**Zważył w dłoni szpadel i ruszył w kierunku palm. Mijając szeryfa, rzekł:**

**–Więcej tego nie rób. To boli.**

**Poszliśmy za nim z szeryfem, niosąc okropne szczątki. Wykopanie głębokiego, prostokątnego dołka zajęło mu zaledwie minutę. Włożyliśmy buty do dołu, a Omni zasypał go ziemią i uklepał.**

**–Czy była religijna?**

**–Należała do ortodoksyjnych nowych katolików.**

**–Zajmę się tym.**

**Wchłonął szpadel i stał się wysokim księdzem w czarnej sutannie, z tonsurką i krzyżem zawieszonym na grubym łańcuchu na szyi. Powiedział kilka słów po łacinie i wykonał znak krzyża nad grobem.**



Wciąż jako kapłan, wrócił z nami do zajazdu Molly Malone, gdzie nasi ludzie siedzieli na składanych krzesłach i bujaku. Stephen szlochał, a Marygay i Max usiłowali go uspokoić. Miał z Anitą syna, który zginął w wypadku, mając pięć czy sześć lat. Potem rozeszli się, ale pozostali przyjaciółmi. Rii przyniosła mu szklankę wody i tabletkę.

–Rii – powiedziałem – jeśli to środek uspokajający, to mnie też by się przydał.

Miałem wrażenie, że sam zaraz eksploduję, z gniewu i zaskoczenia. Spojrzała na buleczkę.

–Dość łagodny. Czy ktoś chce się zdrzemnąć?

Myślę, że wszyscy mieli na to ochotę, oprócz Antresa 906 i księdza. Poszliśmy z Ma-rygay do pokoju na piętrze, znaleźliśmy łóżko i padliśmy sobie w ramiona.

Słońce już zachodziło, kiedy się zbudziłem. Pospiesznie wstałem z łóżka i stwierdziłem, że instalacje w zajazdzie Molly Malone wciąż działają, a nawet jest gorąca woda. Marygay wstała, kiedy się myłem, i razem zeszliśmy na parter.

Stephen i Matt hałasowali w jadalni. Zestawili razem kilka stołów i rozłożyli na nich trochę plastikowych talerzy i widelców, a także stos konserw.

–Nasz nieustraszony dowódca – powiedziała – otworzy pierwszą puszkę.

Wcale nie miałem ochoty na jedzenie, chociaż powinienem czuć głód. Podniosłem konserwę z etykietą głoszącą czerwonymi literami „Chili” oraz obrazkiem Kaczora Donalda trzymającego się za gardło i ziejącego ogniem. Oderwałem wieczko i zadziałało samoogrzewanie. Po pomieszczeniu rozszedł się przyjemny zapach.

–Nie jest zepsuta – oznajmiłem i nabrałem trochę na widelec. Wersja bezmięсна.

–Wygląda w porządku.

Pozostali też otworzyli puszki i wkrótce w sali pachniało jak w bufecie. Cat i Po zeszli z piętra, a za nimi Max. Zjedliśmy ten skromny posiłek w głośnym milczeniu, przerywanym tylko cichymi pomrukami. Po przed otwarciem konserwy odmówił modlitwę.

Nie dojadłem zawartości mojej puszki.

**–Popatrzę na zachód słońca – powiedziałem i wstałem od stołu. Marygay i Cat poszły ze mną.**

**Na zewnątrz Antres 906 i Omni, nadal wyglądający jak ksiądz, wymieniali chrypięcia i piski, stojąc w tym miejscu, gdzie umarła Anita.**

**–Zastanawiacie się, kto będzie następny? – przerwała im Cat, obrzucając kapłana gniewnym spojrzeniem.**

**Popatrzył na nią ze zdziwieniem.**

**–Co takiego?**

**–Co mogło to spowodować – rzuciła – jeśli nie ty?**

**–To nie ja. Mógłbym to zrobić sobie, gdybym chciał umrzeć, ale nie komuś innemu.**

**–Nie mógłbyś, czy nie potrafiłbyś? – spytałem.**

–Nie potrafiłbym. Krótko mówiąc, to fizycznie niemożliwe, ujmując sprawę według waszych kryteriów.

–A więc, co się stało? Ludzie tak po prostu nie eksplodują!

Usiadł na skraju ganku, założył jedną długą nogę na drugą i splótł dłonie na kolanie, spoglądając na zachodzące słońce.

–Wy znowu to samo. Najwidoczniej ludzie jednak eksplodują. Właśnie to widzieliśmy.

–To mogło się zdarzyć każdemu z nas – rzekła drżącym głosem Marygay. – Możemy tak zginąć wszyscy, jeden po drugim.

–Możemy – odparł ksiądz – ja również. Jednak mam nadzieję, że to był tylko eksperyment. Próba.

–Ktoś poddaje nas próbie? – Kręciło mi się w głowie i z trudem opanowałem mdłości. Ostrożnie usiadłem na podłodze ganku.

–Zawsze – odparł spokojnie ksiądz. – Nigdy tego nie czuliście?

–Metafora – powiedziałem. Powoli zatoczył łuk ręką.

–W tym ujęciu wszystko jest metaforą. Taurańczycy rozumieją to lepiej niż wy.

–Nie to – zaprzeczył Antres 906. – To jest coś, czego nie potrafię ogarnąć.

–Nienazwane – rzekł ksiądz i dodał jakieś taurańskie słowo, którego nie znałem. Antres dotknął swojej szyi.

–Oczywiście. Jednak mówisz... „nienazwane”? To nie oznacza niczego rzeczywistego. Raczej uproszczenie, symbol określający... nie wiem jak to powiedzieć. Prawdę ukry

tą pod pozorami, los?

Kapłan dotknął krzyża, który zmienił się w krąg z dwiema nogami – taurański symbol religijny.

**–Symbol, metafora. Nienazwane, jak sądzę, jest bardziej realne niż my.**

**–Przecież nigdy go nie widziałeś ani nie dotknąłeś – powiedziałem. – Tylko zgadujesz.**

**–Jak każdy. Nigdy nie widziałeś neutrino, ale nie wątpisz w jego istnienie. Pomimo jego „nieprawdopodobnych” właściwości.**

**–W porządku. Możesz jednak udowodnić, że neutrino istnieją, a przynajmniej, że coś tam jest, gdyż w przeciwnym razie teoria cząstek nie mogłaby działać. Wszechświat nie mógłby istnieć.**

**–Mógłbym po prostu odpowiedzieć: „Pozostawiam to twemu osądowi”. Nie podoba ci się ten pomysł, ponieważ zatraća nadprzyrodzonym.**

**No dobrze.**

**–W porządku. Jednak przez pierwsze pięćdziesiąt – czy też tysiąc pięćset – lat mojego życia i tysiące lat wcześniej, wszechświat można było wytłumaczyć, nie ucieka-**

jąc się do twojego tajemniczego „nienazwanego”. – Zwróciłem się do Antresa. – Tak było również w przypadku Taurańczyków, prawda?

–Bardzo podobnie, owszem. Nienazwane jest realne, ale tylko jako koncepcja.

–Pozwólcie, że zadam wam stare pytanie – rzekł kapłan. – Jak to możliwe, że ludzie i Taurańczycy, rozwijając się niezależnie na planetach odległych o czterdzieści lat świetlnych, spotkali się na tym samym szczeblu rozwoju technologicznego i mając dostatecznie podobną psychikę, żeby rozpocząć wojnę?

–Wielu ludzi zadawało to pytanie – powiedziałem i ruchem głowy wskazałem Antresa – i pewnie wielu Taurańczyków. Niektórzy ludzie z mojej przyszłości, moi podwładni, należeli do sekty, której religia wyjaśniała to wszystko. W podobny sposób jak twoje „nienazwane”.

–A ty masz lepsze wyjaśnienie?

–Logiczne. Gdyby byli na znacznie niższym szczeblu rozwoju, nie zetknęlibyśmy się. Gdyby wyprzedzali nas o tysiące lat, nie byłoby wojny. Może po prostu zniszczyliby nas. – Antres wydał dźwięk oznaczający potwierdzenie. – Tak więc był to w pewnym stopniu przypadek, ale niezupełnie.

–To nie był tylko zbieg okoliczności. My, Omni, byliśmy na obu planetach, jeszcze zanim ludzie i Taurańczycy stworzyli własną mowę – dzięki nam. I technologie, które kontrolowaliśmy. Byliśmy Archimedesem, Galileuszem i Newtonem. W czasach waszych rodziców przejęliśmy kontrolę nad NASA, żeby powstrzymać ludzki pęd w kosmos.

–I to wy wywołaliście Wieczną Wojnę.

–Nie sądzę. Myślę, że my tylko doprowadziliśmy do waszego spotkania. Mogliście od razu nawiązać współpracę, gdyby leżało to w waszej naturze.

–Przecież dobrze wiedzieliście, że jesteśmy wojowniczo nastawieni – odezwała się Marygay.

–Nic o tym nie wiem. To było dawno temu, nie za moich czasów. – Potrząsnął głową. – Pozwólcie, że coś wyjaśnię. My nie rodzimy się tak jak ludzie, ani wy, Antresie 906. Myślę, że jest nas stała liczba, około stu, i kiedy umiera jeden z nas, na jego miejsce pojawia się inny. Widzieliście, że potrafię rozdzielić się na dwie lub więcej części. Gdy nadchodzi czas na nowego Omni – kiedy jeden z nas gdzieś umiera – ja lub ktoś inny dzielimy się i druga połowa pozostaje osobno, stając się

nowym osobnikiem.

**–Zachowując wszystkie wspomnienia i umiejętności rodzica? – spytała Rii.**

**–Chciałbym. Stajesz się duplikatem rodzica, lecz z biegiem miesięcy i lat to podobieństwo zanika, zastąpione twoimi doświadczeniami. Bardzo bym chciał mieć wspomnienia moich przodków z ostatnich stu pięćdziesięciu tysięcy lat. Jednak znam je tylko z opowiadań innych osobników mojego gatunku.**

**–Włącznie z tą historią o nienazwanym – zauważyłem.**

–To prawda. W różnych okresach mojego życia zastanawiałem się, czy to nie złudzenie – rodzaj iluzji, jaką dzielę z wami. To coś jak religia: ani wy, ani ja w żaden sposób nie możemy dowieść, że nienazwane nie istnieje. A jeśli tak, to jego istnienie może wyjaśniać rzeczy w innym wypadku niewytłumaczalne. Na przykład dziwną zbieżność dróg waszych ewolucji, która doprowadziła do tego, że ludzie i Taurańczycy spotkali się w takiej, a nie innej chwili. Albo to, że niektórzy ludzie eksplodują.

–Przecież to pierwszy taki przypadek – zauważyła Cat.

–Zdarzają się rozmaite niewytłumaczalne wypadki. Większość ich wyjaśnia się w jakiś sposób. Sądzę, że czasem błędnie. Gdybyście podczas działań bojowych natknęli się na szczątki kogoś, kto zginął w taki sposób jak wasza przyjaciółka, uznalibyście, że jest to wynik czyichś wrogich działań, wybuchu bomby lub czegoś takiego. Na pewno nie pomyślelibyście, że to kaprys nienazwanego.

Szeryf głośno powiedział to, co mi chodziło po głowie:

–Ja jeszcze nie wykluczam wrogich działań. Widzieliśmy, jak robiłeś różne rzeczy, które uznalibyśmy za niemożliwe. Łatwiej mi założyć, że ty zamordowałeś ją w jakiś sposób, niż winić o to niewidzialnych i złośliwych bogów.

–A więc, dlaczego zrobiłem to jej, a nie tobie? Dlaczego nie zrobiłem tego Mandel-li, kiedy o mało mnie nie zabił?

–Może lubisz silne wrażenia – powiedziałem. – Spotykałem takich ludzi. Może chciałeś, abyśmy przeżyli, żeby twój świat był bardziej interesujący.

–Dziękuję, jest dostatecznie interesujący. – Przechylił głowę. – I niebawem będzie jeszcze ciekawszy.

## [Księga szósta](#)

# KSIĘGA OBJAWIENIA

## 31

Wtedy usłyszałem ten charakterystyczny, cichy warkot dwóch, nadlatujących z przeciwnych stron lataczy. Po kilku sekundach były już widoczne, a po paru następnych zawisły nad nami i wylądowały w parku.

Sportowe pojazdy, jasnopomarańczowy i wiśniowy, o opływowych kształtach przypominających bojowe helikoptery „Cobra” z czasów mojej młodości – i rzeczywiście trochę były podobne do kobr.

Owiewki kokpitów odsunęły się i z lataczy wyszli mężczyzna oraz kobieta. Oboje byli trochę zbyt wysocy, jak nasz znajomy, i pojazdy zakołysały się z ulgą, uwolnione od ich ciężaru.

Na nasz widok przybysze od razu skurczyli się trochę, lecz nadal pozostawiali głębokie ślady w trawie. Zastanawiałem się, dlaczego po prostu nie pojawili się w postaci lataczy. Może wymagało to za dużo materiału.

Kobieta była czarnoskóra i krępa, a mężczyzna biały i o tak pospolitych rysach, że trudno byłoby opisać jego twarz. Pewnie barwy ochronne, pomyślałem – rodzaj domyślnego kamuflażu. Oboje nosili tuniki z jakiejś naturalnej, nie farbowanej tkaniny.

Nie było żadnych powitań. Trójka Omni spojrzała na siebie i przez niecałą minutę rozmawiała bez słów. Potem przemówiła kobieta:

–Wkrótce będzie nas tu więcej. My też umieramy gwałtowną śmiercią, tak samo jak wasza przyjaciółka.

–Nienazwane? – spytałem.

–Co można powiedzieć o nienazwanym? – odparł mężczyzna. – Myślę, że tak, ponieważ dzieją się rzeczy sprzeczne z prawami fizyki.

–Czy to coś kontroluje prawa fizyki?

–Najwidoczniej – rzekł nasz ksiądz. – Ludzie wybuchają, antymateria wyparowuje. Dziesięć miliardów istot znika, jakby – jak mówisz – przeniesione do jakiejś kosmicznej kolonii nudystów. Albo masowego grobu.

–Obawiam się, że raczej chodzi o grób – powiedziała kobieta. – A my wkrótce do nich dołączymy.





**Wszyscy spojrzeli na mnie. Mężczyzna o pospolitych rysach rzekł:**

**–To przez was. To wy próbowaliście opuścić Galaktykę. Wymknąć się z ochronnej strefy, którą otoczyło nas nienazwane.**

**–To śmieszne – przerwałem. – Już nieraz opuszczałem Galaktykę. Kampania Sade-138 toczyła się w Wielkim Obłoku Magellana. Inne kampanie w Małym Obłoku i przy karle Wodnika.**

**–Podróże kolapsarowe to nie to samo – powiedziała kobieta. – To rodzaj drzwi. Przejście z jednego stanu energii w inny i z powrotem.**

**–Jak przy skoku na linie – dodał nasz miłośnik dwudziestego wieku.**

**–Wasz gwiazdolot – ciągnęła kobieta – miał naprawdę opuścić Galaktykę. Zmierzaliście na terytorium nienazwanego.**

**–Powiedziało wam o tym? – spytała Marygay. – Rozmawialiście z nim?**

**–Nie – odparł mężczyzna. – Ale to jedyne wyjaśnienie.**

**–Wy nazwalibyście to brzytwą Ockhama – powiedziała kobieta. – To najmniej skomplikowane wytłumaczenie.**

**–A więc to my ściągnęliśmy na wszystkich gniew boży – mruknąłem.**

**–Jeśli tak chcesz to ująć – rzekł biały mężczyzna. – A teraz usiłujemy znaleźć jakiś sposób, żeby zwrócić jego uwagę.**

**Miałem ochotę wrzasnąć, ale Sara wyraziła to spokojniej:**

**–Jeśli on jest wszechmocny i wszechobecny to i tak wszystko widzi. Aż za dobrze.**

**Ksiądz pokręcił głową.**

**–Nie. Tylko sporadycznie. Nienazwane pozostawiło nas w spokoju przez całe tygodnie, nawet lata. A potem wprowadziło nowy czynnik, jak naukowiec lub ciekawe dziecko, żeby zobaczyć, jak zareagujemy.**

**–Pozbywając się wszystkich? – zapytała Marygay. – To jest ten nowy czynnik?**

**–Nie – odparła czarnoskóra kobieta. – Myślę, że to oznacza, że eksperyment się zakończył. Nienazwane porządkuje laboratorium.**

**–A my musimy... – zaczął biały mężczyzna i urwał. – Teraz ja.**

**Ekspłodował, lecz nie w obłoku krwi, wnętrzności i odłamków kości, lecz w deszczu**

**białego pyłu, jakby poderwanego przez gwałtowny podmuch wiatru. Te drobiny upadły na ziemię i znikły.**

**–Do licha – rzekł ksiądz. – Lubiłem go.**

**–A my musimy – podjęła kobieta – zwrócić uwagę nienazwanego i przekonać go, żeby zostawił nas w spokoju.**

**–Wy dwoje – powiedział ksiądz do mnie i Marygay – najwidoczniej jesteście kluczem do tego problemu. To wy go sprowokowaliście.**

**Max znikł i po chwili wrócił w bojowym pancerzu.**

**–Max – mitygowałem – bądź realistą. Nie możemy walczyć z tym w ten sposób.**

–Nie wiadomo – odparł łagodnie. – Niczego nie wiemy.

–Wciąż nie mamy pewności, że mówicie prawdę – powiedziała Sara. – Ta historia z nienazwanym może być tylko pustą gadaniną. Może wy to zrobiliście – zabiliście wszystkich, a teraz bawicie się nami. Nie możecie dowieść, że tak nie jest, prawda?

–Jeden z nas właśnie zginął – przypomniała kobieta.

–Nie, tylko zmienił formę i znikł – sprostowałem. Ksiądz uśmiechnął się.

–Właśnie. Czy nie to samo dzieje się z wami, kiedy umieracie?

–Dajmy spokój – przerwała Marygay. – Jeśli to sprawka Omni i ich upiorny żart, to jesteśmy zgubieni niezależnie od tego, co zrobimy. Tak więc równie dobrze możemy

uwierzyć w ich słowa.

Sara otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale zaraz je zamknęła.

–O kurwa – powiedział Max, a bojowy pancerz wyprostował się i znieruchomiał.

–Znowu – powiedział ksiądz.

–Max! – krzyknąłem. – Jesteś tam? Żadnej odpowiedzi. Marygay przeszła za plecy, gdzie znajdowała się dźwignia awaryjnego wyłącznika.

–Mam to zrobić?

–Będzie trzeba, wcześniej czy później – rzekłem. – Saro... – Jakoś to zniosę. Wi działam Anitę – powiedziała z twarzą białą jak kreda.

Marygay otworzyła pancerz i było tak źle, jak przypuszczałem. Nie pozostało nic, co można by zidentyfikować jako Maxa. Litry krwi i innych płynów wylały się na ziemię. Kawałki mięśni, narządów i kości wypełniały dolną część pancerza.

Sara pochyliła się i zwymiotowała. Ja omal nie zrobiłem tego samego, lecz stary żołnierski nawyk kazał mi zacisnąć zęby i trzykrotnie – z trudem – przełknąć ślinę.

Max był takim rodzajem faceta, którego lubi się niezależnie od tego, co robi, i niezależnie od tego, kim jest. A to coś zabiło go, jakby zdejmowało pionka z

szachownicy.

**–Czy nie możemy porozmawiać? – wrzasnąłem. – Dlaczego nie pozwolisz nam się bronić?**

**Cat eksplodowała jak bomba. Tym razem nie było deszczu tkanek i kości, tylko drobna mgła, unoszona przez wiatr z miejsca, gdzie stała. Marygay jęknęła i zemdląła. Myślę, że Sara nawet tego nie zauważyła. Klęczała, szlochając i przyciskając dłonie do brzucha, wstrząsana skurczami, nadaremnie próbując opróżnić pusty żołądek.**

**Z wnętrza zajazdu dobiegły dwie głucho eksplozje i histeryczny krzyk.**

**Antres 906 spojrzał na mnie.**

**–Jestem gotowy – rzekł powoli po angielsku. – Nie chcę już tu być. Niech zabierze mnie nienazwane.**

Sztywno kiwnąłem głową i podszedłem do Marygay. Przyklęknąłem, uniosłem jej głowę i próbowałem chusteczką otrzeć jej twarz ze szczątków kobiety, którą kochała. Ocknęła się i choć nie otworzyła oczu, objęła mnie ramieniem. Kołysała się w milczeniu, ciężko dysząc.

W tym momencie byliśmy sobie tak bliscy, jak zdarza się niewielu ludziom. Czasem czuliśmy się tak podczas bitwy, albo tuż przed nią – wiedząc, że zaraz zгинiemy, ale umrzemy razem.

–Zapomnij o nienazwanym – powiedziałem. – Żyliśmy pożyczonym czasem od kiedy nas powołano... i udało nam się...

–Ukraść trochę czasu – dopowiedziała, wciąż nie otwierając oczu. – I dobrze go wykorzystaliśmy.

–Kocham cię – powiedzieliśmy jednocześnie.

Rozległ się głuchy łoskot – to przewrócił się bojowy pancerz. Wietrzyk zmienił kierunek i przeszedł w silny wiatr, który przewrócił zbroję. Coś znowu uderzyło mnie w kark – kość lub kawałek kości – po czym z hałasem wpadło do pancerza.

Z odgłosem przypominającym trzask suchych gałązek, z otwartej skorupy pancerza uniół się niekompletny szkielet. Przedramię, kość łokciowa i promieniowa przyłączyły się do prawego łokcia, z nadgarstka wyrosły kości śródrečca, a z nich kości palców. Potem długi zwój wnętrzości ulokował się w miednicy, z żołądkiem i pęcherzem. Coraz szybciej pojawiały się kolejne organy: wątroba, płuca, serce, nerwy i mięśnie. Czaszka opadła pod ciężarem mózgu i powoli uniosła się, by spojrzeć na mnie niebieskimi oczami Maxa. Przez chwilę jego twarz była czerwono-biała, jak z podręcznika anatomii. Zaraz jednak pojawiła się skóra i włosy, nie tylko na czaszce, ale i na pozostałych częściach ciała.

Ostrożnie wyszedł z pancerza i nagle był już ubrany w powiewną białą szatę. Ruszył ku nam ze skupioną, zamyśloną miną. On – lub ono.

Marygay usiadła.

–Co się dzieje? – spytała napiętym głosem. To siadło na ziemi przed nami.

–Jesteś naukowcem.

–Max?

**–Nie mam imienia. Jesteś naukowcem.**

**–Jesteś nienazwanym? Zbył to machnięciem ręki.**

**–William Mandella. Jesteś naukowcem.**

**–Byłem. Teraz jestem nauczycielem.**

**–Jednak rozumiesz naturę badań naukowych. Rozumiesz, czym jest eksperyment.**

**–Oczywiście.**

Czarnoskóra kobieta Omni dołączyła do nas. Ruchem głowy wskazał na nią.

–Była bardzo bliska prawdy.

–Koniec eksperymentu? – zapytała. – Robisz porządki? Powoli pokręcił głową.

–Jak mam to ująć? Najpierw myszy, którymi jesteście, szukają drogi ucieczki z klatki. Potem zaczynają rozumieć, co się dzieje. A potem żądają rozmowy z eksperymentatorem.

–Na twoim miejscu – oświadczyłem – porozmawiałbym z myszami.

–Tak, tak zrobiłby człowiek. Z lekko gniewną miną rozejrzał się wokół.

–No to mów – zachęciła Marygay. Patrzył na nią przez dłuższą chwilę.

–Kiedy byłaś małą dziewczynką, moczyłaś łóżko. Rodzice nie chcieli puścić cię na obóz, dopóki nie przestaniesz.

–Zapomniałam o tym.

–A ja nie. – Zwrócił się do mnie. – Dlaczego nie lubisz jaśka?

Zaskoczył mnie.

–Ten gatunek fasoli nie rośnie na Middle Finger. Nawet nie pamiętam, jak smakuje.

–Kiedy miałeś trzy ziemskie lata, wepchnąłeś sobie do nosa ziarnko takiej fasoli. Próbując je wyjąć, wepchnąłeś je jeszcze głębiej. Twoja matka w końcu zorientowała się, dlaczego płaczesz, i jej zabiegi jeszcze pogorszyły sprawę. Nos zaczął puchnąć i wydzielać śluz. Zaprowadziła cię do holistycznego uzdrowiciela i ten dopiero naprawdę zrobił ci krzywdę. Kiedy zawieźli cię do szpitala, musieli usuwać ci ziarnko pod narkozą i potem przez pewien czas miałeś kłopoty z zatokami.

–To twoja sprawka?

–Obserwowałem to. Na długo przed twoimi narodzinami stworzyłem okoliczności, które doprowadziły do tego wypadku, więc w pewien sposób byłem jego sprawcą. Słyszę stuk każdego spadającego na ziemię wróbla i nigdy mnie to nie dziwi.

–Wróbla?

–Nieważne. – Wzruszył ramionami. – Koniec eksperymentu. Opuszczam to



**miejsce.**

**–Miejsce? Wstał.**

**–Tę Galaktykę. Trysnęła ziemia i zakopane przez nas stopy Anity przeleciały w powietrzu i upadły**

**w tym miejscu, gdzie stała, kiedy zginęła. Kawałki ciała i kości oraz czerwona mgiełka śmignęły w powietrzu ku upiornym szczątkom i zaczęły ją rekonstruować. Trzy metry dalej ciało Cat też się odtwarzało.**

–Nie sądzę, żebym musiał wam pomagać – powiedział, czy też powiedziało. – Po prostu zostawię was w spokoju. Wrócę za jakiś milion lat i sprawdzę, co się dzieje.

–Tylko nas? – zapytała Marygay. – Zabiłeś dziesięć miliardów ludzi i Taurańczyków, a teraz zostawiasz nam pięć opustoszałych planet?

–Sześć – poprawiło – i wcale nie są puste. Ludzie i Taurańczycy żyją. Zostali tylko schowani.

–Schowani? – powtórzyłem. – Gdzie ich ukryłeś?

Uśmiechnęło się do mnie, jakby zamierzało powiedzieć długo przygotowywany dowcip.

–Jak myślisz, jaka przestrzeń, jaka objętość jest potrzebna do zmagazynowania dziesięciu miliardów ludzi?

–Boże, nie wiem. Ogromna wyspa?

–Dwa kilometry kwadratowe. Wszyscy zostali zmagazynowani w Karlsbadzkich Jaskiniach. Teraz już są przytomni, zmarznięci, nadzy i głodni. – Spojrzało na zegarek. – Chyba powinienem im zostawić trochę żywności.

–A Middle Finger? – spytałem. – Tamci też są żywi?

–W spichlerzu w Vendler – powiedziało. – Tym naprawdę jest zimno. Zaraz coś dla nich zrobię. Już zrobiłem.

–Potrafsz działać z prędkością światła?

–Szybciej. Ta stała jest tylko jednym z ograniczeń, które narzuciłem temu eksperymentowi. – Podrapało się po brodzie. – Chyba tak to zostawię. W przeciwnym razie wszędzie będzie was pełno.

–A na Księżycu i Marsie? Na Heaven i Kysos?

Skinęło głową.

–Przeważnie zmarznięci i głodni. Przegrzani i głodni na Heaven. Jednak chyba wszyscy znajdą coś do jedzenia, zanim zaczną zjadać się wzajemnie.

**Spojrzało na Marygay i na mnie.**

**–Wy dwoje jesteście szczególnie ważni, gdyż nikt inny nie pamięta tak odległych czasów. Bawiło mnie tworzenie tej sytuacji. Jednak dla mnie czas jest jak stół lub podło**

**ga. Mogę wrócić do Wielkiego Wybuchu, albo pójść w przyszłość, do termicznej śmierci**

**wszechświata. Życie i śmierć są odwracalnymi stanami materii. Taka przemiana to dla**

**mnie trywialna rzecz. Co zresztą widzieliście.**

**Nie powinienem tego mówić, ale nie mogłem się powstrzymać.**

**–A więc teraz bawi cię to, że pozwolisz nam żyć?**

**–Można tak to ująć. Albo powiedzieć, że pozwalam by eksperyment toczył się własnym torem. Przejdę milion lat w przeszłość i zobaczę, co się dzieje.**

**–Przecież już znasz przyszłość – powiedziała Marygay.**

**To coś w ciele Maxa przewróciło oczami.**

–Czas nie biegnie liniowo. Jest jak stół. Są rozmaite rodzaje przyszłości. Inaczej po co byłoby eksperymentować?

Sara zawołała:

–Nie odchodź!

Spojrzał na nią ze zniecierpliwieniem.

–My postrzegamy wszystko jako ciąg zdarzeń, przyczynowo-skutkowy. Ty jednak na swoim stole widzisz milion takich linii.

–Nieskończoną liczbę.

–W porządku. Czy we wszechświecie jest jeszcze coś poza twoim stołem? – Uśmiechnęło się. – Czy są inne stoły? Albo cały pokój?

–Są inne stoły. Jeśli stoją w jakimś pomieszczeniu, to nigdy nie widziałem jego ścian.

Potem powiedziało jednocześnie z Sara:

–A więc czy jest ktoś jeszcze, kto kieruje całością? A sama Sara dodała:

–Kieruje tobą i twoimi stołami?

–Sara – powiedziało do niej – w niektórych z tych wariantów przyszłości będziesz żyła za milion lat, kiedy powrócę. Wtedy będziesz mogła mnie zapytać. A może nie będziesz musiała.

–Jednak jeśli nie ma nikogo innego, jeżeli jesteś Bogiem...

–Co jest? – powiedział Max. Potarł palcami białą tkaninę tuniki. – Co tu się dzieje, do diabła? – Spojrzał na bojowy pancerz. – Poczulem potworny ból w całym ciele.

–Ja też – rzekła Cat. Siedziała z podwiniętymi nogami w miejscu, gdzie umarła, jedną dłonią zasłaniając łono, a drugą piersi. – A potem nagle znów znalazłam się tutaj. – Spojrzała na nas i uniosła brwi. – Co się dzieje, do licha?

–Bóg wie – odparłem.

**Przez kilka sekund martwiłem się, co zrobić z dziesięcioma miliardami ludzi i Tau-rańczyków, którzy znaleźli się nago na pustkowiu. Jednak nienazwany po raz ostatni machnął swoją różdżką.**

**Powietrze wokół nas zamigotało i nagle otaczał nas zbity tłum mężczyzn, kobiet i dzieci. Wszyscy byli nadzy i wrzeszczeli.**

**Mała grupka stojących wśród nich ludzi zwracała uwagę. Ludzie zaczęli ostrożnie podchodzić do nas i już szykowaliśmy się z Marygay do trudów przywództwa. Na szczęście nie było takiej potrzeby. Człowiek w podeszłym wieku podszedł do mnie i podniesionym tonem zaczął zadawać pytania. Nie rozumiałem ani słowa. Mówiłem martwym językiem, który na tej planecie znało tylko kilku uczonych i pracowników urzędu imigracyjnego.**

**Troje Omni wystąpiło naprzód, przyciągając ich uwagę swoim wzrostem. Ponieśli ręce i wykrzyknęli coś zgodnym chórem. Ksiądz dotknął mego ramienia.**

**–Postaramy się im pomóc. Wy pomóżcie waszym ludziom.**

**Marygay stała, obejmując ramieniem Cat. Zdjąłem koszulę i podałem jej: była dostatecznie duża, żeby zakryć co trzeba.**

**Prawdę mówiąc, wyglądała w niej bardzo seksownie. Ciesząca się znacznym powodzeniem kobieta powiedziała mi kiedyś, że najlepszym sposobem zwrócenia na siebie uwagi na przyjęciu jest ubrać długą suknię, jeśli pozostali będą w dżinsach lub szortach i odwrotnie. Tak więc na imprezie, na której wszyscy są nadzy, wystarczy byle lach.**

**W końcu zapędziliśmy wszystkich do zajazdu. W bufecie było pełno głodnych ludzi, więc zebraliśmy się w sali wystawowej „Społecznej historii prostytucji”, czy jak to tam przetłumaczyć. Ekspozyty nie pozostawiały wiele miejsca dla wyobraźni.**

**Siedmioro z nas zabito i zrekonstruowano. Usiłowaliśmy wyjaśnić im, co się stało. Jakbyśmy sami potrafili to zrozumieć.**

**„Bóg zabił kilkoro z was, żeby zwrócić naszą uwagę. Potem oznajmił, że odchodzi, a po drodze wskrzesił was i dziesięć miliardów innych”.**

Wciąż czekałem, aż się obudzę. Tak jak temu staruszkowi z „Opowieści wigilijnej”, wydawało mi się, że zjadłem coś ciężkostrawnego przed snem. Oczywiście, w miarę upływu czasu to wyjaśnienie stawało się coraz mniej prawdopodobne. Może wszystko przedtem było snem.

Szeryf i Antres 906 skontaktowali się ze swoimi Drzewami i poinformowali wszystkich o tym, co zaszło. Omni przyjaźnie ujawnili swoją obecność i pomogli wszystko uporządkować. Nie było z tym większych kłopotów, nie licząc konieczności znalezienia ubrań dla wszystkich.

Znalezienie miejsca dla wszystkich miało trochę potrwać: jedną rzeczą wspólną dla cywilizacji ludzi, Człowieka i Taurańczyków było założenie niepodważalności praw fizyki. Może wielu rzeczy nie rozumieliśmy, ale wszystko zgadzało się z pewnymi regułami, które kiedyś – jak sądziliśmy – można będzie poznać.

Teraz utraciliśmy tę pewność. Nie mieliśmy pojęcia, które z praw fizyki były w istocie kaprysem nienazwanego. Najwidoczniej należała do nich stała prędkość światła i związane z nią ograniczenia, co oznaczało, że większość post-newtonowskiej fizyki była częścią żartu.

Powiedziało, że tak to zostawi, żeby utrzymać nas w naszej klatce. Czy były inne prawa, założenie i stałe, które mu się nie podobały? Cała nasza wiedza stanęła pod znakiem zapytania i wymagała sprawdzenia.

Co ciekawe, religia nie budziła takich wątpliwości. Wystarczy zmienić kilka pojęć i zignorować wątpliwości w kwestii istnienia Boga. Jego intencje nigdy nie były równie oczywiste. Nienazwane pozostawiło wiernym niepodważalny dowód swej egzystencji i dość nowych danych na co najmniej tysiąc lat teologicznej dysputy.

Moja wiara, jeśli tak można to nazwać, zmieniła swe fundamentalne założenia, ale nie podstawowy wniosek: zawsze mówiłem moim wierzącym znajomym, że Bóg może istnieć lub nie, lecz jeśli istnieje, to nie chciałbym gościć go na obiedzie. I tego zamierzałem się trzymać.

Po kilku tygodniach niewiele już mogliśmy zrobić lub nauczyć się na Ziemi i z niecierpliwością czekaliśmy na powrót. Omni, który spotkał nas po przylocie, chciał polecieć z nami, a ja chętnie na to przystałem. Kilka jego magicznych sztuczek uczyni naszą fantastyczną historię łatwiejszą do przełknięcia.

Nikt nie umarł podczas skoku, więc pięć miesięcy później wyszliśmy z naszych hibernacyjnych sarkofagów i spojrzeliśmy na Middle Finger, oślepiająco białą w śniegu i chmurach. Powinniśmy znaleźć sobie na Ziemi jakieś zajęcie, które wystarczyłoby na kilka lat, i wrócić tu w czasie odwilży lub na wiosnę.

Nikt nie pełnił dyżuru na lądowisku, ale zdołaliśmy skontaktować się z Biurem Kontaktów Międzyplanetarnych, które wysłało do portu kontrolera lotów. Mimo to przesiadka na prom kosmiczny zabrała nam kilka godzin.

Lądowanie było znacznie przyjemniejsze niż poprzednio: nad miasteczkami w dole unosiły się płynące z kominów smugi dymu, a na ulicach Centrusa mimo zimowej pory panował ożywiony ruch.

Kobieta, która przedstawiła się jako burmistrz, podjechała do nas transporterem, razem z Człowiekiem pełniącym rolę łącznika, i Billem, na którym skupiła się cała uwaga Marygay, Sary i moja. Miał brodę, ale poza tym niewiele się zmienił.

Jednak zmienił się jego stosunek do mojej osoby. Płakał tak samo jak ja, kiedy się uściskaliśmy, i przez minutę nie zdołał wykrztusić słowa – tylko kręcił głową. Potem powiedział toporną angielszczyzną:

–Myślałem, że straciłem cię na zawsze, ty uparty stary draniu.

–Pewnie, to ja jestem uparty – powiedziałem. – Dobrze znów cię widzieć. Mimo że teraz jesteś zwykłym mieszczuchem.

–Prawdę mówiąc, mieszkamy w Paxton... – Zaczerwienił się. – Moja żona Aura-lyn i ja. Wróciliśmy tam i zajęliśmy się domem. Mnóstwo ryb. Pomyślałem, że wrócicie szybko, jeśli w ogóle, więc w zeszłym tygodniu przyjechałem do Centrusa, żeby na was zaczekać. Charlie jest ze mną w mieście. Diana została w Paxton, lecz. Co się stało, do diabła?

Szukałem odpowiednich słów.

–To trochę skomplikowane. – Marygay z trudem powstrzymywała śmiech.

–Pewnie ucieszysz się, słysząc, że znalazłem Boga.

–Co takiego? Na Ziemi?

–On jednak powiedział nam tylko „do widzenia” i odszedł. To długa historia.

–Spojrzałem na odgarnięty śnieg, sięgający powyżej okien pojazdu. – Będzie mnóstwo czasu na rozmowy, zanim przyjdzie odwilż i nawał zajęć.

–Osiem kubików drewna – powiedział. – Dziesięć następnych w drodze.

–Dobrze. Usiłowałem przywołać miłe wspomnienie ciepłego kominka, lecz przeszkadzała mi

rzeczywistość. Ślizganie się na lodzie, wyciąganie ryb, które zamarzają w powietrzu. Rury wodociągowe zatkane przez lód. I odgarnianie, nieustanne odgarnianie śniegu.

Powróciliśmy do „codziennego” życia, łowiąc ryby i walcząc z zimą, chociaż nagle staliśmy się rodziną złożoną z pięciu dorosłych osób. Sara miała przed sobą jeszcze jeden okres nauki w szkole, zanim będzie mogła rozpocząć studia na uniwersytecie, ale pozwolono jej zaczekać kilka miesięcy na początek nowego roku szkolnego, zamiast zaczynać w połowie i nadrabiać zaległości.

Życie w Paxton niewiele się zmieniło, kiedy powoli wszyscy wrócili tu z Centrusa. Nawet w najlepszych czasach zmagaliśmy się zimą z niedoborami zasilania, więc bez trudu radziliśmy sobie z prawie całkowitym jego brakiem.

W ciągu kilku tygodni miasto zostało ponownie zasiedlone. Władze Centrusa starały się pozbyć wszystkich tych, którzy nie byli niezbędni, gdyż zapasy ledwie wystarczały na zaspokojenie podstawowych potrzeb dotychczasowych mieszkańców.

W stolicy po pięciu miesiącach chaosu znów zapanował porządek. Osiem zim wyrządziło wiele szkód, lecz było oczywiste, że z większością napraw trzeba będzie poczekać do odwilży i wiosny. Nasza grupka mimowolnych pionierów pomogła zorganizować tymczasowe życie w mieście, w stopniu zapewniającym przetrwanie. Brak centralnej sieci energetycznej spowodowałaby śmierć wszystkich mieszkańców miasta, gdyby byli tak nierozsądni, aby po prostu rozejść się do domów. Zamiast



**tego zamieszkali razem w dużych budynkach użyteczności publicznej, oszczędzając ciepło i upraszczając dystrybucję żywności oraz wody.**

**Z pewnością panowała tam koleżeńska atmosfera, ale z zadowoleniem wyjechałem na prowincję, do naszych kubików drewna oraz skrzynek ze świecami. Uniwersytet był otwarty za dnia, chociaż większość normalnych zajęć zawieszono, czekając aż wróci zasilanie i odzyskamy nasze komputery i ekrany, oraz większość biblioteki. Mieliśmy kilka tysięcy drukowanych książek, lecz te stanowiły chaotyczny zbiór z przypadkowych dziedzin.**

**Jedna z nich, na szczęście, była grubym tomem z mechaniki teoretycznej, więc mogłem zająć się tym, co miało być dziełem mego życia. Na Ziemi przedyskutowałem to z kilkoma fizykami Człowieka: powinniśmy cofnąć się do podstaw i sprawdzić, jaka część fizyki pozostała nietknięta. Jeśli wszystko to było zaledwie zestawem narzuconych nam przez nienazwane ograniczeń, dowolnie zmienianych, to powinniśmy się dowiedzieć na jakim kaprysie opiera się teraz. I wydawało się dobrym pomysłem przeprowadzenie eksperymentów na różnych planetach, nie tylko na Ziemi, żeby sprawdzić, czy prawa fizyki są wszędzie jednakowe.**

**Tej zimy Bill włączył się w te badania i asystował mi przy powtarzaniu podstawowych eksperymentów, przeprowadzonych niegdyś przez osiemnaste – i dziewiętnastowiecznych fizyków. Z ciężarkami i sprężynami. Mieliśmy tę przewagę, że posiadaliśmy zegary atomowe – albo tak nam się wydawało. Nim minął rok dowiedzieliśmy**

się od naukowców na Ziemi, że nienazwane postawiło nas przed iście syzyfowym zadaniem: prędkość światła pozostawała stała, ale zmieniła się o około pięć procent. Ten fakt wszystko popieprzył, aż do czwartego miejsca po przecinku. Takie drobiazgi jak ładunek elektronu, stała Plancka. Skoro już się za to zabrał, powinien dopilnować, żeby wartość pi wynosiła równo trzy.

Mimo to dobrze nam się układało w naszym ciepłym laboratorium, gdy czekaliśmy na wyniki, spuszczaaliśmy kule z pochyłości, mierzyliśmy wychylenia wahadła lub rozciągaliśmy sprężyny, po czym wracaliśmy do domu, do naszych kobiet. Bill poznał Au-ralyn, kiedy oboje zgłosili się jako kandydaci na Człowieka. Zakochali się, zanim do tego doszło, i wrócili tutaj. Na wiosnę miała urodzić dziecko.

Tymczasem rąbaliśmy lód, odgarnialiśmy śnieg, odmrażaliśmy rury i skrobaliśmy okna. Zima nigdy się nie kończy na tym zapomnianym przez Boga świecie.

## SPIS TREŚCI

[KSIĘGA RODZAJU 4](#)

[KSIĘGA PRZEMIAN 47](#)

[KSIĘGA WYJŚCIA 85](#)

[KSIĘGA ZMARŁYCH 107](#)

[KSIĘGA APOKRYFÓW 152](#)

[KSIĘGA OBJAWIENIA 174](#)

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2011-01-05

*LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/*